

*Anne O'Brien*



*Najcenniejsze  
dziedzictwo*

# Prolog

Zatrzymali konie na rozstaju.

- I co teraz, Josh? Ludlow jest bliżej niż Brampton Percy, na pewno czeka cię tam miłe powitanie i odpoczynek w domowym zaciszu. Jedziesz do domu?

- Chyba nie. - Sir Joshua Hopton, najstarszy syn, a zarazem dziedzic jednej z najwybitniejszych rodzin w Ludlow, bez powodzenia próbował ciasniej otulić się peleryną. Deszcz ściekał mu z runda kapelusza, ale to akurat nie miało większego znaczenia. Obaj i tak byli przemoczeni do suchej nitki. - Mam ochotę przyjrzeć się twojemu powrotowi do domu w roli nowego pana.

- Wobec tego ruszajmy. Bez wątpienia zostaniesz powitany równie ciepło, jak ja. - Z chmurnego spojrzenia towarzysza sir Joshui przebijał cynizm. Mężczyzna krócej ujął śliskie od deszczu wodze. - Zaryzykowałbym twierdzenie, że nawet cieplej.

Po tej wymianie zdań w milczeniu zawrócili konie na zachód, ku Brampton Percy. Nowa fala marznącego deszczu zaczęła bezlitośnie smagać jeźdźców i konie.

Eskorta ruszyła za nimi.

## Rozdział pierwszy

W godzinę później przed oczami niewielkiej grupki podróżnych zamajaczyły dwie posępne wieże, wzniesione dla obudzenia respektu wśród miejscowej ludności i wzmocnienia bramy z podwójną opuszczaną kratą. Zamek nie przedstawiał się zachęcająco, ale dwaj mężczyźni, wiedząc, że są oczekiwani, pewnie podjechali do bramy, nie obawiając się opuszczenia kraty.

Długo trwała podróż z Londynu w głąb walijskich mokradeł, gdzie z masywnym zamczyskiem Brampton Percy sąsiadowało niewielkie skupisko domów. Roku Pańskiego 1643 wszystko było marne: pogoda, zajazdy, a nawet drogi. Tocząca się już drugi rok wojna sprzyjała bezprawiu, nic więc dziwnego, że wielu zbójców i złodziei chciwie obserwoowało przejazd dwóch panów ze świtą i objuczonymi końmi, mimo to kolumna bez przeszkód dotarła do celu.

Większe zagrożenie stanowiły zresztą grupki żołnierzy, często widoczne na traktach w tych burzliwych czasach. Nie zawsze było łatwo ustalić z odległości ich barwy, zdecydować, swoi to czy wrogowie, kawalerowie popierający króla

czy okrągłogłowi, stronnicy parlamentu. Dla naszych dwóch podróżnych siły parlamentu oznaczałyby przyjazne powitanie, wymianę informacji, a także wzmocnioną eskortę, jeśli akurat na pewnym odcinku byłoby im po drodze. Pojawienie się rojalistów stanowiłoby w najlepszym razie zapowiedź długiej niewoli w wilgotnym lochu miejscowej twierdzy, z której wyratować mógł jedynie sowity okup, w najgorszym zaś wieszczyłoby haniebną śmierć i porzucenie obrabowanych ze wszystkiego zwłok w przydrożnym rowie.

Tego ostatniego popołudnia, gdy znaleźli się w bezpiecznym otoczeniu północno-zachodniego Herefordshire, skończyły się wreszcie ulewne deszcze, chwilami przechodzące w grad, ale słońce nie mogło się przebić przez gęste chmury, toteż widok strażnicy przy bramie wydawał się podwójnie miły. Na wiejskiej drodze panowała cisza, jeśli nie liczyć pisków kurcząt, wydziubujących ziarno z błota. Chłopi pochowali się w chatach przed gniewem żywiołów, a także przed przejezdźnymi, którzy zawsze budzili ich niepokój. Nie ulegało jednak wątpliwości, że bacznie obserwują orszak, zmierzający do zamku. Podróżni zdawali sobie z tego sprawę i na wszelki wypadek trzymali dłonie w pobliżu rękojeści mieczy.

Minęli ciemną kuźnię na rozstaju, drewniany zajazd, przysadzisty kościół Świętego Barnaby z kwadratową wieżą, aż wreszcie końskie podkowy zastukały na bruku, którym wyłożono dojazd do mostu. Zatrzymał ich strażnik, aby uprzedzić o przyjeździe spodziewanych gości. Po krótkiej wymianie zdań otwarto przed nimi nabijaną potężnymi ćwiekami bramę i mogli przejechać nad szeroką, choć suchą fosą. Przez chwilę nad ich głowami straszyły stalowe zęby kraty i oto zna-

leźli się po wewnętrznej stronie murów, w drodze na główny zamkowy dziedziniec. Ktoś powiesił tam latarnię i choć płomień, który raz po raz przygasał targany podmuchami, niewiele czynił dla rozpędzenia mroku, to był przynajmniej krzepiącym podróżnych znakiem życzliwego powitania. Służba zbliżała się już od strony stajni, a także schodziła po schodach od ciężkich, drewnianych wrót, prowadzących w głąb zamku, do wielkiej sali. Natychmiast zajęto się końmi - zdjęto juki, zdrożone zwierzęta odprowadzono do stajni, by je rozsiodłać, zadać im obroku i wyszczotkować - część służby udała się natomiast w stronę kuchni. Tymczasem obaj przybysze stali na dziedzińcu i z uwagą rozglądali się dookoła.

- To miejsce robi wrażenie - stwierdził sir Joshua. - Trochę średniowieczne, jak na mój gust, wygod chyba nie należy się spodziewać. Wygląda tak, jakby wzniesiono je, aby mieć spokój od Walijszyków i granicznych maruderów. Pamiętaj - co widzisz?

- Mniej więcej, chociaż nie byłem tutaj od lat. Lord Edward nie należał ostatnio do tych członków rodziny, którzy witali mnie z otwartymi ramionami. - Wysoki, szeroki w barach mężczyzna zdjął kapelusz i przeczesał dłonią gęste włosy.

- To dla ciebie nic nowego. A teraz to wszystko jest twoje!

- Aha. Tylko czy w ogóle chcę to mieć? - Nowy właściciel okręcił się na pięcie, wdychając stęchłe powietrze, i zmierzył wzrokiem masywne kamienne mury, otaczające ich ze wszystkich stron, małe okienka i zachlapany błotem bruk. Wrażenie było doprawdy przytłaczające. - Przed laty doszło w rodzinie do kłótni. Według mojej matki lord Edward nakazał mojemu ojcu wynosić się z domu, wygra-

zając mu garłaczem, i zapowiedział, że jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczy w pobliżu jego lub moją matkę, to będzie strzelał bez ostrzeżenia. Do ich dzieci także. O ile mi wiadomo, nazwał nas bachorami z piekła rodem, w czym zresztą niewiele odbiegł od prawdy. Ojciec nie bardzo się tym przejął. Nigdy nie wiązał żadnych nadziei z tym spadkiem. A Edwarda nienawidził jak samego diabła. Obaj mężczyźni zwrócili się ku schodom.

- Zakładam, że zatrzymasz się na noc, Josh.

Sir Joshua Hopton się roześmiał.

- Nic nie zmusi mnie do dalszej podróży dziś wieczorem. Jutro mam dość czasu, a tymczasem prowadź, Francis. Rójaliści są w tym rejonie naprawdę silni, nie zamierzam więc ryzykować.

- Zapraszam więc do środka. Z przyjemnością zaoferuję ci gościnę w Brampton Percy. Na wszelki wypadek nie patrz w lewo, bo szczur, który przed chwilą przebiegł pod murem, miał rozmiary spasionego kota. Tylko zastanów się, czy naprawdę chcesz się tu zatrzymać. Pamiętaj, że w sypialni możesz mieć podobnego gościa.

Śmiejąc się wesoło, obaj doszli wkrótce do wielkiej sali dwunastowiecznej twierdzy Brampton Percy. W wysokim, przestronnym pomieszczeniu niosło się echo. Zachowało się tu oryginalne wyposażenie z galerią dla minstreli naprzeciwko wejścia i kilkoma drewnianymi parawanami, rozstawionymi na podłodze jako zasłona przed przeciągiem. Poza tym oprócz rzeźbionej dębowej skrzyni oraz dwóch dębowych krzesel z wysokimi oparciami i zdobionymi poręczami sala była pusta.

- Witamy - rozległ się cichy głos za ich plecami i w drzwiach, niewątpliwie prowadzących do części domu przeznaczony dla służby, ukazał się ciemno ubrany człowiek, który skłonił się elegancko i z wielkim szacunkiem. Był wątej budowy, miał swoje lata, o czym świadczyły krótko przystrzyżone siwe włosy. Następne słowa skierował do nowego właściciela, którego niewątpliwie poznał: - Oczekiwaliśmy przybycia nowego pana, sir Francisie. Teraz powinienem zresztą powiedzieć, lordzie Mansellu. Milord na pewno mnie nie pamięta. Jestem Foxton, zarządca lorda Edwarda. Jeśli wolno mi przypomnieć, pamiętam milorda z czasów jego wizyt, kiedy był jeszcze chłopcem.

- Foxton, naturalnie. - Uśmiech przemknął po chmurnej twarzy lorda Mansella. - Lata mijają, co? Czy to nie ty za karę wykręciłeś mi ucho, kiedy stukłem witraż w kaplicy?

- To rzeczywiście ja, milordzie - przyznał spokojnie zarządca. - Dzieci bywają czasem niesforne, ale, jak słusznie milord powiedział, minęło już wiele lat. Proszę pozwolić, że wezmę okrycia i kapelusze.

- To jest sir Joshua Hopton. - Mansell wskazał swojego towarzysza. - Zostanie u nas na noc, a jutro pojedzie do Ludlow. Zakładam, że możemy udzielić mu gościny.

- Naturalnie, milordzie. Bez najmniejszych trudności.

Obaj rozpięli nasiąknięte wodą, oblepione błotem peleryny, podali zarządcy również kapelusze i rękawiczki.

- Kolacja i napitek będą mile widziane, i to jak najszybciej. Proszę rozpaścić ogień. Mamy za sobą długą drogę.

- Dodałbym jeszcze wygodne miejsce do siedzenia - wtrącił sir Joshua. - Prawie przyrośłem do tego przeklętego zwie-

rzędzia. Najskromniejsza poduszka będzie odpowiedzią na moje modlitwy.

-Naturalnie, sir Joshuo. Wszystko jest przygotowane w komnacie na szczycie starej wieży. Robert pokaże drogę, jeśli milord zapomniał. Przy okazji niech mi wolno będzie złożyć milordowi kondolencje. Mieszkańcy Brampton Percy z wielką ulgą przyjęli tak szybki przyjazd milorda, zważywszy na nagłą śmierć lorda Edwarda i niebezpieczeństwa, grożące bogobojnym ludziom poza domem.

- Dziękuję, Foxton. Dobrze się stało, że przyjechałem.

- Wątpię, czy ludzie będą równie zachwyceni obecnością nowego pana, kiedy zrozumieją, że twój punkt widzenia na aktualną sytuację w ogólności i na rolę jego królewskiej mości w szczególności niezbyt pokrywa się z poglądami lorda Edwarda. - Josh wypowiedział te słowa zniżonym głosem, przeznaczył je bowiem wyłącznie dla uszu Francisa. - Ciekawie byłoby przyjrzeć się reakcji twoich sąsiadów, kiedy pojmą, że wpuścili do swojego rojalistycznego kurnika lisa parlamentarzystów.

- Myślę, że dziś wieczorem nie podejmę tego tematu. Prawdopodobnie, jak słusznie zauważyłeś, jest to bardzo drażliwa kwestia, a mnie starczy już siły tylko na to, żeby coś zjeść i położyć się spać. Zobaczmy, co będzie jutro. - Zwrócił się ponownie do zarządcy, który właśnie zamierzał wynieść przemoczoną odzież do kuchni. - Chcę spytać o pogrzeb lorda Edwarda, Foxton. Czy poczyniono już niezbędne przygotowania do uroczystości?

- W rzeczy samej, milordzie. Wielebny Gower, miejscowy duchowny, wszystkiego dopilnował. Pogrzeb ma się odbyć



jutro, czyli w środę, w kościele Świętego Barnaby, jeśli milordowi to odpowiada.

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby być inaczej.

Odwrócili się i ruszyli ku schodom w drugim końcu sali, postępując za Robertem, przykładnie ubranym służącym.

- Nie musisz zostawać na pogrzebie. - Mansell rozumiał, że przyjaciel chce jak najszybciej dotrzeć do Ludlow, by przekonać się, że w domu wszyscy są cali i zdrowi. - Wątpię zresztą, czy mogę ci zaoferować jakiegokolwiek wygody. - Ruchem głowy wskazał pajęczyny obficie zwisające z krokwi i ostentacyjnie zatrząśł się z zimna, przeciąg bowiem bardzo dawał mu się we znaki. Sala najwyraźniej nie była ogrzewana, mimo że na jednej ścianie znajdował się olbrzymi kominek. - Mam wrażenie, że odkąd ten zamek zbudowano, nikt nie wydał na niego ani funta, a już nie pewno nie wprowadził żadnych udogodnień.

- To wyjątkowo trafne spostrzeżenie, milordzie.

Mansell raptownie przystanął i potoczył wzrokiem dookoła, usiłując dostrzec w mroku osobę, która mówiła starannie modulowanym i bez wątpienia żeńskim głosem.

- Większą część zamku wzniesiono ponad trzysta pięćdziesiąt lat temu, lordzie Mansell - ciągnęła. - Mogę ręczyć, że od tej pory ani nie próbowano go unowocześnić, ani rozbudować, z niewątpliwą szkodą dla wygody i przyjemności mieszkańców.

Dopiero gdy się odwrócił, dostrzegł postać częściowo schowaną za rzeźbionym parawanem, ustawionym wzdłuż północnej ściany wielkiej sali. Kobieta miała na sobie ciemny strój, więc jasne plamy twarzy i dłoni przykuły jego uwa-

gę. Mogła to być zwykła służąca, zajęta swoimi codziennymi obowiązkami, ale jeśli tak, to wydawała się wyjątkowo śmiała. Bez wątpienia przeszedłby obok, kwitując jej słowa zdziwioną miną i ledwo zauważalnym skinieniem głowy, gdyby nie dyskretne kasznięcie Foxtona.

- Milordzie...

Nieznamąca z gracją podeszła do zarządcy, ani przez chwilę nie odrywając wzroku od twarzy Mansella. Gdy wyłaniała się z mroku, obok niej pojawił się duży pies. Zwierzę trzymało się spódnic pani, jakby czując, że powinno jej pilnować. Francis przyjrzał się kędzierzawej, szarawej sierści, szerokiego łbowi ze zwężonym pyskiem i mimowolnie się uśmiechnął. A więc jest i prawdziwy wilczarz. Pies warknął i uspokoił się dopiero wtedy, gdy poczuł na łbie dłoń pani.

Mansell przeniósł wzrok na kobietę, choć bez szczególnego zainteresowania. Krewna? Rezydentka? Na pewno nie służąca, nawet nie gospodyni, sądząc po stroju.

Stała w milczeniu i czekała, aż zarządca lub nowy pan domu przejmie inicjatywę. Nosiła czerń od stóp do głów, bez biżuterii, koronek czy jakichkolwiek ozdób, suknia była jednak uszyta z najprzedniejszego jedwabiu, a jej krój wskazywał na jedną z pracowni w Londynie. Ciemne włosy miała schludnie zebrane w kok na karku. W owalu twarzy zwracały uwagę przejrzyste orzechowe oczy, wyraźnie zaznaczone brwi i pozbawione uśmiechu usta. Na policzkach brak było nawet śladu rumieńców. Mansellowi przyszło do głowy, że kobieta znajduje się na skraju załamania. Kurczowo splotła dłonie, aż pobielwały smukłe i wypiełgnowane palce.

Zerknął na Foxtona z nadzieją, że zarządca wybawi go

z kłopotliwej sytuacji. Zanim jednak to się stało, dama dygnęła i się odezwała. Jej głos, podobnie jak poprzednio, choć cichy, brzmiał zdecydowanie i władczo. Nie, na pewno nie mógł należeć do gospodyni.

- Oczekiwaliśmy twojego przybycia, lordzie Mansellu. Musisz być zmęczony po podróży, podobnie jak twój towarzysz.

- Konwencjonalnych słów nie ozdobiła nawet namiastka uśmiechu. - Wino i posiłek podano w komnacie na wieży. To najcieplejsze pomieszczenie w zamku.

- Dziękuję. Foxton tam właśnie nas skierował. Pani...? - Dostrzegł, że zarządca i dama szybko wymienili spojrzenia.

- Rozumiem, że lord Edward nie uznał za stosowne poinformować milorda.

- Poinformować mnie? Nie bardzo wiem...

- Milordzie - Mansellowi przyszedł w sukurs Foxton - jeśli wolno mi będzie, chciałbym zadośćuczynić wymogom dobrego wychowania. - Skłonił się przed kobietą. - Mam zaszczyt przedstawić Honorię, lady Mansell, niedawno poślubioną żonę lorda Edwarda. Ten dżentelmen, milady, to sir Francis Brampton, daleki kuzyn lorda Edwarda, a obecnie lord Mansell, dziedzic tytułu. Towarzyszy mu sir Joshua Hopton.

Dama wykonała głęboki dyg, a obaj panowie skłonili głowy. Sir Francis skorzystał z okazji, by uporządkować nieco w myślach fakty i wrażenia. Nie tego się spodziewał, gdy otrzymał wiadomość o nagłej śmierci Edwarda. Teraz należało się liczyć z całkiem niepotrzebnymi komplikacjami.

- Żona Edwarda. Nie zdawałem sobie sprawy... - Obrzucił kobietę surowym spojrzeniem, jakby czemuś zawiniła, a potem zmarszczył czoło, zwrócił bowiem uwagę na jej piękne

włosy i wyraziste rysy. - Mam wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy.

- Owszem, chociaż nie sądzę, żebyś to pamiętał, milordzie. To było ponad dwa lata temu w Londynie, przed wybuchem tych niepokojów...

- Ależ naturalnie. - Nie udało mu się ukryć zaskoczenia. - Honoria Ingram, dziedziczka Laxtona, jeśli mnie pamięć nie myli. Przebywałaś, pani, na dworze jesienią w tysiąc sześćset czterdziestym roku. W Whitehall. Ja byłem tam wtedy z Katherine...

- Tak. Jestem, a właściwie byłam, Honorią Ingram.

- Poznaliśmy się przy okazji przedstawienia na dworze królowej jednej z tych ekstrawagancji Inigo Jonesa. - W jego głosie pojawiła się ledwo zauważalna nuta dezaprobaty.

- Byłam tam z moim opiekunem, sir Robertem Denhamem, i resztą rodziny.

- Sir Roberta oczywiście znam. Nie miałem pojęcia, że kuzyn się ożenił!

- Skąd miałeś to wiedzieć, milordzie? - Przyglądała się jego reakcjom z pewnym zainteresowaniem, lecz bez emocji.

- Lord Edward zawsze dawał do zrozumienia mojemu ojcu, że postanowił się nie żenić. Mieliliśmy wszelkie dane ku temu, by uważać, że nie żywi wielkiego szacunku ani dla kobiet, ani dla instytucji małżeństwa.

- Nie mnie o tym sądzić, milordzie.

Honoria jeszcze bardziej zbladła, jeśli w ogóle było to możliwe. Lord Francis był na siebie wściekły, że tak niezręcznie dobrał słowa i wykazał się całkowitym brakiem taktu. To było niewybaczalne. Mało eleganckie wysiłki sir Joshui, by zamas-

kować kaszlem wybuch śmiechu, zirytowały Francisca jeszcze bardziej, przesłał więc przyjacielowi groźne spojrzenie, a potem zwrócił się ku wdowie po kuzynie z nadzieją, że uda mu się trochę załagodzić niezręczną sytuację.

- Proszę mi wybaczyć, milady. Nie powinienem był tak się zachować. W każdym razie nie zamierzałem być nieuprzejmy. Wygląda na to, że długa i męcząca podróż zaszkodziła moim manierom. Czy zechcesz przyjąć moje przeprosiny?

Dama nieznacznie pokręciła głową.

- Nie są konieczne, milordzie. Twoja ocena sytuacji jest bardzo wnikliwa i w dużej mierze właściwa. Sądzę, że lord Edward istotnie nie zamierzał się ożenić, i zmienił zdanie dopiero niedawno. Nadzieja na zdobycie majątku w nieruchomościach i złotej monecie może skłonić do zmiany zdania nawet najbardziej upartych i uprzedzonych do małżeństwa mężczyzn. - Nastąpiła prawie niezauważalna pauza. - Lord Edward bez wątpienia był i jednym, i drugim.

- Kiedy się pobraliście? - Mansell był pewien, że słyszy w jej głosie skrywaną gorycz. Przyczynę małżeństwa wyjawiała wszak z brutalną szczerością.

Pierwszy raz zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi, być może nie chciała ujawnić więcej szczegółów. W jej spojrzeniu pojawił się na chwilę ślad żywszego uczucia, równie szybko jednak znikł, zbyt szybko, by Mansell mógł go zinterpretować. Jej twarz pozostała beznamiętna, a ton głosu, gdy w końcu się odezwała, brzmiał zupełnie obojętnie.

- Przed czterema tygodniami, milordzie. A teraz jestem wdową. O ile wiem, pan Wellings, adwokat lorda Edwarda, zamierza spotkać się z tobą w czwartek, czyli dzień po pogrze-

bie, aby porozmawiać o spadku i moim dożywociu. - Odwróciła się ku schodom, uprzedzając wszelkie próby kolejnych pytań ze strony Mansella. - Myślę, milordzie, że chcesz już wraz z sir Joshuą opuścić tę wietrzną salę i poszukać wygodniejszego miejsca. Moja komnata na wieży jest przynajmniej ciepła i przeciągi są tam słabsze.

## Rozdział drugi

W środę, w dniu pogrzebu lorda Edwarda Mansella, deszcz zaczął bez przerwy i wiał silny wiatr. Gdy nowy lord Mansell stał przy trumnie na ponurym kościelnym dziedzińcu, uznał, że ta okropna pogoda pasuje do sytuacji i jego nastroju. Gdy doczesne szczątki lorda Edwarda wniesiono do kościoła, aby złożyć je w krypcie rodzinnej, rozległo się chóralne westchnienie ulgi. Wreszcie można było schronić się pod dachem.

Niewiele miejscowych rodzin zdecydowało się wziąć udział w pożegnaniu starego lorda. Wojna osłabiła tradycyjne lokalne więzi, a lord Edward nigdy nie cieszył się popularnością wśród elity hrabstwa. Był zanadto porywczy, a przede wszystkim miał węża w kieszeni i z niechęcią spełniał nawet podstawowe obowiązki, jakie zasady gościnności dyktowałyby wobec sąsiadów. Poza tym często zachowywał się bardzo nieprzyjemnie.

Wielebny Stanley Gower monotonnie celebrował nabożeństwo, a nosowe brzmienie jego głosu potęgowały chłód i wilgoć panujące w kościele. Wierni pokaszali i szurali nogami; doskwierało im zimno bijące od kamiennej podłogi i murów.

- Skoro bowiem spodobało się Panu naszemu, Bogu Wszechmogącemu, w łasce swej powołać do siebie naszego drogiego brata Edwarda...

Mansell cicho westchnął, mocno bowiem wątpił, czy ktokolwiek z obecnych myślał o lordzie Edwardzie jak o droгим bracie. Przez cały czas pilnował się, by nie odrywać wzroku od pokancerowanych desek starych ław, bo nie chciał zdradzić się ze swoimi myślami. Z drugiej strony Mansella siedział sir Joshua, który zdecydował się przełożyć wyjazd do Ludlow, aby udzielić przyjacielowi duchowego wsparcia.

Ławę starego lorda, ozdobioną na drzewiczkach startym już herbem Bramptonów, zajmowała lady Mansell. To ona zdecydowała, że życzy sobie siedzieć sama. Mansell naturalnie chciał wesprzeć wdowę swoim towarzystwem, ale spotkał się z odmową. Aż do ostatniej chwili odgradzała się od wszystkich, celebując samotność w ławie męża. Francis zerknął kątem oka, aby ocenić stan jej ducha. Bardzo zaintrygowała go ta nieoczekiwana komplikacja w postępowaniu spadkowym.

Honorina Brampton pozostawała w nieświadomości tego, że jest obserwowana. Siedziała nieruchomo, z rękami splecionymi na podołku. Kaptur sukni, zsunięty do tyłu, odstaniał starannie wypielęgnowane pukle. Z niezakłóconym spokojem patrzyła na wprost, ku odległemu ołtarzowi. Lord Mansell nie zauważył na jej twarzy ani łez, ani oznak niepokoju. Również oczy wydały mu się bez wyrazu, choć wzrok był nieco rozproszony. Prawdę mówiąc, po ich jedynym krótkim spotkaniu oczekiwał właśnie czegoś w tym rodzaju.

Poprzedniego wieczoru szybko zapewniła przyjezdnym wikt i opierunek, poleciła służbie dopilnować, aby niczego



im nie brakowało, i udała się do swoich pokoi. Nie uczyniła wysiłku, by podjąć ich osobiście, nie powiedziała niczego o śmierci swojego męża, nie zapytała o podróż. Wszystko potoczyło się sprawnie i tak jak powinno, ale całkiem bezosobowo, lady Mansell nie okazała żadnego zaangażowania. I wyglądało na to, że wcale nie z powodu przygniatającego smutku. Nabożeństwo dobiegło końca, a wielebny Gower wyraźnie przyspieszył, reagując na widoczne znużenie wiernych i przenikliwie zimno. Trumnę przeniesiono z honorami do południowej nawy, po czym nie bez trudności, na co wskazywały mamrotane pod nosem przekleństwa, opuszczono ją do krypty, gdzie spoczywały już szczątki innych Bramptonów.

- ... z prochu powstałeś i w proch się obrócisz w mocnej nadziei zmartwychwstania do życia wiecznego...

Fala wiernych zaczęła się wylewać na dziedziniec.

- No cóż, milordzie. - Sir William Croft stanął przed Mansellem i podał mu rękę. - Przykre okoliczności, wiem, ale witaj w hrabstwie. Znałem, naturalnie, twojego ojca. Chętnie zawrę znajomość również z tobą, mój chłopcze, i z przyjemnością przedstawię cię reszcie mojej rodziny w bardziej sprzyjającym momencie.

Wątpię, pomyślał Mansell, ale zachował to dla siebie i tylko odwzajemnił uścisk dłoni, dodając do niego uśmiech i nieznaczny skłon głowy.

- Dziękuję, sir Williamie. Pamiętam, że mój ojciec często mówił o tobie. Bardzo cię poważał. Ufam, że przyjmiesz zaproszenie do zamku. Trzeba uciec od tego przeklętego deszczu i przekonać się, czy zawartość piwnic lorda Edwarda pomoże nam trochę się rozgrzać.

- Szczerze mówiąc, nie postawiłbym na to wiele - zauważył sir William - ale chętnie pomogę ci odkryć niedoskonałości w twojej schedzie. Nie jestem pewien, czy uda ci się znaleźć choćby baryłkę piwa, a tym bardziej cokolwiek mocniejszego. Nie, stanowczo nie postawiłbym na to swojego ostatniego pensa. Lord Edward nie lubił wydawać pieniędzy. Zawsze zresztą utrzymywał, że nie ma z czego wydawać... choć tylko dlatego, że nigdy nie pozwalał się przekonać, żeby sprawniej zbierać pieniądze. Obawiam się, milordzie, że twoje nowe włości okażą się ciężarem, chyba że zechcesz poświęcić czas i energię, aby przywrócić im świetność.

Gdy Mansell odwrócił się, spostrzegł, że błotnistą ścieżką zmierza ku niemu lady Mansell. Nasunęła już kaptur, miała więc zakryte włosy i większą część twarzy. Sprawiała teraz wrażenie kruchej i zagubionej, samotnej wśród rozproszonych grupek żałobników. Nagle wydało mu się, że Honoria traci równowagę, szybko więc zrobił krok w jej stronę i zdecydowanym ruchem podtrzymał jej ramię.

- Dobrze się czujesz, milady? - zapytał cicho.

Chociaż nie odsunęła się od niego, to również nie dała do zrozumienia, że pomoc jest mile widziana. Pokręciła głową i zdecydowanym ruchem cofnęła ramię.

- Dziękuję, milordzie. Nie potrzebuję pomocy. Muszę wrócić do zamku i dopilnować, aby goście mieli wszystko, czego im potrzeba.

W wielkiej sali podano skromny posiłek. Chleb, mięso, ser i pasztety na wielkich półmiskach. Mimo obaw sir Williama były też dzbany wina i beczki piwa. Do długiego stołu przy-

stawiono krzesła na wypadek, gdyby ktoś z gości miał kłopoty z utrzymaniem równowagi. Rozpalono ogień w olbrzymim kominku. Wprawdzie ciepła wiele nie dawał, ale liczył się sam gest, a ci, którzy wraz z lordem Mansellem przyszedli z kościoła do zamku, chętnie zbliżali się do skaczących płomieni. Z wilgotnych aksamitów i ubłoconych skórzanych kamizeli unosiła się para. Goście składali stosowne, acz niezbyt szczere wyrazy współczucia nowemu panu i lady Mansell, służba energicznie dolewała piwa i grzanego wina, a zebrani stopniowo czuli się coraz swobodniej i zaczęli toczyć rozmowy o różnych miejscowych sprawach, jak to przy takich okazjach.

W pewnej chwili Mansell dostrzegł obok siebie Foxtona, stojącego z zafrasowaną miną.

- Czy wszystko jest jak należy, milordzie? - spytał zarządca. - Zrobiliśmy co w naszej mocy. Trzeba jednak zrozumieć... Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale...

- Dziękuję, Foxton. Jest lepiej, niż mógłbym się spodziewać w tej sytuacji. - Nie zamierzał ukrywać, że zdaje sobie sprawę z żalosego stanu niegdyś wspaniałego zamku Brampton Percy. Przez ostatnie dziesięciolecie nie było tu ani pieniędzy, ani gospodarskiej troski. Bóg jeden raczy wiedzieć, co działo się z rentami dzierżawnymi. Może rzeczywiście nie zbierano ich zbyt skrupulatnie, jak sugerował to Croft. Mansellowi wystarczyło kilka godzin, by zorientować się, jak wielkie są potrzeby zamku. A to wszystko było teraz jego, co Joshua wypomniał mu z nieukrywaną złośliwością. - Goście czują się znakomicie, Foxton. Jestem wam za to zobowiązany. - Jego surowe rysy rozjaśnił uśmiech. - Myślę, że lord Edward nawet nie wiedział, jak wiele zawdzięcza waszym rządcom. Ale ja wiem.

Foxton skłonił się z podziękowaniem.

- Służenie rodzinie milorda jest dla mnie zaszczytem i obowiązkiem. Wcześniej mój ojciec robił to samo. Ale to jest dzieło lady Mansell, milordzie. Bardzo zależało jej na tym, abyśmy mogli choć skromnie ugościć ludzi, chociaż trudno było przewidzieć, ile osób zechce oddać hołd lordowi Edwardowi. W każdym razie gdyby ktoś chciał zostać na noc, przygotowaliśmy kilka sypialni.

- Dziękuję, Foxton. Bardzo jestem wam wdzięczny.

Odwrócił się od zarządcy, żeby sprawdzić, co robi wdowa. Szybko dojrzał ją wśród gości. Przesuwała się w czarnej sukni od grupki do grupki, tu zamieniła dwa zdania, tam podała kielich wina, gdzie indziej wysłuchiwała kogoś lub przyjęła kondolencje. Wielki szary pies podążał krok w krok za panią. Lady Mansell zachowywała dużą pewność siebie, a jej opanowanie znów zrobiło duże wrażenie na Mansellu. Jeszcze bardziej jednak zainteresował go szacunek, z jakim zwracała się do niej służba. Cały czas wpatrywano się w nią i próbowano odgadnąć każde jej życzenie. Nie było to obce nawet Foxtownowi. Lady Mansell była panią Brampton Percy zaledwie kilka tygodni i w tak krótkim czasie, cokolwiek można sądzić o lojalności służby, wszyscy w domu zgodnie wzięli ją pod swoje opiekuńcze skrzydła.

Jak ona to zrobiła? - zastanawiał się Mansell, przyglądając jej się z oddali. Wkrótce wyjawiał swoje myśli sir Joshui.

- Nie wydaje mi się, żeby była szczególnie zajmującą rozmówczynią, z pewnością nie stara się też okazać wielkiej gościnności. A jednak nawet pies lorda Edwarda nie odstępował jej na krok. Co tak wszystkich do niej ciągnie?

Sir Joshua wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie widziałem, żeby się uśmiechała ani okazywała zadowolenie. Dopiero co przyglądałem się, jak sir Thomas Rudhall usiłuje ją wciągnąć do rozmowy. - Joshua odwrócił się ku jednej z grupek, chcąc dyskretnie wskazać przyjacielowi wspomnianego dżentelmena.

- Rozumiem, że to też ktoś z rodziny?

- Tak. Zdaje mi się, że twój kuzyn. W dodatku bardzo ważny... we własnym mniemaniu. To ten opierający się o kominiek niechluj. Ten, który gada, siejąc dookoła okruchy. Mieszka w Rudhall Park. Biedak bardzo starał się wyrzeźwić wrażenie na bogatej wdowie.

-I co?

- Odsunęła się, jakby się bała, że ją czymś zarazi, i popatrzyła na niego tak, jakby utapłał się w błocie. - Sir Joshua uśmiechnął się na to wspomnienie. - Nasz ważny Thomas szybko poszukał miejsca przy beczce z piwem. Marzenia o młodej, bogatej wdówie z uczciwym dożywociem, wygrzewającej mu łożę, prysnęły jak bańka mydlana po jednej krótkiej wymianie zdań. Szkoda, że nie słyszałem, co mu powiedziała.

- Przynajmniej dobrego gustu odmówić jej nie można. - Mansell pogardliwie wyduł wargi, taksując wzrokiem krewnego, który właśnie wygłaszał głośną tyradę na temat siły miejscowych rojalistów i pewnej klęski parlamentu. - Nie wykluczam, że małżeńskie więzy były dla niej trudne do zniesienia, a założyłbym się, że wątpliwy urok Rudhalla pociąga niewiele kobiet. Słabo pamiętam kuzyna Edwarda, ale małżeństwo z nim musiało stanowić niemałą próbę dla żony. - Mansell zawahał się, a ściągnięte brwi wskazywały, że nad czymś

się zastanawia. - Dla rozpieszczonej panny mogło to być nawet coś gorszego. Pewnie na tym właśnie polega problem.

- Teraz przynajmniej odzyskała wolność. Powinna się z tego cieszyć.

- To prawda. Ja w każdym razie cieszyć się przestałem. Muszę chyba przygotować się na najgorsze. Sir William Croft zmierza w naszym kierunku, a obawiam się, że nie zdołam przed nim uciec. - Mansell uśmiechnął się kwaśno. - Nie spodziewaj się jednak z mojej strony zbyt przeproszającego tonu.

- Czy kiedykolwiek takiego używasz? - spytał kpiąco Josh.  
- W każdym razie zostawię cię teraz. Francis, sam się ratuj, a ja porozmawiam z wdową i wypróbuję na niej moje wdzięki. Mam ochotę trochę dokuczyć Rudhallowi, choć nie wiem, czy na to zasługuje.

Sir William Croft stanął obok nich z kuflem piwa w dłoni. Mimo upływu lat krzepy mu z pewnością nie brakowało. Twarz miał rumianą, ogorzałą.

- Pewnie powinienem wyrazić żal z powodu odejścia Edwarda - zaczął bez wstępów. - Prawdę mówiąc, jest mi znacznie bardziej przykro z powodu śmierci twojego brata w zeszłym miesiącu. To straszne, że James opuścił ten padół w tak młodym wieku.

- Tak, to wielka strata - przyznał szorstko Mansell.

- Ty też przeżyłeś tragedię. Katherine i dziecko... to już ponad rok, prawda? A potem ojciec... - Pokręcił głową, przejęty nieprzewidywalnością śmierci. - Fatalny okres w twojej rodzinie.

- Owszem.

- Wybacz mi, chłopcze. - Sir William zacisnął wielką dłoń

na ramieniu Mansella. - Widzę, że nie masz ochoty o tym rozmawiać, ale byłoby z mojej strony zaniedbaniem, gdybym nie złożył ci kondolencji... również w imieniu mojej żony. Twoja matka napisała do niej o Katherine, choć jej nie znaliśmy.

- Nie. - Poprzednia odpowiedź Mansella była chłodna, kolejna zabrzmiała wręcz lodowato. Sztywna poza rozmówcy stanowczo zniechęcała do dalszego zajmowania się tym tematem.

Sir William przestąpił z nogi na nogę i na dłuższą chwilę przytknął kufel do ust.

- Twoja matka musi to bardzo przeżywać, jak sędzę.

- Tak. - Mansell nieco się odprężył, wziął od służącego kieliszek wina. - Przebywa w Londynie z Nedom i Cecylią i obawiam się, że ciężko jej na duszy. Co grosza, lęka się, że któregoś dnia mnie lub Neda również może trafić zabłąkana kula, jak to się stało z Jamesem.

- Dla ciebie, naturalnie, oznacza to nieoczekiwaną konieczność wzięcia na siebie dużej odpowiedzialności. Jak się z tym czujesz?

- Niedobrze. - Troska starego zabrzmiała tak prawdziwie, że Mansell pozwolił sobie na więcej szczerości niż zwykle. Poza tym nowy kierunek rozmowy wydawał mu się bezpieczniejszy, nie budził przykrych wspomnień. - Wygląda na to, że prawie jednocześnie posiadałem dwa tytuły, najpierw szlachecki po ojcu, a teraz baronat po Edwardzie. Nie dość, że przejąłem odpowiedzialność za włości ojca, to jeszcze muszę coś zrobić z hektarami Edwarda. Nie takie życie sobie zaplanowałem.

- Nie zapominaj o spadku wdowy po Edwardzie - przypomniał sir William, mierząc Mansella bystrym spojrzeniem. -

Naturalnie pani Ingram będzie miała dożywocie z tego majątku, ale z pewnością wniosła do małżeństwa bardzo okazałe zasoby. Już same włości Laxtonów w Yorkshire muszą dawać nader okazałą sumę. Powiem ci, że kiedy Edward nagle ożenił się w takim wieku, mówiło o tym całe Herefordshire. Po co, na miłość boską, miałby pod sam koniec życia zmieniać przyzwyczajenia? O wydatkach już nawet nie wspomnę. Nie mogliśmy tego zrozumieć. Zawsze się nam zdawało, że kiedy odejdzie na tamten świat, nie będzie miał spadkobierców z najbliższej rodziny. Tymczasem nie. W dodatku musiał najpierw sprowadzić do poziomu żebraka siebie i swoich dzierżawców, aby odkupić funkcję opiekuna panny Ingram od staro Denhama. Wkrótce sam się przekonasz, że Edward był wyjątkowo nieudolnym gospodarzem tych włości. O ile mi wiadomo, księgi prowadził nieporządnie, czynsze zbierał od przypadku do przypadku i w ogóle nie inwestował. - Sir William, sam bardzo skrupulatny w rachunkach, pokręcił głowę z dezaprobatą. - Zawsze miał dziurawe kieszenie, nieustannie narzekał na biedę i żył gorzej niż dzierżawca. W tej ziemi jest wielkie bogactwo, ale lepiej nie patrzeć, co on z nim zrobił. - Obszernym gestem wskazał średniowieczną nędzę wielkiej sali. - I w takie otoczenie sprowadzić młodą żonę!

- Nie wiedziałem ani o małżeństwie Edwarda, ani o rozmiarach włości, ani o stanie, w jakim je zastanę. Również z czysto osobistych pobudek wołałbym, żeby mój brat James żył, bo mógłby objąć spadek.

Sir William skinął głową. Co tu było więcej mówić? W zamysleniu umoczył usta w piwie i powiódł wzrokiem ku stojącej w drugim końcu sali damie, której dotyczyła rozmowa.



- Biedaczka - mruknął.

- Czemu tak uważasz?

- Czyżbyś w ogóle nie znał swojej kuzynki? - Uniesieniem brwi sir William dał znak, jak bardzo jest tym zdziwiony.

- Właściwie nie.

- Na to wygląda, przecież inaczej nie pytałbyś. Nie chcę źle mówić o umarłych, a z pewnością nie w dniu pogrzebu. Niech więc wystarczy ci to: Edward miał niewielu przyjaciół, którzy szanowałiby go lub żalowali jego śmierci, co zresztą widać po liczbie żałobników, którzy tu przyjechali. A jeśli chodzi o jego zasługi w roli czulego i troskliwego męża młodej kobiety? Tu powiem tylko tyle, że Denham musiał widocznie stracić rozum. Za nic nie powinien był na to pozwolić.

Francis przyglądał się, jak lady Mansell pomaga starszej damie unieść się z fotela przy kominku i wsuwa jej łaskę w po-  
wykręcaną dłoń.

- W tej sytuacji trudno ci będzie cieszyć się spadkiem, chłopcze, chociaż w okolicy jest spokojniej niż gdzie indziej - podjął sir William, wrywając młodszego krewnego z zamyślenia. - Większość miejscowych rodzin zachowuje lojalność wobec króla lub przynajmniej ma dość rozsądku, by siedzieć cicho, a wątpliwości zostawić dla siebie. Więzy między rodzinami wciąż są silne, zwłaszcza że przez wieki ugruntowały je liczne małżeństwa. Twoja rodzina również jest spokrewniona z wieloma innymi oprócz naszej, z Croft Castle. Wspomnę najpierw Scudamore'ów albo rodziny Pyeów i Kyrie ów z Walford. Są też Rudhallowie... Syna widziałem wcześniej w kościele, stoi tam koło parawanu i jak zwykle ma taką minę,

jakby właśnie stracił najlepszego psa gończego. Naturalnie za-  
uważyłeś, że nie ma także nikogo z rodziny Coningsby?

- Owszem. Czy jest po temu powód? Twoja znajomość ro-  
dzinnych stosunków jest daleko większa niż moja, panie.

- Naturalnie z rodziną Coningsby nie jesteście spokrewnie-  
ni przez małżeństwo, ale ważna jest przede wszystkim waśń,  
sięgająca wielu lat wstecz. Zdążyłem już zapomnieć szcze-  
gółów. W każdym razie to cała historia. Możesz się wkrótce  
przekonać, że odziedziczyłeś ją wraz z włościami. Lepiej za-  
chowaj czujność, chłopcze.

- Niewątpliwie wkrótce się wszystkiego dowiem. Powiedz  
mi jednak, sir Williamie, jak wyglądają obecnie skłonności  
polityczne moich kuzynów.

- Sami rojaliści, rzecz jasna. Coningsby rządzi silną rę-  
ką w Hereford. Razem musztrujemy oddziały, tak jak należy,  
choć niepokojów do tej pory wiele nie było. Najbliższym  
garnizonem parlamentu w Gloucester dowodzi pułkownik  
Massey. Za daleko siedzą, żeby uprzykrzać nam życie na co  
dzień. Organizujemy więc tu wszystko po swojemu, a tacy łaj-  
dacy, jak John Pym w Londynie wtrącają się do nas rzadko.

Mansell spojrział sir Williamowi w oczy.

- Powinienem pewnie wyrazić to jasno, sir Williamie. Mo-  
je sympatie leżą po stronie parlamentu. Nie mogę z czystym  
sumieniem popierać takiego człowieka, jak Karol Stuart, któ-  
ry wbrew radom parlamentu byłby gotów wyssać z tego kraju  
ostatnią kroplę krwi, a nawet uderzyć w podstawy jego istnie-  
nia i posłużyć się irlandzkimi katolikami, aby najechać i znie-  
wolić własnych poddanych. Nie jestem rojalistą i nie zadowolę  
się siedzeniem cicho i pozostawianiem wątpliwości dla siebie,

jak to ująłeś, panie. Będę głośno wyrażał swoje przekonania, a jeśli okaże się to konieczne, również stanę w ich obronie.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Sir William upił kolejny łyk piwa.

- Cóż, mój chłopcze. - Zmierzył Mansella wzrokiem, chyba nawet z pewnym szacunkiem. - Lubię ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, i nie boją się tego głośno powiedzieć. Czy jednak jesteś pewny? Nigdy nie spodziewałbym się po synu takiego ojca zdradzieckich słów. I on też nie. Przewróciłby się w grobie, gdyby cię teraz słyszał!

- Tego jestem pewien. Czy ta sytuacja, mam na myśli pokrewieństwo twojej rodziny ze zdrajcą, stawia cię, panie, w trudnej sytuacji?

- Tak. Nie ma co udawać. Żona będzie oczekiwać, że życzliwie cię powitam przez wzgląd na pamięć o twoich rodzicach. Moi sprzymierzeńcy polityczni będą cię przeklinać. I co ja mam zrobić? - Sir William dokończył piwo i otarł usta wierzchem dłoni. Mansell czekał spokojnie, aż krewny przemyśli tę bardzo osobistą decyzję. Miał nadzieję, że nie nastawił do siebie całkowicie wrogo tego dumnego, lecz uczciwego człowieka. Nie rozczarował się.

- Postaram się nie zapomnieć tego, co jestem winien rodzinie. Czy ojciec poznał twoje polityczne sympatie?

- Tak. Chociaż ich nie popierał, pozostał bowiem do końca wierny sprawie Stuartów, nie próbował mnie od nich odwieść. Jednak w ostatnich miesiącach jego życia nasze stosunki nie układały się dobrze. - Mansell spochmurniał, przypominając sobie ból i rozczarowanie, jakie towarzyszyły ostatnim dniom jego ojca.

- Zdajesz sobie naturalnie sprawę z tego, że twoje poglądy mogą cię postawić w niebezpiecznej sytuacji?

- W jaki sposób? Przecież nie stanowią zagrożenia dla sąsiadów, jestem w zdecydowanej mniejszości.

- Na to wygląda. Ale taka twierdza parlamentu w rojalistycznej enklawie? Wielu uzna to za poważną słabość, zwłaszcza że niektórzy sąsiedzi mogą być przekonani o zbyt wielkim rozmiarze twoich potencjalnych wpływów, skoro wzbogaciłeś się o taki majątek. Mogą znaleźć się tacy, którzy dojdą do wniosku, że najlepszym sposobem postępowania będzie pozabawienie cię części wpływów. - Uśmiechnął się ponuro. - Tacy jak Fitzwilliam Coningsby.

- Nie myślisz chyba o przemocy fizycznej, panie?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale zwróć uwagę na resztę swoich włości. Nie zaszkodziłoby dobrze je zabezpieczyć, zanim fama o tym, co mi powiedziałaś, szeroko się rozejdzie. Bo że się rozejdzie, to nie ulega wątpliwości.

- Dasz mi niezbędny czas, sir Williamie?

- Dla dobra rodziny, sam rozumiesz. Nie oczekuj jednak ode mnie zbyt wiele. Nie jestem miłośnikiem pracy pana Pyma i tłuszczy jego zwolenników, którzy chcą pozbawić tronu prawowitego monarchę i zastąpić go... no właśnie, czym? Bóg raczy wiedzieć. Gdybyśmy do tego dopuścili, to nasze życie i posiadłości znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Twoje również, milordzie.

- Teraz nie czas na taką dyskusję. Jestem jednak wdzięczny za radę i za okazaną tolerancję, sir Williamie. Mam nadzieję, że będę kiedyś mógł się odwdziżyć. I proszę, nie prowadź zbyt zaciekłych sporów z lady Croft.

Sir William burknął coś pod nosem i obrócił się, by wziąć płaszcz i kapelusz ze skrzyni przy ścianie.

- Muszę już iść. Co zamierza teraz lady Mansell?

- Nie mam pojęcia, chociaż przypuszczam, że dysponuje obecnie środkami na bardzo znaczne utrzymanie.

- To nie są dobre czasy dla młodych kobiet, aby wieść niezależne życie. Zwłaszcza dla młodych bogatych kobiet.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir Williamie. To jest następny problem, który muszę rozważyć.

- Życzę ci szczęścia. Jeśli skorzystasz z mojej rady, to nie będziesz wspominał nikomu o swojej lojalności wobec parlamentu przynajmniej do czasu, gdy zdobędziesz pewność, że jesteś w stanie utrzymać włości. Nie chciałbym, abyś je stracił jeszcze przed objęciem we władanie. - Zasznurował płaszcz i nasunął kapelusz na czoło. - Uważaj, mój chłopcze. - Sir William klepnął Mansella po ramieniu. - Lokalna polityka sięga bardzo głęboko.

Wszyscy goście w końcu odjechali. Honoria, lady Mansell, stała tyłem do dymiącego ognia i wsłuchiwała się w panującą od niedawna ciszę. Poglądziła szorstki kark psa, który natychmiast przysunął się bliżej. I co dalej? Do tej pory miała mnóstwo zadań do wykonania, wiele spraw, którymi mogła zająć myśli. Teraz nie zostało już nic aż do rozmowy z panem Wellingsem, prawnikiem, która miała się odbyć najjutrz rano. Jedyne, na co miała ochotę, to położyć się do łóżka i przespać najbliższy tydzień. Albo porządnie się wypłakać ze szczęścia, że już nie musi spełniać żądań lorda Edwarda. Nie, płakać nie będzie.

Wrota wielkiej sali otworzyły się i zimny podmuch przywiał nowego pana zamku. Na jej widok zawahał się, a potem ruszył z taką miną, jakby musiał podjąć bardzo trudną decyzję. Nie odrywał od niej wzroku ani na chwilę, więc w końcu pochyliła głowę. Nie chciała okazać uczuć, zdradzić się ze swoją słabością.

Dobrze pamiętała ich pierwsze spotkanie w Whitehall. Pamiętała też jego żonę, a wówczas, w ostatnich miesiącach tysiąc sześćset czterdziestego roku - narzeczoną, Katherine. Pełną wigoru, roześmianą pannę, piękność o smukłej figurze, ciemnoblonde włosach i zielonych oczach. Widać było, że są w sobie zakochani do szaleństwa. Honoria zamknęła oczy i nie bez wysiłku odsunęła od siebie ten obraz. Musiała się strzec, bo zazdrość, którą wtedy czuła, wciąż była silna. Jak to możliwe, że w jej małżeństwie nie było ani trochę miłości, że doznała tylko bólu i upokorzeń?

Gdy podniosła głowę, znów zobaczyła Mansella. Chociaż na dworze Karola i Henrietty Marii prezentował się wspaniale, nie był dworakiem. Raczej człowiekiem czynu, może żołnierzem. Wiedziała, że jako młodszy syn musiał być przygotowywany do kariery wojskowej lub, co bardziej prawdopodobne, politycznej. Potem jednak jego starszy brat zginął w jakiejś niewiele znaczącej potyczce blisko rodzinnych włości w Suffolk i w ten sposób sir Francis stał się głową rodziny i członkiem elity hrabstwa.

Honoria uważnie mu się przyjrzała. Był wysoki, miał smukłą, lecz dobrze umięśnioną sylwetkę. Wydawało się, że nie ma na jego ciele ani grama tłuszczu. Czarny aksamitny żakiet podkreślał szerokość barków i szczupłość pasa. Ciemne włosy z jaś-

niejszymi, złocistymi pasmami opadały mu faliście na ramiona. Brwi miał ciemniejsze, jakby dla kontrastu z bladoszarymi oczami, które, gdy odbijało się w nich światło, wydawały się prawie srebrne, a gdy budziły się w nim emocje, stawały się ciemne niczym burzowa chmura. Piękne oczy, pomyślała.

Cicho westchnęła. Co stałoby się, gdyby została żoną Francis Bramptona alias lorda Mansella, bo tak teraz musiała o nim myśleć, a nie lorda Edwarda? Skąd jej się to wzięło? Nie miała pojęcia, dlaczego nagle zaczęła śnić na jawie. Stanowczo nie mogła dalej tak fantazjować. Okazać uczucia, to znaczyło oddać się we władzę świadków tej słabości. Musiała za wszelką cenę utrzymać panowanie nad sobą.

Po zastanowieniu Mansell doszedł do wniosku, że ich pierwszego spotkania prawie nie pamięta. Pozostało mu tylko mgliste wspomnienie panny pozostającej pod opieką Denhamów. Nie mogło zresztą być inaczej, skoro upajał się wtedy nowo odkrytą miłością i widział jedynie ożywioną twarz Katherine. Jak bardzo ją kochał! Co więcej, wierzył w cud miłości odwzajemnionej. Nie miał powodu pamiętać kobiety, która teraz stała przed nim spowita w czerń i sprawiała wrażenie opuszczonej przez wszystkich. Wydawała mu się zresztą całkiem atrakcyjna. Poza tym dobrze urodzona, bogata... ale i tak daleko jej było do tej, z którą spędził dzieciństwo i która potem tak ochoczo oddała mu swoje seree. Nie wolno mu jednak było myśleć o przeszłości, musiał skupić się na problemach, które czekały go teraz.

Gdy przystanął, wdowa po Edwardzie spojrzała mu w oczy.

- Ufam, że uroczystość cię zadowoliła, milordzie.

- Jak na okoliczności, w jakich się odbywała, wypadła znakomicie. - Uśmiech złagodził jego rysy. - Od Foxtona wiem, że właśnie tobie, pani, powinienem podziękować za organizację pogrzebu i przygotowanie posiłku. Muszę przyznać, że nie poświęciłem temu zbyt wiele uwagi.

- Mężczyźni rzadko to robią. Oczekują, że wszystko będzie gotowe.

Mansell uniósł brwi, a uśmiech zamarł mu na ustach. Czy riposta była z zamierzenia aż tak ostra? Twarz Honorii nie zdradzała śladów złośliwości. Uwagę zwracało za to zmęczenie, z pewnością wielkie, skoro nie była w stanie go ukryć. Na wszelki wypadek postanowił nie odpowiadać zbyt napastliwie.

- Nie mam najmniejszych powodów do narzekań, milady, i reszta gości też nie, jeśli nie liczyć czasu, jakiego potrzebował wielebny Gower, by pochować mojego mało opłakiwanego kuzyna.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru, przyszło mu do głowy, że może nie są to najbardziej taktowne uwagi w obecności wdowy, ta jednak zachowała obojętność.

- O ile mi wiadomo, milordzie, twoje pokrewieństwo z lordem Edwardem było dość dalekie.

- To prawda. - Mansell podszedł bliżej do ognia. - Trzeba się cofnąć o trzy pokolenia, jeśli się nie mylę. Mój pradziadek był bratem pradziadka Edwarda, co czyni nas... och, po prostu kuzynami. Naturalnie wcale nie spodziewałem się tego spadku.

- Słyszałam o niedawnej śmierci twojego brata, milordzie. A także o śmierci twojej żony i syna. Przykro mi. Musi być



bardzo trudno pogodzić się z taką tragedią. - Nuta współczucia w jej głosie zabrzmiała szczerze. Wprawdzie kondolencji miał już szczerze dość, zauważył jednak, że Honoria się wzdrzgnęła i mimo woli ujął jej splecione dłonie. Nie cofnął rąk nawet wtedy, gdy pies warknął.

- Przemarzałaś, milady. To nie jest miejsce dla ciebie.

Honoria głęboko odetchnęła, aby odpędzić cisnące się do oczu łzy. Nie spodziewała się takiego krzepiącego gestu.

- Nie ma o czym mówić - odrzekła cicho. - Muszę teraz dopilnować, by sprzątnięto po posiłku. Porozmawiam o tym z panem Foxtonem i panią Morgan.

- Nie. - Sir Francis delikatnie roztarł jej dłonie nieco zdziwiony, że są aż tak delikatne. - Czy w komnacie na wieży jest kominek?

- Sądzę, że tak.

- Chodź więc, pani. Jesteś od rana na nogach i powinnaś trochę odpocząć. Przy okazji pewnie chętnie napijesz się wina.

- Ale sir Joshua...

- Sir Joshua znakomicie umie sam o siebie zadbać. Czy jadłaś dziś cokolwiek, pani?

- To nie jest takie ważne...

- Rozumiem, że to znaczy „nie”. Stąd zapewne twoja bladeść i zmęczenie. - Delikatnie, lecz zdecydowanie ujął ją pod ramię i poprowadził do schodów. Pies poszedł za nimi.

Wkrótce lady Mansell usiadła na miękkiej kanapie przed kominkiem, w którym buzował ogień.

- Proszę tutaj pozostać - polecił jej Francis. - Zaraz wrócę.

Honoria doszła do wniosku, że najłatwiej będzie się porządkować temu życzeniu, chociaż nie uśmiechała jej się

nieunikniona konwersacja z nowym właścicielem Brampton Percy. Wkrótce wrócił z winem oraz chlebem i serem na półmisku, który postawił przy jej łokciu. Potem podsycił ogień w kominku i usiadł naprzeciwko Honorii, która nie tknęła ani wina, ani jedzenia.

- Zmusić cię, pani, do jedzenia, rzecz jasna, nie mogę - odezwał się surowym tonem.

- Nie jestem głodna.

Sir Francis postanowił nie wdawać się w niepotrzebny spór, lepiej było spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o tej damie.

- Opowiesz mi, pani, o swoim małżeństwie? - spytał znieknacka. - Oczywiście zrozumiem, jeśli nie będziesz chciała o tym mówić, ale... Czy słusznie zakładam, że nie było to małżeństwo z miłości?

-Tak.

- Rozumiem.

- Nie zapominaj, milordzie, że byłam dziedziczką i że moi rodzice nie żyli. Sąd oddał moje włości pod opiekę sir Roberta Denhama do czasu, aż zostanie uzgodnione moje zamążpójście.

- Aha, i w ten sposób lord Edward kupił od sir Roberta funkcję prawnego opiekuna.

- Tak, milordzie. Lord Edward powiadomił mnie, że zdołał zebrać dostateczną kwotę, aby mnie wykupić, i ma nadzieję, że ta inwestycja zwróci mu się z nawiązką. I że liczy między innymi na dziedzica. Za prawo do mojej ręki i włości zapłacił niemałą sumę dwóch tysięcy funtów. Żałował potem tych pieniędzy i wysiłku, jaki musiał włożyć w wydarcie ich swoim

dzierżawcom, więc przy każdej okazji głośno mi o tym przypominał.

- Musiało to być bardzo przykre.

- Przypuszczam, że dziedziczka nie może liczyć na nic innego. Nie mogę narzekać.

- Proszę mi wybaczyć podjęcie tak osobistego tematu, ale twój opiekun, pani, na pewno mógł wyszukać ci odpowiedniejszego męża. - Mansell postanowił mówić wprost. - Lordowi Edwardowi bliżej było do sześćdziesięciu niż dwudziestu lat. Z całym szacunkiem muszę również zauważyć, że powinnaś była wyjść za mąż wcześniej.

- Mam dwadzieścia trzy lata, milordzie.

Francis poczuł się nieswojo. Niby sam podjął ten temat, nie spodziewał się jednak tak bezpośredniej odpowiedzi.

- Nie chciałem, by to zabrzmiało tak obcesowo, milady. Po prostu zazwyczaj dziedziczki nie narzekają na brak kandydatów do ręki. Musieli być więc również inni, bardziej atrakcyjni niż mój kuzyn Edward.

- Słusznie oceniasz sytuację, milordzie, i wcale nie czuję się urażona. Kandydatów rzeczywiście mi nie brakowało. - Powiedziała to w taki sposób, jakby recytowała doskonale znany przepis na potrawę. - W bardzo młodym wieku byłam zaręczona z George'em Mannersem, dziedzicem majątku w Stafford. Spotkałam go tylko raz, był wtedy jeszcze prawie dzieckiem, nawet młodszym ode mnie. Bardzo zresztą miłym. Pamiętam, że chciał się wspinać na drzewa w parku. Niestety, w rok po zaręczynach dostał gorączki i umarł.

- Przykro mi.

Wzruszyła ramionami i odwróciła twarz do ognia.

- Potem zaręczono mnie z sir Henrym Blackmore'em, kuzynem hrabiego Sunderlanda. Miał koneksje z bardzo wpływowymi ludźmi i chęć na przejęcie moich włości. Z nim spotkałam się kilka razy. Bardzo dobrze nam się rozmawiało. Henry zginął w zeszłym roku w bitwie pod Edgehill. Kula trafiła go w głowę.

- Rozumiem. I wtedy przyszła kolej na Edwarda.

- Tak, właśnie na Edwarda - szepnęła.

Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

- Rozumiesz więc, milordzie - jej głos nabrał mocy - że w takich okolicznościach mój opiekun przyjął oświadczyiny lorda Edwarda bardzo chętnie.

- Czy było ci u nich dobrze?

- Naturalnie. Sir Robert i jego żona okazywali mi wiele troski i szacunku. To był obowiązek sir Roberta, a on swoje obowiązki brał bardzo poważnie. Stać go było na wystawne życie, a mnie wychowywano razem z jego córkami i traktowano jak ich siostrę. Niczego mi nie brakowało. Odebrałam przykładową edukację. Opieka prawna nie może jednak trwać bez końca. Myślę, że wybuch wojny również miał swoje znaczenie. Sir Robert chciał ofiarować pieniądze rojalistom.

-Co teraz zamierzasz, milady? Zakładam, że nie chcesz wrócić do domu poprzedniego opiekuna.

- Nawet nie mam prawa. Oni wywiązali się już ze swoich obowiązków. Nie musisz się obawiać, milordzie, że będę dla ciebie ciężarem. Dysponuję dużym dożywociem. Wszystko wyjaśni się ostatecznie podczas czytania testamentu, ale znam warunki, które stanowiły część interczyzy, uzgodnionej przez sir Roberta. Wprawdzie potem lord Edward zmienił

testament, wiem jednak, że moje dożywanie jest bezpieczne. Niczego od ciebie nie potrzebuję, milordzie.

- Nie o to mi chodziło. - Musiał jakoś opanować rozdrażnienie, spowodowane jej niechętną reakcją. - Co zamierzasz, pani? Przecież nie możesz zamieszkać gdzieś sama, bez opieki. Wszędzie włóczą się teraz uzbrojone bandy, nie wspominając już o regularnych oddziałach, które tylko czekają, żeby zająć cudzą własność i wykorzystać ją do swoich celów.

- Nie będę pozbawiona ochrony. - Zignorowała jego marsową minę. - Sir William Croft zaferował mi eskortę, gdybym chciała dokądkolwiek pojechać. W swoim majątku z pewnością mogę mieszkać sama. Jako wdowa, nie potrzebuję przyzwotki. Ponieważ zaś jestem kobietą, sędzę, że będę mniej narażona na atak niż ty, milordzie. Ostrzeżenie, jakie usłyszałeś od sir Williama, milordzie, ma mocne podstawy. Powinieneś rzeczywiście zająć się bezpieczeństwem swoich włości, a nie troszczyć o moje.

- Widzę, pani, że jesteś dobrze poinformowana. - Irytacja Francisa jeszcze wzrosła. - Najwidoczniej muszę się przyzwyczaić, że w tym domu nic długo nie pozostaje tajemnicą.

- To prawda. Poza tym mam stanowczo dosyć opieki, za ręczyn i małżeństw. - Kilka razy zaczerpnęła tchu w obawie, że emocje wymkną jej się spod kontroli. - Najpierw udam się do Leintwardine Manor. Ta posiadłość stanowi część mojego dożywania i znajduje się niedaleko stąd. Będzie mi tam wygodnie, a poza tym miejsce ma wiele uroku.

- Wciąż uważam, że nie powinnaś, pani, niczego robić pochopnie. Spokojnie się zastanów, co będzie dla ciebie najlepsze - nalegał Mansell.

- Wyjadę stąd najszybciej, jak tylko będę mogła. W piątek, jeśli uda mi się zakończyć wszystkie przygotowania.

- To brzmi tak, jakbyś czuła odrazę to tego miejsca, pani.

- Tego nie powiedziałam.

- Wydaje mi się, że nie doceniasz rzeczywistych zagrożeń - ciągnął, choć rozumiał, że broni przegranej sprawy. - Moim obowiązkiem jest dopilnować, abyś mogła żyć w dostatku i bezpieczeństwie.

- Jak to? - Jej spojrzenie było jawnie wyzywające. - Nie masz żadnych obowiązków wobec mnie, milordzie. Aż do wczoraj nawet nie zdawałeś sobie sprawy z tego, że jestem członkiem twojej powiększonej rodziny. Pojutrze wyjeżdżam.

Raptownie wstała i nie oglądając się już za siebie, wyszła z komnaty. Jedzenie i wino pozostały nietknięte. Tylko jeszcze przez chwilę było słychać szelest sukni, zamiatającej rąbkiem dębową posadzkę. Pies ruszył za swoją panią, a Mansell pozostał sam i mógł już teraz bez przeszkód przeklinać kobiety, które nie wiedzą, co jest dla nich dobre.

- Problem w tym - tłumaczył godzinę później sir Joshui, gdy odprowadzał go do stajni - że chociaż bardzo chciałbym uszanować jej decyzję i pozwolić, aby wszystko urządziła po swojemu, to po prostu nie mogę.

## Rozdział trzeci

- Smutne okoliczności, milordzie. - Prawnik Gregory Wellings zaszeleścił dokumentami, podkreślając tym swoją profesjonalną skuteczność.

Był czwartek rano.

Spotkali się w komnacie, którą można było przebudować na bibliotekę, gabinet lub nawet kancelarię posiadłości, gdyby którykolwiek z poprzednich właścicieli Brampton przejawiał jakiegokolwiek skłonności do zajmowania się książkami lub prowadzenia interesów. Ponieważ jednak rzeczy miały się inaczej, była to po prostu mało używana komnata, pochodząca z późniejszych czasów niż najstarsza część twierdzy. Pokancerowany dębowy stół posłużył panu Wellingsowi jako warsztat pracy: leżały na nim dokumenty i listy, postrzępiona tasiemka oraz przełamane pieczęcie. Dwa dokumenty znajdujące się bezpośrednio przed panem Wellingsem, na których spoczywały obecnie jego chude dłonie, zdradzały swoją świeżość - papier był wolny od zagięć i plam.

Honoria zajęła miejsce na krześle z wysokim oparciem, ustawionym niedaleko ognia. Lord Mansell stał za nią, wspar-

ty ramieniem o rzeźbiony gzyms kominka. Pan Wellings odchrząknął, dając tym znak, że za chwilę rozpocznie czytanie ostatniej woli zmarłego lorda Mansella. Widząc to, obecny lord Mansell odruchowo dotknął ramienia Honorii w geście wsparcia. Wzdrygnęła się zaskoczona, zerknęła na niego kątem oka, lecz po chwili wyraźnie się odprężyła. A jednak wbrew temu, co próbowała zasugerować, nie była ani beznamietna, ani obojętna na tę sytuację.

Zgodnie z życzeniem pana Wellingsa, obecny w komnacie był również zarządca, pan Foxton, w towarzystwie pani Brierly i pani Morgan, kucharki i gospodyni lorda Edwarda. Kobiety stały obok siebie pół kroku przed progiem i wyraźnie czuły się bardzo nieswojo i niepewnie - za chwilę wszak miały się dowiedzieć, czy zostaną wynagrodzone za długą i wierną służbę. Natomiast uśmiezek na twarzy Foxtona świadczył o tym, że służba nie spodziewa się bynajmniej hojności ze strony zmarłego pana.

Pan Wellings jeszcze raz odchrząknął i potoczył wzrokiem po zgromadzonych. Nieraz już bywał w Brampton Percy, znał więc wszystkich, rzecz jasna z wyjątkiem nowego lorda. Bardzo go zresztą interesowało, jak nowy pan zareaguje na treść testamentu.

-Milordzie, milady, oto treść ostatniej woli Edwarda Bramptona.

Zwrócił przymrużone oczy ku służącym i nieznacznie skłonił głowę. Na wargach zaigrał mu wąty uśmiech, być może wyrażający współczucie. .

- Lord Edward uwzględnił w testamencie pana Foxtona, panią Brierly i panią Morgan w uznaniu ich służby w Bramp-



ton Percy. Otrzymają oni odpowiednio sztukę czarnego sukna wełnianego, sztukę muślinu i sztukę płótna, wszystko wysokiej jakości, w ilości wystarczającej na nowe ubranie. Mają również zapewniony dach nad głową i utrzymanie aż do śmierci. Pan Wellings przerwał.

- Czy taka jest suma zapisu? - spytał spokojnie Mansell, choć grymas ust świadczył o jego oburzeniu.

- Tak jest, milordzie.

- To ciekawe, panie Wellings, że ostatnie życzenie obciąża mnie, a nie mojego zmarłego kuzyna, prawda?

- Zaiste, milordzie. - W bystrych oczach Wellingsa pojawiły się oznaki rozbawienia pomysłem zmarłego chlebobdawcy.

- Zapis jest stanowczo niewystarczający, ale niczego innego się nie spodziewałem. - Mansell wsunął rękę do kieszeni i wyjął skórzaną sakiewkę. Na szczęście wykazał się umiejętnością przewidywania i przyszedł przygotowany. Gdy zważył sakiewkę w dłoni, w komnacie rozległ się brzęk monet. Podeszedł do Foxtona i wręczył mu pieniądze. - Zauważyłem, że cała służba w tym domu potrzebuje nowych strojów, Foxtone. Zechciej być tak dobry i zajmij się tą sprawą. Zawartość tej sakiewki powinna wystarczyć na ten cel z nawiązką. Życzę sobie, tak jak powinien życzyć sobie każdy pan, aby ludzie, którzy mi służą, nie cierpieli niedostatku i byli stosownie ubrani.

- Milordzie... - wybąkał Foxtone, ściskając sakiewkę w dłoniach. - To bardzo wielkoduszne...

- Nie. To jest wasze prawo, którego, moim zdaniem, wam odmówiono.

- Dziękuję, milordzie. Wszystkiego dopilnuję. - Pani Brierly i pani Morgan nie były tak powściągliwe jak zarządcą i na

ich twarzach wykwitły szerokie uśmiechy. Dygnęły przed nowym panem.

- Proszę przyjść do mnie po południu, Foxton, omówimy wtedy stosowne wynagrodzenie dla waszej trójki, tak jak przystoi i jak niewątpliwie życzyłby sobie lord Edward.

- Tak jest, milordzie - odparł Foxton i wyszedł, wraz z kucharką i gospodynią.

- Dobrze zrobione, milordzie - odezwał się Wellings i skinięciem głowy wyraził aprobatę dla gestu nowego pana.

- To było oczywiste, nie ma tu żadnej mojej zasługi - powiedział surowo lord Mansell i ściągnął brwi. - Sprawna służba jest niezbędna w zarządzaniu takim majątkiem, musi więc otrzymywać godne wynagrodzenie. Lord Edward o to nie zadbał ze szkodą dla samego siebie.

- Troska milorda na pewno zostanie doceniona w Brampton Percy.

- Panie Wellings, przejdźmy do rzeczy i kończmy nasze sprawy. - Wrócił na swoje miejsce przy kominku i zmierzył wzrokiem Honorię. Francis zdziwiłby się, gdyby wiedział, że Honoria zamierzała przed chwilą wyrazić mu podziękowanie, nie doszło jednak do tego, ponieważ nie chciała zwracać na siebie uwagi. Miała jednak nadzieję zrobić to później, kiedy ta ceremonia dobiegnie końca.

- Dobrze, milordzie. - Wellings wrócił do miejsca w testamentie, w którym przerwał czytanie. - „Moja żona Honoria, zgodnie z zapisem w intercyzie, uzgodnionej przeze mnie z sir Robertem Denhamem przed zaręczynami w lutym tysiąc sześćset czterdziestego trzeciego roku, otrzymuje do swego wyłącznego użytkowania z prawem dysponowania na wypa-

dek śmierci posiadłość Leintwardine Manor w Herefordshire, która stanowi jej własność dziedziczną. Otrzymuje również Ingram House w Londynie, oraz powóz z szóstką koni, którym przyjechała na ślub z domu sir Roberta Denhama, a także zacną sumę czterech tysięcy funtów rocznie. Suma ta powinna jej wystarczyć na życie w dostatku i stanowi stosowną równowartość jej dziedzictwa, które przez małżeństwo wniosła do rodziny Bramptonów". Jest to znaczący zapis... a zarazem twoje prawo, milady.

- Czy zapis jest zgodny z twoimi oczekiwaniami, milady?  
- spytał Mansell, gdy zapanowała cisza.

- Tak. Sir Robert uzgodnił go z lordem Edwardem. Nie ma tutaj żadnych zmian.

- Proszę dalej, panie Wellings.

- „Z braku potomków w prostej linii wyrażam wolę i życzenie, aby mój dziedzic, sir Francis Brampton, z linii Bramptonów pochodzącej z Suffolk, odziedziczył wszystkie dobra składające się na majątek Bramptonów, to znaczy. .." jak milord zaraz się przekona, wszystkie posiadłości zostały dokładnie wyszczególnione... „zamek Brampton Percy z otaczającymi go gruntami, dwory Wigmore, Buckton, Aylton i Eyton, dzierżawne ziemie Korony Kingsland i Burrington. Taki jest rozmiar posiadłości Bramptonów. Wyszczególnione są również: żywy inwentarz, dostawy drewna i zbóż ze wspomnianych posiadłości oraz trzoda złożona z tysiąca sztuk owiec, wypasana na błoniach w Clun. Jest także duży dom przy Corve Street w Ludlów. Oprócz wymienionych tu dóbr do masy spadkowej wchodzi również posiadłość Laxton w Yorkshire i Laxton House

w Londynie, pochodzące z majątku wniesionego po zawarciu małżeństwa przez Honorię Ingram".

Wellings odłożył dokument na stół i zerknął z uwagą na lorda Mansella.

- Powinieneś wiedzieć, milordzie, że chociaż testament ten został sporządzony przed niecałym miesiącem, w związku ze ślubem, lord Edward Mansell dwa tygodnie później, zaledwie kilka dni przed śmiercią, dodał do niego kodycył. Specjalnie w tym celu złożył mi wizytę w Ludlow.

- Rozumiem. - Mansell zrobił zdziwioną minę. - Nie, właściwie nie rozumiem. Czy wiedziałaś o tym, pani? - Odszedł od kominka, wziął jedno z wolnych krzesel i usiadł przy Honorii.

- Nie. Czy wskutek tego powstaje jakiś problem spadkowy, panie Wellings?

- Problem? Nie, milady. Powiedziałbym wprawdzie, że kodycył wydaje mi się dość niezwykły, ale to nic poważnego.

- Proszę więc nas oświecić, panie Wellings. Jakim to zastrzeżeniem lord Edward uznał za niezbędne opatrzyć testament?

- Lord Edward miał świadomość zbliżającej się śmierci, milordzie. Wiedział o tym już od wielu miesięcy. Miał guz, na który nie było rady. Ostatnio zrozumiał, że zostało mu niewiele dni na tym świecie, gdyż o ile mi wiadomo, ból stał się niezwykle silny. Przypuszczam zresztą, że nie wspominał o tym milady, bo nie chciał przysporzyć jej trosk.

- Istotnie, nie wspomniał, panie Wellings. - Nie ulegało wątpliwości, że Honoria jest zaskoczona. - Wiedziała tylko, że pije więcej niż zwykle, ale nie znałam powodu. Dlaczego

mi o tym nie powiedział? I jakie to miało znaczenie dla treści testamentu?

- Lord Edward zdecydował o niczym ci nie mówić, milady. Jeśli wybaczysz mi poruszenie tak delikatnej kwestii, uznał, że w czasie, jaki mu pozostał, nie będzie w stanie postarać się o dziedzica w prostej linii. - Wellings ze współczuciem skłonił głowę przed Honorią, która spłonęła rumieńcem, ale nie próbowała skomentować jego słów.

Prawnik zerknął na Mansella i podjął wywód.

- Zważywszy na to, że małżeństwo pani Ingram, damy wciąż bardzo młodej, trwało niezwykle krótko, jak również na wolny stan milorda, lord Edward zalecił w kodycyłu, abyś zapewnił wdowie byt i opiekę. Mówiąc prościej, milordzie, powinieś poślubić tę oto damę. To zagwarantuje lady Mansell prawną ochronę i ciągłość jej statusu pani Brampton Percy, a także zachowanie znacznych posiadłości i dożywocia w ramach majątku Bramptonów.

Wellings pochylił się nad stołem i wręczył stosowny dokument lordowi Mansellowi, który wstał, podszedł do okna i szybko przebiegł wzrokiem napisany prawniczym językiem tekst. Wszystko było jasne i miało się dokładnie tak, jak sugerował Wellings.

Francis pochwycił spojrzenie Honorii. Dostrzegł w nim zaskoczenie. Jego raczej rozbawił pokrętny sposób, wymyślony przez Edwarda na utrzymanie w całości majątku. Dzięki temu rozwiązaniu nie trzeba by wydawać czterech tysięcy funtów rocznie na potrzeby pogrążonej w żałobie wdowy.

-Nie!

- Co masz na myśli, milady?

- Wcale nie chcesz mnie poślubić, milordzie.

- Skąd wiesz, milady? Jeszcze nie rozmawiałem z tobą na ten temat.

Na to Honoria nie znalazła szybkiej odpowiedzi. Ogarniała ją coraz większa panika. Nie mogła poślubić Francisa Bramptona i nie powinna pozwolić, by ta sytuacja trwała dłużej. Nie była w stanie znieść kolejnych upokorzeń. Zerwała się z krzesła, chcąc uciec, jednak znieruchomiła, obezwładniona siłą spojrzenia Mansella.

Prawnik popatrzył na Honorię, potem na lorda Francisa, zdumiony intensywnością uczuć, które nagłe się uwidoczniły.

- Nie ma tutaj żadnego przymusu, milady - powiedział spokojnie. - Lord Edward sformułował jedynie propozycję, mając na względzie dobro żony oraz majątku.

- Pozwolę sobie wyrazić wątpliwość, czy lord Edward był w stanie uwzględniać czyjekolwiek interesy oprócz własnych.

- W tej sprawie jestem zgodny z lordem Edwardem, ośmielię się zauważyć - wtrącił prawnik. - Umocnić Leintwardine Manor w zasadzie się nie da, dwór stanowi łatwy łup dla każdego, kto zechce go zająć. A dama pozostawiona sama sobie... - Zerknął z niepokojem na lady Mansell. - Jeśli zaś chodzi o zbieranie czynszów w zaniedbanej posiadłości... - Pokręcił głową. - Na miejscu milady rozważyłbym wszystko z największą starannością, zanim zdecydowałbym się zerwać więzy z Bramptonami. Chyba że milord jest po słowie z jakąś młodą damą?

-Nie.

Mansell przeszedł przez komnatę i podał dokument Hono-

rii, żeby na własne oczy przekonała się, co przewiduje dla niej los. Ujęła kartkę lekko drżącą dłonią.

- Jeśli postanowi pani skorzystać z rady lorda Edwarda - odezwał się znów Wellings - to sugerowałbym pośpiech. - Następnie zwrócił się do Francisca: - Ponowne scalenie majątku da ci, milordzie, wszelkie prawa do zajęcia się zabezpieczeniem Leintwardine Manor i Ingram House.

- Dziękujemy panu za poświęcony czas i porady. Ufam, że jest w nich wiele mądrości. - Francis nie spuszczał wzroku z Honorii.

- To dla mnie przyjemność. Polecam swoje usługi w przyszłości. I milordowi, i milady.

- Lady Mansell i ja musimy porozmawiać na osobności o kodycyłu, panie Wellings. Jeśli chce pan przed odjazdem uporządkować dokumenty, przyślę tu Foxtona z czymś do jedzenia i picia. Oczywiście zobaczymy się jeszcze przed pańskim odjazdem.

Ujął za rękę niestawiającą oporu Honorię, odebrał jej kartkę z kodycyłem, potem położył sobie jej dłoń na ramieniu i zdecydował za nich oboje:

- Milady, sądzę, że powinniśmy porozmawiać o nowej sytuacji.

- Usiądź, proszę, pani. - Mansell wskazał rzeźbiony fotel. Wiedział, że musi prowadzić rozmowę wyjątkowo ostrożnie. Czy naprawdę zamierzał pojąć za żonę wdowę po Edwardzie? Nie był pewien, czy chce wziąć na siebie dodatkowe zobowiązanie, z uwagi na rozległość nowo pozyskanych włości, jednak czy miał wybór?

- Milady, porozmawiajmy szczerze. Nie ma żadnego przy-  
musu. Nie musisz, pani, mieć poczucia, że jesteś do czegoś  
zobligowana wbrew swojej woli. Odnoszę zresztą wrażenie, że  
właśnie wolność wyboru cenisz sobie bardzo wysoko. Mam  
rację?

- Tak. - Spokój Mansella pomógł Honorii odzyskać zdol-  
ność logicznego rozumowania.

- Przede wszystkim powiedz mi, pani, czy istnieje możli-  
wość, że zostaniesz matką dziecka lorda Edwarda. Jeśli tak,  
cała ta część testamentu, która odnosi się do mojego udziału  
w spadku, nie ma mocy prawnej i musimy zwrócić się ponow-  
nie do Wellingsa.

- Nie - odrzekła, wyraźnie poruszona.

- Czy jesteś, pani, pewna? - Francis starał się zachować jak  
najłagodniejszy ton głosu.

- Nie jestem przy nadziei.

- Bardzo dobrze. Powiedz mi wobec tego, pani, jakie są  
twoje życzenia. Dożywocie masz zabezpieczone tak czy owak.  
Masz też posiadłość na wsi i dom w Londynie oraz wystar-  
czające fundusze, by prowadzić niezależne życie. Zakładam,  
że ten wiejski majątek przy odpowiednim zarządzaniu może  
przynieść większe dochody. Sir William Croft zdawał się być  
o tym przekonany.

- Owszem, i ja mam taką nadzieję. Przemyślałam wszystko  
dokładnie. Nie sądzę, żeby coś mi groziło, jeśli zamieszkam  
w Leintwardine. Moi sąsiedzi, oprócz ciebie, panie, to bez wy-  
jątku rojaliści, większość z nich jest tak lub inaczej spokrew-  
niona z Bramptonami. Ponieważ zaś nie zamierzam wtrącać  
się do miejscowej polityki, wydaje mi się, że nikt nie będzie



nastawał na moje bezpieczeństwo. Leintwardine Manor to mała posiadłość bez znaczenia w hrabstwie. Eleanor Croft, żona sir Williama, dopilnuje, by zawczasu mnie ostrzeżono.

- Wydajesz się bardzo pewna swego, pani.

- Tak. - Honoria postanowiła nie udzielać w tej sprawie wyjaśnień.

- Może nawet masz rację. Powinnaś jednak rozważyć, pani, także inne możliwości. Co będzie, jeśli rojalistom się nie powiedzie? Jeśli parlament zdoła zgromadzić wystarczające siły na zachodzie i obali jego królewską mość? Zwycięskie siły parlamentu mogą uznać, że Leintwardine też im się do czegoś przyda. Garnizon w Gloucester nie znajduje się tak bardzo daleko, a jeżeli sir William Waller sprowadzi tam posiłki... - Francis zaczął nerwowo przechadzać się po komnacie. - Wcale nie jestem przekonany, czy twoja pleć, pani, albo związki rodzinne stanowią wystarczające zabezpieczenie przed atakiem.

- To wszystko pozostaje jednak w sferze domysłów, milordzie. - Zrozumiała, że Mansell celowo podkopuje jej wiarę we własne plany.

- Wiem. I pamiętam, co mi już wcześniej powiedziałaś o małżeństwach i zaręczynach: że masz ich dosyć na całe życie. - Wrócił na poprzednie miejsce i oparł się o blat stołu. - Moim zdaniem, wojna i przemoc zapanują, czy tego chcemy, czy nie. Jeśli zgodzisz się na ślub, pani, postaram się jak najlepiej zapewnić ci bezpieczeństwo. Dam ci nazwisko, dostęp do moich środków i ochronę w sensie fizycznym. Twoje dożywocie pozostanie w takim stanie, jak teraz i będzie cię zabezpieczać finansowo na wypa-

dek mojej śmierci. Tymczasem Brampton Percy pozostanie twoim domem, a ja dołożę wszelkich starań, żeby twój majątek nie ucierpiał wskutek napaści.

Ale ja nie znoszę tego miejsca! - chciała krzyknąć Honoria. Nie była jednak w stanie wobec takiej szczodrości. Tylko czy Mansell powiedział to wszystko szczerze? Czy naprawdę wolałby ją poślubić, niż pozwolić jej iść własną drogą, a samemu pozbyć się brzemienia odpowiedzialności?

- Nie będę wywierał na ciebie nacisku, pani - odezwał się znowu - wiele jednak przemawia za słuszością takiego wyboru.

Wreszcie zdołała na niego spojrzeć.

- Nie wiem, czy dobrze się zastanowiłeś, milordzie - powiedziała. - Wiesz przecież, że za moje wychowanie odpowiedzialność ponosi sir Robert Denham. Jako sędzia królewski, był on bez reszty oddany naszemu monarsze. Moje poglądy zostały więc ukształtowane pod jego wpływem. Czy naprawdę uważasz, że małżeństwo radykalnego zwolennika parlamentu, bo nim chyba jesteś, z sympatyczką rojalistów mogłoby być stosowne? Czyżbyś zamierzał utrzymać w sekrecie kwestię swoich poglądów politycznych? Rozmawiałeś o nich z sir Williamem po pogrzebie lorda Edwarda. Podśluchano cię, więc teraz pod schodami o tym huczy. - Uśmiechnęła się nieznacznie, widząc, że zbiła go z tropu.

- To znaczy, że muszę bardziej powściągać język. W każdym razie radykałem nie jestem. Byłoby głupio z mojej strony zaprzeczać, że polityka może dzielić. Czy jednak jest to bariera nie do pokonania?

- Czy można zachować harmonię w domu, różniąc się

w poglądach politycznych, gdy dookoła jedni ludzie przelewają krew za króla, inni za parlament?

- Zgadzam się, że jest to problem, ale twoje bezpieczeństwo, pani, wydaje mi się znacznie ważniejsze. Czy nie moglibyśmy się różnić co do oceny monarchii, lecz zrezygnować ze strzelania do siebie przy śniadaniu? - zażartował Francis.

- Pewnie moglibyśmy. Nie chcę jednak, żebyś zwątpił w moją lojalność. Sam powiedziałeś, panie, że nie mamy pojęcia, co wkrótce się stanie ani jakie podziały mogą powstać w rodzinach.

- To prawda. Nadal uważam jednak, że zalety małżeństwa są zdecydowanie większe niż wszelkie trudności, które mogą się objawić. - Francis zawahał się, uświadamiając sobie w pełni, co zamierza zrobić. Przecież mógł zostawić sprawy ich własnemu biegowi i pozwolić Honorii zerwać wszystkie więzi z Bramptonami. Nagle przemknęła mu przez głowę pewna myśl, która bardzo mu się nie spodobała. - Chyba że uważasz mnie pani za nieodpowiedniego kandydata na męża.

Spojrzała na niego zdumiona. Te piękne szare oczy. Ciemne, faliste włosy. Siła ukryta w muskularnym ciele. Jak mogłaby odrzucić jego oświadczenia? A jednak... Lord Edward nauczył ją dobrze, że...

A jednak się zastanawia, pomyślał Francis.

- Gdyby brakowało mi pewności siebie, pani, zniszczyłabyś teraz jej nędzne resztki. Czyżbyś chciała mi oznajmić, że nie jestem odpowiednim kandydatem? Że z kimś tak odpychającym o małżeństwie nie ma mowy?

Pokręciła głową, a jej policzki pokryły się intensywnym rumieńcem.

- Na pewno nie. Nie rozumiem jednak, dlaczego troszczysz się o moją przyszłość. Przecież wcale nie musisz.

Nagle odpowiedź przyszła do niej sama. Nie daj się mamić piękną twarzą i władczym spojrzeniem. Pomyśl lepiej, jaką wartość przedstawiają dla niego Ingram House i Leintwardine Manor. To oczywiście, że sir Francis nie zrezygnuje z możliwości, która sama mu się narzuca. Duży zysk małym kosztem. Może on wcale nie różni się od sir Edwarda i po prostu widzi w tobie cenną zdobycz.

- Pomyślałem sobie, że lepszej kandydatki na żonę na pewno nie znajdę. Byłbym zaszczycony, gdybyś przyjęła moje oświadczenia, pani. - Próbował teraz siły perswazji.

- Może nie zastanowiłeś się do końca, panie. Może wolałbyś jednak nie żenić się tak szybko po bolesnej stracie. - Z trudem wypowiedziała te słowa i czekała na reakcję z zapiętym tchem.

Mansell zastanawiał się dość długo.

- Minał już ponad rok od śmierci Katherine. Wciąż żałuję jej i syna, którego nigdy nie zobaczyłem. Nie sądź jednak, pani, że uważam to za przeszkodę dla naszego małżeństwa. Przeszłość nie kładłaby się na nim cieniem, bo nie ma znaczenia dla moich przyszłych decyzji, tak samo jak lord Edward nie powinien wpływać na twoje decyzje. Czy właśnie to chciałaś usłyszeć?

- Chyba tak.

- Czy wobec tego przyjmiesz moje oświadczenia? Odstasz się pod moją opiekę, Honorio? Razem będziemy bronić Brampton i Laxton przed intruzami, zgoda?

Przynajmniej nie składa pustych zapewnień o miłości. Jest pożądaną partnerką, by przez alians dwóch wpływowych

rodzin zwiększyć ich siłę i bogactwo. Jako dziedziczka, nie mogła oczekiwać niczego innego. Mimo to pokusa była duża. Tylko czy warto zaryzykować?

Zniecierpliwiony jej milczeniem, Francis obszedł stół, ujął Honorię za rękę i gwałtownie pociągnął ją ku sobie. Natychmiast usłyszał gardłowy charkot psa, który podniósł łeb.

Postanowił nie zwracać na to uwagi.

- Czy zawrzemy umowę?

Honorcia przyglądała mu się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a wreszcie powiedziała:

- Pod jednym warunkiem, milordzie.

- Naturalnie, jeśli tylko jestem w stanie go spełnić.

- Czy dasz mi wolną rękę w upiększaniu tego domu? Tego... tego ohydztwa?!

Zaskoczyła go zupełnie. Uśmiechnął się i to natychmiast rozładowało napięcie.

- Lord Edward nie zgadzał się na żadne zmiany - wyjaśniła Honorcia. - Nawet na takie, dzięki którym byłoby mu wygodniej. Tylko tę jedną jedyną komnatę dostałam do swojej wyłącznej dyspozycji.

- Rozumiem. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś podjęła pracę godną Herkulesa, i muszę przyznać, że podziwiam twój hart ducha. Komnata na wieży, ma się rozumieć, pozostaje twoja. Dopóki nie zaczniesz mnie wpędzać w długi francuską modą i włoskimi dziełami sztuki, daję ci wolną rękę na wszystko, czego sobie życzysz. Remont jest temu domostwu bardzo potrzebny, masz więc moje błogosławieństwo. Poproszę jednak o coś w zamian, milady. Nie, to nie będzie prośba, tylko żądanie.

- To znaczy?  
- Jeśli zgodzisz się mnie poślubić, milady, za nic nie pozwolę ci ubierać się na czarno.

- Jestem w żałobie!

- Myślę, że dość już żałoby po lordzie Edwardzie. Jeśli mnie poślubisz, znów będziesz oblubienicą. Nie chcę oblubienicy przypominającej wronę, w dodatku nieszczęśliwą!

Honorja wyraźnie się usztywniła, została wszak urażona jej próżność, choć niewątpliwie zasłużenie. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zdarzało jej się wyglądać dużo lepiej. Nie oznaczało to jednak, że musi potulnie przyjmować słowa krytyki tego aroganckiego mężczyzny, który właśnie przewrócił jej świat do góry nogami.

- Jako mój narzeczony, masz zapewne prawo wyrażać takie opinie. - Dumnie uniosła głowę. - A ja muszę przyjąć tę małą pochlebną uwagę.

- Czy jednak posłuchasz mnie, pani? - Zauważył nagły błysk w jej oczach. Ta kobieta z pewnością nie była tak pozbawiona uczuć, jak zdawało mu się na początku.

- Tym razem się z tobą zgodzę, milordzie. Nie będę ubierać się na czarno.

- A więc ustalone. Czy wobec tego zgodzisz się mnie poślubić?

- Niech będzie, milordzie. - Głęboko odetchnęła, na próżno usiłując uspokoić w ten sposób mocno bijące serce. - Poślubię.

Przyglądał się przez chwilę jej oczom ze złocistymi plamkami, a potem niósł dłoń Honorii do ust i delikatnie pocałował. Następnie uklonił się i odwrócił ku drzwiom.

- Uda nam się, Honorio - powiedział.
  - Tak, milordzie..
  - Mam na imię Francis.
  - Jesteś bardzo zdecydowany, milordzie.
  - Taką mam naturę. Czy to ci przeszkadza?
  - Nie znam cię, panie, dostatecznie dobrze.
- Uśmiechnął się, słysząc jej oficjalny ton.

- Muszę poinformować o naszej decyzji pana Wellingsa, zanim wyjedzie. Myślę też, że zaproszę z tej okazji Josha Hoptona. Mam nadzieję, że udzieli mi niezbędnego wsparcia w tej jaskini rojalistów. Ślub powinien się odbyć wkrótce. Czy przyszyły tydzień jest dla ciebie do przyjęcia, Honorio, jeśli załatwię specjalną licencję u biskupa Hereford? W tej sytuacji wydaje mi się to lepszym rozwiązaniem niż dawanie na zapowiedzi.

- Tak, milordzie. - Honoria miała poczucie, że porywa ją potężna siła, przed którą nie ma obrony.

- Zaproponuję też, aby Josh wziął z sobą najmłodszą siostrę. Może ucieszy cię kobiece towarzystwo. Mary jest mniej więcej twoją rówieśniczką, jak sądzę. Czy to dobry pomysł?

- Myślę, że tak. I bardzo dziękuję. - Trudno było jej ukryć zaskoczenie miłym gestem Mansella.

- Wobec tego dam mu znać. - Bardzo intrygowało go źródło złej opinii Honorii o nim, a może o mężczyznach w ogóle. Chętnie dowiedziałby się czegoś więcej na ten temat.

- Dziękuję, milordzie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jeśli zaś o ciebie chodzi, mam jeszcze jedną prośbę. Byłbym wdzięczny, gdyby udało ci się przekonać to zwierzę, pilnujące cię na każdym kroku, że nie jestem wrogiem. Czasem mam poczucie, że ta

bestia chętnie pożarłaby mnie na śniadanie, zwłaszcza kiedy cię dotykam. Naprawdę nie chcę cię skrzywdzić.

Wychodząc z komnaty, usłyszał jej śmiech, cichy, bardzo miły, od którego zrobiło mu się ciepłej na sercu. A więc i w tym się mylił. Wdowa umiała się śmiać. Jedno małe zwycięstwo zostało odniesione.

Co ja najlepszego zrobiłam? - pomyślała Honoria i przycisnęła dłoń do ust. Niepokój walczył w niej z podnieceniem, a ciekawość ścierała się z lękiem. Czy wkrótce nie pożałuje dopiero co podjętej decyzji?

Francis Brampton wziął się ostro do pracy. Czasem samopas, częściej w towarzystwie zarządcy dóbr, Jonathana Leystersa, mało wykorzystywanego przez lorda Edwarda, a teraz bardzo zadowolonego z nagłego wzrostu swojego znaczenia. Niemal wszystko, co zauważył we włościach nowy pan, było bystremu oku i przenikliwemu umysłowi Jonathana wiadome od dawna. Pastwiska były tu dobre, grunty żyzne, a drewna nie brakowało. Ziemia powinna więc przynosić wysokie dochody, gdyby nie haniebne zaniedbania. Wielu dobrych gruntów nie wykorzystywano, chwasty pieniały się ponad miarę, lasy zarosły krzakami, żywopłotów nie strzyżono, dróg nie naprawiano. Dzierżawcy mieszkali w chatkach z cieknięcymi dachami, murszejącymi ścianami, a zewsząd słychać było głosy przeciwko panu, który tylko wymaga, a niczego nie daje w zamian. O dawnym właścicielu trudno było dowiedzieć się czegoś pochlebnego.

Na dworze panował chłód, a kaprysy pogody dawały się we znaki, ale Mansell nie pozwalał, by przeszkodziło mu to



w wykonaniu zadania, które przed sobą postawił. Zdarzało się nawet, że spędzał noc poza Brampton Percy. Często też wracał do domu przemoczony, ochlapany błotem i przygnębiony tym, co zobaczył. Sen pomagał mu jednak zwalczyć ponure myśli, rano więc znowu wyruszała na objazd włości.

Dwór w Leintwardine wyglądał w zasadzie tak, jak mu go opisano - był to zgrabny, drewniany budynek otoczony ogrodem i licznymi zabudowaniami gospodarczymi. Nic dziwnego, że Honoria ciepło wspomina to miejsce, pomyślał, przyglądając się dywanowi przebiśniegów pod nagimi bukami. Niestety, nie było sposobu na zabezpieczenie dworu przed ewentualnym najazdem. Buckton, Aylton i Eyton wyglądały pod tym względem jeszcze gorzej.

Leysters nie próbował tłumaczyć zaniedbań, sam z brutalną szczerością wskazywał te najgorsze, prawdę mówiąc jednak, nie ponosił za nie winy. Lord Edward od czasu do czasu zbierał czynsze, nigdy jednak nie słuchał próśb o pomoc ani nie inwestował w majątek. Teraz więc służba, która usiłowała utrzymać popadające w ruinę dwory, wyraźnie się ucieszyła, widząc współpracę nowego pana z zarządcą dóbr. Prawdopodobnie zresztą rozeszła się już fama o szczodrości, jaką Mansell wykazał się w Brampton Percy.

Krótką wizyta w dobrach Korony Kingsland przekonała Mansella, że i tam można wszystko zorganizować znacznie lepiej. Potem pokonał jeszcze długą drogę do Clun. Owce z wielkiej trzody pały się rozproszone na błoniach, ale stary pasterz, który zaczął od baczego otaksowania wzrokiem Mansella, zapewnił go, że zwierzęta są w dobrym stanie i późną wiosną na targ pójdzie wiele jagniąt, więc i korzyści będą

znaczne, jeśli tylko uda się dożyć tego czasu. Mansell przytaknął starcowi, obiecując zrobić co w jego mocy, by rzeczywiście się udało. Zakończywszy rozmowę, odjechał do Ludlow, by zatrzymać się na nocleg w odziedziczonym domu.

To, co zobaczył, podniosło go na duchu. Była to duża nieruchomość w bardzo dobrym miejscu przy Corve Street. Oglądając skąpo umeblowane pokoje, uznał, że najlepiej będzie zacząć od wysłania Honorii do jego włości w Suffolk. Natomiast on powinien odwiedzić matkę w Londynie.

Zdołał wygospodarować czas na wizytę u Hoptonów. Powitano go bardzo życzliwie, nakarmiono i napojono, mógł też odbyć zajmującą konwersację ze starszym pokoleniem rodziny. Przyjemnie mu było, że nie musi bronić swoich poglądów przed krytycznie nastawionymi słuchaczami. Natomiast sir Joshua najpierw nie chciał uwierzyć w to, co słyszy, a potem zaczął dowcipkować.

- Udało ci się tam, gdzie połamał zęby Rudhall z Rudhall.
  - Na to wygląda.
  - O, jemu się to nie spodoba. Bardzo liczył na zdobycie dobrych koneksji. Czy mam ci złożyć gratulacje?
  - Mógłbyś.
  - Zamierzasz wyjaśnić mi powód?
  - Nie.
  - Niezbyt jesteś wylewny, Francis. Czyżbym słusznie przeczuwał tajemnicę?
  - Stanowczo nie. Przyjedziesz?
  - Tego możesz być pewien. Kiedy?
  - W przyszłym tygodniu.
- Josh uniósł brwi.

- Rozumiem.

- Wątpię. - Mansell zerknął w stronę stołu, gdzie reszta rodziny z głośnym entuzjazmem grała w karty. Chciał przyjrzeć się młodszej siostrze przyjaciela, ciemnowłosej osobce o bezpośrednim sposobie bycia. - Jak myślisz, czy Mary mogłaby ci towarzyszyć? Czy rodzice jej pozwolą?

Josh parsknął śmiechem.

- Nie będzie trzeba jej namawiać. Kobiety uwielbiają wesela. Nie widzę zresztą powodu, dla którego miałyby ze mną nie przyjechać. Na drogach jest ostatnio spokojnie. Ale po co ci ona?

- Moja pani potrzebuje damy do towarzystwa.

- Czyli z tobą nie rozmawia. - Josh z zainteresowaniem przyjrzał się Francisowi.

- Jeszcze nie.

Zadowolony z wyniku wizyty Mansell skierował się do Wigmore. Usadowiona na występie skalnym twierdza dawała kontrolę nad drogą z Hereford na północ. Jeszcze jedna średniowieczna warownia, zdolna wytrzymać każdy atak, jak poinformował go zarządca.

- Potrzebna jest jednak obsada twierdzy, milordzie - dodał.

Zafrasowany Mansell ruszył w drogę powrotną. Zrezygnował z grzecznościowej wizyty w Croft Castle; nie czuł się na siłach odpowiadać na pytania sir Williama o oświadczenia i o swój brak zrozumienia dla sympatii politycznych całego hrabstwa.

Tymczasem Honoria nie marnowała czasu; najęła dziewczęta ze wsi, by zająć się najpilniejszymi sprawami. Nawet je-

śli było jej przykro, że narzeczony tuż po zaręczynach wyjechał z zamku, nie pokazała tego sobie. Zmiany w zamku uwidaczniały się stopniowo. Foxton i Honoria byli zajęci nadzorowaniem Roberta, który, stojąc na trzęsącej się drabinie, ścierką na kiju czyścił z pajęczyn sufit ciemnego przejścia z wielkiej sali w głąb domu. Nie zauważyli powrotu Mansella, póki gdzieś z góry nie rozległ się nagłe gniewny głos.

- Może powinienem... - zaoferował się szlachetnie Foxton i odwrócił się w stronę, z której dochodził głos.

- Nie. - Honoria westchnęła. - Ja pójdę. Nie wiem, o co chodzi, ale na pewno o jakieś moje dzieło.

Wspięła się na schody, a wierny pies tuż za nią. Lord Mansell stał u szczytu, wciąż ubrany w pelerynę i buty z cholewami. Na podłodze dookoła niego pojawiły się kałuże. Mansell mierzył wrogim spojrzeniem jedną z nowych służących, która nie wiedziała, co zrobić, zaskoczona złym humorem pana. Widząc narzeczoną, Mansell natychmiast zmienił obiekt zainteresowania.

- Może wyjaśnisz mi, milady, dlaczego z mojej komnaty znikło łóżko i zasłony! - Nie czekał na odpowiedź. - Skrzyń i szafy są puste, a w dodatku w środku jest zimno jak diabli. Nie tylko nie ma ognia w kominku, ale nawet nie przygotowano drewna. Nikt nie przychodzi na wezwanie, żeby podać jedzenie i piwo. Za to na każdym kroku natykam się na głupie służące, które trzęsą się, jakbym chciał je bić, kiedy po prostu zadaję im pytanie. Co tu się dzieje?! - Pies warknięciem skomentował podniesiony głos pana. - A w dodatku wciąż zaczepia mnie to zwierzę. Leżeć!

Honoria czekała na koniec tyrady, skrywając uśmiech. Gdy

wreszcie Mansellowi zabrakło powodów do narzekań, odważyła się spojrzeć mu w twarz.

-Komnata, którą zajmowałeś, milordzie, była nieodpowiednia. O wiele za ciasna i zagracona. Zmieniłam to. W przyszłości powinno ci być wygodniej. - Tyle tylko mogła zrobić, by ukoić jego gniew.

Mansell nie pozwolił się jednak łatwo ułagodzić.

- Zmieniłaś, rozumiem. Mogłaś przynajmniej wcześniej zapytać.

- Dadeś mi wolną rękę w porządkowaniu domu, zrobiłam więc to, co uważałam za stosowne. Przykro mi, jeśli jesteś niezadowolony. Może zechcesz pójść ze mną zobaczyć. - Honoria odwróciła się do niego plecami i w ten sposób odcięła się od wściekłego spojrzenia Francisa. - Przeniosłam cię do pokoju pana zamku, tak jak należy.

- Wolę zostać tam, gdzie byłem.

- Komnaty zostały wywietrzone i posprzątane - zapewniła go, rozumiejąc jego zastrzeżenia. Pchnęła drzwi z lewej strony. - Zechciej, proszę, tylko popatrzeć. Jeśli ci się nie spodoba, zmienię wszystko według twojego życzenia. - Odsunęła się, robiąc mu przejście.

Pokój był zaciszny, ogrzany i przytulny. Łóże zostało przykryte kapą dopasowaną do zasłon. Od ognia w kominku biło przyjemne ciepło. Paliły się także świece, a na solidnym kredensie stał dzban piwa i cynowe kufle. Mansell był pewien, że jego rzeczy rozłożono w skrzyniach i szafach. Prawdę mówiąc, właśnie tego było mu trzeba, żeby na chwilę zapomnieć o wszystkich kłopotach.

- Garderoba jest tam - wskazała od progu Honoria - a przez

te drzwi można przejść do moich apartamentów. Jak widzisz, byłeś oczekiwany. Służba zaraz przyniesie gorącą wodę. Może będzie ci wygodniej zjeść posiłek tutaj, bo zrobiło się późno.

- Skierowała się do wyjścia, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Honorio.

Przystanąła, ale się nie odwróciła. Mansell czuł, jak opuszcza go gniew, a jego miejsce zajmuje wstyd. Nie powinien był sobie pozwalać na tak grubiańskie zachowanie.

- Proszę mi wybaczyć, milady.

- Jesteś zmęczony i przemoczony, a do tego ciąży ci spadek. Dobrze to rozumiem.

- Jeśli mogę pomóc...

- Och, naturalnie. - Wreszcie się do niego odwróciła. - Czy mógłbyś, milordzie, dopilnować oczyszczenia kanału odpływowego na wewnętrznym dziedzińcu? Po zimowych deszczach zapchał się liśćmi i gruzem. Na pewno sam wiesz, jakie to okropne miejsce. Woda stoi po kostki, a wkrótce przyjdzie ocieplenie i zapach stanie się nie do wytrzymania. Gdyby go oczyścić, przyjemniej zrobi się również w komnatach, które mają okna na tę stronę. Na pewno wiesz, że są zawilgocone i podatne na pleśń.

Wbrew sobie Francis uśmiechnął się, ujęty przedsiębiorczością Honorii i jej umiejętnością korzystania z nadarzającej się okazji.

- Mam to zrobić przed ślubem czy po?

- Jak ci wygodnie, milordzie.

- To wszystko?

- Och nie, ale reszta może poczekać.

- To ci sprawia przyjemność, prawda?

-Chyba tak.

- Podejrzewam, że jutro natknę się na nowe zmiany.

- Bez wątplenia.

-Zanim odejdziesz, chciałbym dać ci prezent.

Przeniósł juki na łóżko i przeszukał jeden z nich.

- Pani James z Eyton przesyła ci to z najlepszymi życzeniami. Mam nadzieję, że nie cieknie, w każdym razie nie czuję nic lepkiego. - Ostrożnie uniósł naczynie.

Honorcia wzięła od niego garniec miodu i przesunęła dłonią po jego gładkiej powierzchni.

- To doprawdy miło z jej strony. Nawet jej nie znam. Nigdy nie byłam w Eyton.

- Aha, i jeszcze to. - Mansell przeszukał kieszenie i wyciągnął płaski, nierówny pakiecik, obwiązany i opieczętowany. - Nie znam zawartości, ale pani James sugerowała, żebyś porozmawiała na ten temat z kucharką, panią Brierly. Jakieś kobiece sprawy, jak sądzę.

Honorcia wciągnęła w nozdrza miły korzenny zapach i palcami wyczuła pod papierem bulwiasty kształt.

- Nie znam się na tym, więc skorzystam z rady pani James. Co zaś do miodu... Gdybyś miał ochotę, milordzie, na grzane piwo, to zrobię z niego użytek na miejscu.

- Dziękuję. - Zawahał się. - Ciekawe, dlaczego mam poczucie, że nie zasługuję na tyle życzliwości. - Ujął Honorię za nadgarstek, przyciągnął do siebie i uważnie przyjrzał się jej twarzy. I ciekawe, dlaczego mam poczucie, że ktoś mną rządzi, podobnie jak całym domem, dodał w myśli. Cieszył się jednak, że Honorcia odzyskała rumieńce i wigor.

- Nie przemęcz się - poprosił półzartem, niepewny reakcji,

z jaką może się spotkać. - Wzięłaś się do wielkiej pracy. Pozwól Foxtonowi i pani Morgan się wykazać.

- Oni też pracują. Pani Morgan to znakomita gospodyni, a służba ma mnóstwo zapału. - Honoria stała w milczeniu, przez cały czas świadoma dotyku dłoni Mansella.

- Chętnie zabrałbym cię, milady, do mojego domu w Suffolk. Nie musiałabyś tam tak ciężko pracować.

- Chciałabym. - Uśmiechnęła się nieśmiało, wzruszona jego troskliwością.

Strzepnął jej pajęczynę z przedramienia i pochylając głowę, pocałował ją w nadgarstek. Tym razem nie próbowała cofnąć ręki.

- Dziękuję, Honorio. Podobają mi się zmiany. Przepraszam za mój zły humor.

- Nie ma za co przepraszać, milordzie.

Miał ochotę przyciągnąć ją bliżej i pocałować nie w rękę, lecz w bardzo kuszące usta. Już był gotów to uczynić, ale Honoria odsunęła się, zarumieniona.

- Każę podać ci jedzenie, milordzie.



## Rozdział czwarty

Tydzień później w kościele Świętego Barnaby w Brampton Percy wielebny Gower udzielił ślubu Francisowi Bramptonowi, lordowi Mansell, i Honorii Mansell, z domu Ingram, w obecności świadków, sir Joshui Hoptona i jego siostry Mary. Z powodu dotkliwego zimna wszyscy uczestnicy uroczystości byli okutani pelerynami. Mimo niedawnej straty męża oblubienica nie włożyła czerni. Nawiasem mówiąc, zostało to zauważone i skwitowane uśmieszkami.

Nabożeństwo było krótkie i proste, ceremonialny pocałunek sprowadził się do umownego zetknięcia warg. Honorii trudno było uwierzyć w realność tego, co się dzieje, mimo że próbowała się skupić na recytowanych przez wielebnego Gowera formułkach błogosławieństwa. Jedynie silny uścisk dłoni Mansella uświadamiał jej, że znów bierze ślub.

Po ceremonii uczestnicy wrócili do zamkowej wielkiej sali na namiastkę wesela. Zaproszono służbę i dzierżawców z Brampton Percy, ludzi przyszło więc co niemiara, aby złożyć życzenia panu, jego żonie i pobiesiadować. Piwo, znacznie lepsze niż to z nielicznych baryłek lorda Edwarda, sprowa-

dzone specjalnie na tę okazję z Ludlow pod eskortą sir Joshui, lało się strumieniami. Najęto też miejscowych muzyków, by uprzyjemnili nastrój grą na obojach i bębnach.

Wielkiej sali przywrócono część dawnej świetności - olbrzymie polana na opał dostosowano do rozmiarów pomieszczenia, wniesiono trochę mebli, dodano również parawany, aby lepiej chroniły przed przeciągami. Okazja była radośniejsza niż wcześniejszy pogrzeb, a chociaż nie przyjechał nikt z sąsiadów, większość obecnych uznała, że obchody są całkiem godne. Lord Mansell też był zresztą podobnego zdania. Pod wpływem piwa i muzyki dzierżawcy wkrótce przestali zachowywać nadmierną powściągliwość, a nowy pan skorzystał z okazji, by poznać ludzi i skojarzyć twarze z imionami.

- Rzeczywiście poślubiłeś wdowę. - Sir Joshua podszedł do przyjaciela i uniósł kufel w geście toastu. - Nie spytam cię, czy wiesz, co robisz.

- Czyżbyś w końcu nauczył się taktu, Josh?

- Nie. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Czy szczęśliwa wybranka wie, że twoje poglądy radykalnie się różnią od poglądów naszego dostojnego monarchy?

- Oczywiście, że wie. Nie jest ani naiwna, ani ślepa i głucha na to, co dzieje się w hrabstwie. Mamy jednak nadzieję, że różnica poglądów nie spowoduje między nami niepotrzebnego rozdzwięku. Dlaczego właściwie miałyby być inaczej?

- Słyszałem różne plotki. Twoi sąsiedzi zaczynają odnosić się do ciebie podejrzliwie, krążą już pomysły, żeby usunąć stąd tych, którzy mogą zagrozić jedności całej okolicy. - Mimo że Josh powiedział to kpiącym tonem, miał zatroskaną minę. - Może dojść nawet do tego, że chwycą za broń.

- Wiem, do mnie też już dotarły te pogłoski. Choć poślubiłem Honorię po to, by zapewnić jej ochronę, zaczynam myśleć, że niechcący zrobiłem coś wręcz odwrotnego: naraziłem ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Sir William Croft zaszczycił mnie zresztą w swoim czasie ostrzeżeniem przed niepomyślnym rozwojem wypadków. - Na chwilę zacisnął usta. - Trudno, stało się, a dzisiaj chyba nie czas mówić o wojnie.

- No pewnie. - Josh uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Serdecznie ci gratuluję, Francis, i życzę szczęścia. Ostatnie miesiące nie były dla ciebie łaskawe, ale twoja wybranka wygląda dobrze.

- To prawda.

Honorcia była właśnie zajęta ożywioną dyskusją z panią Brierly w drugim końcu sali. Dotrzymała słowa i zdjęła żałobę, miała więc na sobie zdobioną przednią koronką suknię z ciemnoszafirowego atłasu, która przy każdym ruchu mieniła się tęczowo. Za suknią płynął po podłodze niewielki tren, a usztywniony stanik i głęboki dekolt zwracały uwagę na kobiece kształty Honorii.

W pewnej chwili ich spojrzenia się spotkały. Francis pozdrowił żonę uniesieniem pucharu, a ona odpowiedziała mu dyskretnym uśmiechem. Dopiero teraz zauważył u niej wdzięk i elegancję, których wcześniej nie był świadom. Szafirowy kolor korzystnie kontrastował z jasną karnacją, podczas gdy wcześniej czerń wydobywała z niej trupią błądź. Ze starannie upiętych włosów wymykały się niesforne loczki i wdzięcznie falowały w okolicach skroni i uszu. Orzechowe oczy w świetle świec wydawały się chwilami złote, a zaraz po-

tem zielone. Ona jest całkiem ładna, pomyślał. Jak mogłem wcześniej tego nie widzieć?

Tymczasem Honoria pochyliła się i wzięła bukietik pierwiosnków z rąk wiejskiego dziecka. Obdarzyła dziewczynkę uśmiechem i coś powiedziała, a mała z chichotem uciekła i schowała się za spódnice matki. Ta pełna uroku scenka niespodziewanie zasmuciła Mansella. Wrócili do niego przykre wspomnienia. Wydały mu się w tej chwili zupełnie nie stosowne, trudno jednak było nad nimi zapanować. Czasem w środku nocy, gdy sen nie chciał nadejść, zdawało mu się, że czuje przy sobie Katherine, że wciąż ma jej smak na wargach. Wprawdzie jego smutek z czasem przycichł, już nie graniczył z rozpaczą, ale wciąż atakował zniechęca i odbierał mu radość życia. Tak dobrze znali się z Katherine, umieli bez słowa poznać swoje nastroje, a nawet odgadywać myśli. Tak łatwo im było porozumieć się samym spojrzeniem lub gestem. Przeżyli jako mąż i żona kilka miesięcy jak w raju, a teraz jemu pozostało spędzić resztę swoich dni w czyścucu.

Skarcił się w myślach, że pozwala sobie na takie rozważania. Życie musiało iść naprzód, a on potrzebował dziedzica. Bez wątpienia zawarli z lady Mansell obustronnie korzystną umowę, nie powinien więc dopuszczać do siebie wspomnień, tylko mieć nadzieję, że los obdarzy go szczęściem u boku nowej wybranki.

Gdy na stołach zostały resztki i dzierżawcy nie mieli już pretekstu, by dłużej przebywać w zamku, rozległy się odgłosy szeptanej narady za parawanem, zasłaniającym wyjście do kuchni. Wreszcie godnym krokiem wyłonił się zza niego Foxton i jak na umówiony sygnał w sali zapadła cisza.

Zarządca wygłosił krótką, uroczystą mowę i został nagrodzony szmerem aprobaty. Na zakończenie uśmiechnął się nieznacznie i uniośł rękę.

- Postanowiliśmy z okazji ślubu wręczyć nowemu panu prezent - oznajmił.

Zza parawanu wyszedł Robert, niosąc przykryty płótnem koszyk na opał. Postawił go na podłodze u stóp Foxtona, a koszyk samoistnie zaczął się chwiać.

- Wszyscy widzą, że suka lorda Edwarda uznała za swoją panią lady Mansell - podjął Foxtton. - Uznaliśmy więc, że lordowi Mansellowi należy się zadośćuczynienie i stąd nasz dar. Mamy to szczęście, że siostrzeniec pani Brierly służy w zamku Croft, a sir William chętnie nam pomógł i dostarczył to, czego potrzebowaliśmy.

Z tymi słowami Foxtton skłonił się przed Mansellem i ściągnął płótno z koszyka, który natychmiast przechylił się na bok. Na podłogę wytoczyło się małe, szare stworzenie. Mimo dużych trudności zapanowało nad rozjeżdżającymi się łapami i z wielką energią wstało, by polizac wyciągniętą rękę sir Francis. Szare futerko szczeniaka było jeszcze miękkie, łepok nieproporcjonalnie wielki w stosunku do ciała, i nic na razie nie zapowiadało giętkiej siły i imponującej postury, które pewnego dnia pozwolą mu w razie potrzeby pokonać dorosłego wilka.

Szczeniak przeturlał się na grzbiet i wystawił brzuszek do pieszczoł Lord Francis ze śmiechem spełnił jego życzenie.

- Czy to twoja sprawka, milady? - Zerknął z ukosa na Honorię.

Dostrzegł śliczny rumieniec na jej policzkach i najpraw-

dziwsiy uśmiech. Tymczasem szczeniak znów zajął się obli-  
zywaniem jego ręki.

- Nie brałam w tym udziału, chociaż przynajmę, że pan Fox-  
ton zasięgał mojej rady.

- Ładne zwierzę. - Mansell wstał i zwrócił się do służby  
i dzierżawców. - Będę go sobie bardzo cenil, zwłaszcza gdy  
dorośnie na tyle, by nie siadać mi na butach i nie pozostawiać  
kałuż na podłodze. - Póki co podekscytowany szczeniak zdą-  
żył zrobić i jedno, i drugie.

Rozległ się chóralny śmiech.

- Skoro mamy już Morrighan, pozostańmy przy irlandz-  
kich bohaterach, niechaj będzie to Setanta. Na pewno do-  
rośnie do godności swego imienia. Ufam, że również mojego.  
W każdym razie z serca dziękuję wszystkim za dzisiejsze ży-  
czenia dla mnie i dla oblubienicy, a także za wszystkie życ-  
liwe myśli.

Umie rozmawiać z ludźmi, pomyślała Honoria. W niczym  
nie przypomina lorda Edwarda.

Wszyscy wyszli, nawet sir Joshua i Mary się oddalili. Młó-  
da para została sama w przestronnej wielkiej sali. Szczeniak  
wilczarza spał przy kominku, półżywy ze zmęczenia. Morrighan  
nadal zajmowała miejsce przy Honorii, a przybysza igno-  
rowała jako istotę zupełnie pozbawioną znaczenia.

To wszystko dzieje się jak we śnie, uznała Honoria. Mansell  
chyba nie będzie traktował jej tak jak lord Edward? Nowy wła-  
ściciel Brampton Percy do tej pory odnosił się do niej z szacun-  
kiem i zrozumieniem. Teraz stał obok i nie mogła liczyć na to, że  
ktoś im przeszkodzi. Musiała przyznać, że prezentuje się wspa-  
niale. Surowe rysy łagodził żółtawy blask świec.

- No i co, milady?
- Ja też mam dla ciebie prezent, milordzie.
- Czy z zębami?

Roześmiała się.

- Nie, ale ślad na ciele może zostawić.

Podeszła do kominka i wzięła stamtąd podłużny pakunek, owinięty w dobre sukno. Podała go Mansellowi.

- Należała do mojego ojca. Nie znałam ani jego, ani mojej matki, ale to dla mnie zachowano. Sir Robert wręczył mi tę pamiątkę z okazji ślubu.

Mansell wziął od niej przedmiot i ostrożnie odwinął, wiedząc, czego należy się spodziewać. To był prezent o znacznie większej wartości. Mimo że tej broni od dawna nie używano, stal wciąż lśniła. Ostrą klingę zdobił skomplikowany ornament z liści, starannie wyprofilowana rękojeść doskonale układała się w dłoni. Wspaniała szpada, godna najbardziej walecznego dzentelmena. Dołączona do niej skórzana pochwa miała frędzle i pętle, by można było przytroczyć ją do pasa. Wyglądała na dzieło zagranicznego mistrza rzemiosła.

Mansell uniósł szpadę i wykonał pozorowany atak, a potem zbadał jakość stali, wyważenie broni i ostrość krawędzi.

- Doskonała broń. Trudno o lepszą. - Honoria patrzyła, jak Mansell wprawnymi ruchami próbuje śmiercionośnego narzędzia.

- Podoba ci się? Zawsze zamierzałam podarować tę szpadę mężowi.

- Ale lordowi Edwardowi jej nie dałaś? - Było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

- Nie.

- Wobec tego czuję się podwójnie zaszczycony. Twój dar sprawił mi wielką przyjemność. Chętnie będę nosił tę szpadę, milady - odparł Francis, zaś w duchu pomodlił się, by nigdy nie było mu dane jej użyć.

Potem ujął ją za rękę, skłonił się i ucałował palce. Gdy podniósł głowę, dostrzegł na twarzy Honorii ślad uśmiechu, nadający jej szlachetny wyraz.

- Twój dar, pani, jest piękny, ale i ty jesteś pięknym darem. Przyciągnął ją do siebie, otaczając ramieniem w talii. Zanim zdążyła zareagować, przypieczętował ich niedawne śluby pocałunkiem. Czuł niepewność Honorii, pilnował się więc, by jego usta nie były zbyt natrętne. Inaczej jednak niż w kościele, teraz wargi Honorii były ciepłe i miękkie, pieszczota nie mogła sprawiać jej przykrości. Gdy wreszcie lekko ją od siebie odsunął, dojrzał na jej twarzy wyraz zaskoczenia, lecz również zadowolenia. Ostrożnie nawinął na palec kołyszący się jej przy skroni loczek.

- Chodźmy na górę - powiedział. - Przyjdę do ciebie.

Wkrótce potem zamykał za sobą drzwi łączące ich sypialnie. Honoria czekała na niego oparta o piramidę poduszek. Ogień w kominku wciąż płonął, w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach drewna z jabłoni, przy łożu migotała świeca.

Francis ciężko westchnął. Honoria wyraźnie była bardzo skrepowana sytuacją. Czego innego mógł się jednak spodziewać? Wszystko powinno iść ku lepszemu w miarę, jak będą się poznawać. Póki co, miał dość zaufania do swoich umiejętności kochanka, by wierzyć, że nawet w tej chwili jest w stanie



dać jej choć trochę przyjemności. Uśmiechnął się pod nosem. Nikt jeszcze nie poddał w wątpliwość jego zręczności w tym zakresie. Gdyby tylko Honoria nie patrzyła na niego jak mysz na pikującego sokoła...

Oparł się plecami o drzwi i postanowił rozładować napięcie.

- Gdzie ona jest?

- Milordzie?

- Morrighan! Jeśli weszła pod łóżko, to spędzisz noc beze mnie. Jeszcze mi życie miłe.

- Morrighan jest w kuchni. Pan Foxtan ją zabrał. I szczeniaka też. - Honoria ledwo mogła wydobyć z siebie głos, a uśmiechnąć się nie byłaby w stanie, nawet gdyby chciała.

Mansell czuł się coraz bardziej nieswojo. Nie chcąc niepotrzebnie przedłużać krępującej sytuacji, szybko podszedł do łóżka, zdmuchnął świecę, zsunął z ramion okrycie i położył się na pościeli.

Tymczasem Honoria powtarzała sobie, że Francis nie jest w niczym podobny do Edwarda. Na pewno nic nie będzie tak samo!

Skupiła całą siłę woli na tym, by pozostać w bezruchu i nie zareagować dreszczem obrzydzenia na dotyk.

- Honorio?

- Słucham.

- Nie będzie tak źle. - Gdy ostrożnie objął ją ramieniem, zadrżała.

- Wiem - szepnęła łamiącym się głosem. Wcale jednak nie była o tym przekonana.

Natychmiast przejął inicjatywę, zaczął głaskać ją po głowie i delikatnie odgarniać jej włosy z policzka. Czubkami palców

muskał twarz, a potem powtórzył ich drogę wargami. Kiedy odnalazł usta Honorii i czule ją pocałował, ucieszyła go ich miękkość. Jednak gdy zaczął pocałunkami okrywać jej szyję, przekonał się, że Honoria zeszywniała.

Chyba nie jest dziewicą, pomyślał, przecież dzieliła już małżeńskie łóżko. Skąd więc taka reakcja? Powoli zsunął jej ramiączka koszuli, by dotknąć ramion. Gdy zamknął dłoń na jędrnej piersi, usłyszał syknięcie i poczuł, że wstrzymała oddech.

Dalej próbował pieszczot, poznawał jej ciało, coraz bardziej nim urzeczony. Skóra Honorii dorównywała delikatnością najdroższemu atlasowi. Krew zaczęła mu gwałtowniej pulsować w żyłach. Nie znał jej, to prawda, ale trudno mu było nie reagować na kobiece wdzięki. Pozwolił sobie przesunąć dłoń po łagodnej krzywiznie jej brzucha, zatrzymał jednak ruch na biodrze, gdy Honoria znowu gwałtownie drgnęła, jakby wstrząsnął nią szloch.

Ponownie odnalazł jej usta i złączył się z nią w pocałunku, teraz bardziej zaborczym. Rozchylił jej wargi i językiem zaczął badać ich wnętrze. Gdy jednak uwięził między palcami brodawkę piersi i zaczął ją drażnić, Honoria zdrętwiała.

W tym momencie uświadomił sobie, że jego pieszczoty Honoria przyjmowała jako zło konieczne. Nie mógł dłużej udawać, że tego nie zauważa. Ale dlaczego? Przecież tak bardzo starał się niczego nie przyspieszać, panować nad pożądaniem.

Przesunął się na bok, by przyjrzeć się w półmroku Honorii. To, co odkrył, wywołało u niego zdumienie. Nie walczyła z nim, nie stawiała fizycznego oporu, ale po prostu się go bała.

To właśnie dlatego jej ciało nie odpowiadało na jego uwodzicielskie starania.

Odsunął się nieco i usiadł na pościeli, zatroskany, ale i porzytywany.

- Nigdy nie wziąłem kobiety wbrew jej woli i wcale nie cieszy mnie myśl, że moja nowo poślubiona żona mogłaby być pierwsza - powiedział ze złością.

Tym razem już nie wątpił, że w odpowiedzi słyszy szloch.

- Zawsze mi się wydawało, że wiem, jak sprawić przyjemność kobiecie - dodał.

Honorina ukryła twarz w dłoniach. Spełniły się jej przewidywania i musiała teraz pogodzić się z prawdą. Lord Edward miał rację. Nie umiała ani przyciągnąć mężczyzny, ani dać mu rozkoszy. To wszystko jej wina. I teraz jej nowy mąż na pewno ją odepchnie. Nie będzie tak okrutny jak Edward, ale z pewnością nie zechce skosztować małżeństwa.

Mansell stanął przy łóżu i przyjrzał się Honorii. Nie ulegało wątpliwości, że jest przerażona. Bez zastanowienia, zdecydowanym ruchem odsunął kołdrę.

- Honorio...

Cichy jęk, który dobiegł go z łóża, byłby nawet zabawny jako reakcja na jego starania, by okazać się wspaniałym kochankiem, gdyby sytuacja nie wydawała się poważna. Nie wolno mu było do niczego jej zmusić, ale nie mógł też zlekceważyć jej udręki i odejść bez słowa.

Pochylił się nad łóżem, bez trudu wziął ją na ręce, owinął kołdrą jak małe dziecko i zaniósł na ławę przy kominku. Była zbyt zaskoczona, by zdobyć się na zdecydowany sprzeciw.

Tymczasem Francis podsycił ogień i okrył się szlafrokiem, po czym usiadł obok żony.

Przeczesała dłonią włosy. Ten gest dobrze знаła. Znow się wzdrygnęła.

- To na nic.

Bez ostrzeżenia podniósł ją z ławy i w zawoju z koldry umieścił sobie na kolanach, otoczył ramionami, po czym ostrożnie oparł sobie jej głowę na ramieniu.

- Teraz już nie masz czego się bać. - Delikatnie pogłaskał ją po głowie. - Nie zrobię niczego, czego nie chcesz.

Zapadła cisza, przerywana tylko trzaskami drewna w kominku. Czuł, jak Honorio kurczowo zaciska palce na kołnierzu jego szlafroka, ale udawał, że tego nie zauważa. Po prostu siedział i czekał. Jej oddech stopniowo się wyrównywał, wreszcie odprężyła się na tyle, że z własnej woli oparła mu głowę na piersi.

- Porozmawiajmy, Honorio - zaproponował cicho. - Wyjaśnisz mi, dlaczego jesteś taka przerażona? A może nie ufasz mi na tyle, żeby to wyjawić?

Nie odezwała się, wyczuł jednak nieznaczny ruch jej głowy.

- Czy mój kuzyn... Czy Edward cię zgwałcił?

- Nie - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Cóż więc zaszło? Nigdy nie jest tak źle, żeby nie można było tego naprawić.

Bez zastanowienia wtulił twarz w jej włosy, a potem zaczął muskać wargami skroń. Tego było dla niej za wiele. Wszystkie łyzy, niepokoje, koszmary, nieprzespane noce, wszystko to wylało się z niej nagle od tej jednej niewinnej pieszczoty. Łzy

pływały jej po twarzy, ciałem wstrząsał szloch. W końcu przestała się kontrolować.

Francisowi nie pozostało nic innego, jak trzymać Honorię w ramionach. Bardzo jej współczuł, nie miał pojęcia, że pod maską obojętności może kryć się tyle bólu i rozpacz.

Płacz stopniowo cichł. Francis jeszcze dosyć długo cierpliwie czekał. Wreszcie spróbował otrzeć jej łzy ręką kłody. Natychmiast odwróciła głowę i wtuliła mu ją w ramię, zdecydowana ukryć przed jego wzrokiem zaczerwienione od płaczu oczy. Na to jednak Francis nie mógł pozwolić. Delikatnie, lecz zdecydowanie ujął ją pod brodę.

- Porozmawiajmy, Honorio.

Nie wiedziała, od czego miałyby zacząć.

- Dobrze. Będę zadawał ci pytania, a ty postaraj się odpowiedzieć. Mówiłaś, że Edward cię nie zgwałcił... - Nagle coś przyszło mu do głowy. - Czy Edward... czy on nie był w stanie skonsumować tego małżeństwa?

Kiwnęła głową i znów ukryła przed nim twarz.

- Nadal jesteś dziewicą?

Usłyszała zdziwienie w jego głosie i bardzo ją to zawstydzilo.

- Tak - szepnęła.

- Nie próbował z tobą współżyć?

- Próbował! - Słowa nagle zaczęły wylewać się z niej z taką gwałtownością, jak przedtem łzy. - Każdego wieczoru. - Zadrżała z obrzydzeniem. - Codziennie.

- Biedactwo - powiedział cicho.

- Nie jestem dzieckiem! - Targały nią jednocześnie wściekłość i rozpacz. - Powiedział, że chce mieć dziedzica, zanim

umrze. To był jedyny powód naszego związku; tylko dlatego wydał tyle pieniędzy. Próbował mnóstwo razy, ale nie był w stanie... Wiem, że małżeństwo oznacza posłuszeństwo mężowi, ale nie mogłam tego znieść. On był taki... - Nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

- Rozumiem.

- Rozumiesz? Jak to? - Nagle poczuła, że musi wszystko wyjawić, że nic jej nie powstrzyma. - On był taki ordynarny, a do tego opasły i niedomyty. Ciało miał pokryte gęstym owłosieniem, ręce wilgotne i tłuste, czarne paznokcie. I dotykał mnie... - Przycisnęła dłonie do brzucha, broniąc się przed falą mdłości. - Dotykał mnie na różne sposoby, nienawidziłam tego. Jak żona ma z czegoś takiego czerpać przyjemność? Jak mogłabym pogodzić się z czymś tak odrażającym?

- Nie mogłabyś. - Ogarnął go wielki gniew, tym bardziej że, jak podejrzewał, najgorszego Honoria jeszcze mu nie powiedziała.

- On nie był w stanie skosztować małżeństwa i obwiniał za to mnie. Zarzucił mi, że jestem zimna i nieczuła, że odebrałam mu męskość i zasługuję na karę. - Zadrzała, ale zdążyła już się opanować na tyle, że się nie rozplakała.

- Czy on zrobił ci coś złego? - Francis celowo zachował obojętny ton.

- Nie. To znaczy nigdy mnie nie uderzył. Niszczył mnie słowami. Twierdził, że w to małżeństwo wciągnięto go podstępem. I że nie jestem dostatecznie atrakcyjna, by go zainteresować, a tym bardziej dać mu rozkosz. Dla niego byłam nieudacznicą. Nie umiałam wypełnić mojej części intercyzy. - Przez chwilę milczała. - Muszę budzić w tobie odrazę...

- Honorio... Moja droga, nie mogłabyś wzbudzić we mnie odrazy i nie jesteś nieudacznicą. - Wreszcie zrozumiał tragicizm całej historii. Oblesny staruch, owładnięty żądzą poczęcia dziedzica w tym krótkim czasie, jaki jeszcze mu pozostał, lecz niezdolny do tego z powodu impotencji, całą winą obarczył żonę. A jej zabrakło doświadczenia, by zrozumieć, jaka jest prawda. - To nie była twoja wina. Musisz też wiedzieć, że między mężczyzną a kobietą może być zupełnie inaczej. Może być rozkosz... i zaufanie.

- Zaufanie? W to nie mogę uwierzyć. A co do rozkoszy...

- Zadrzała. - Obawiam się, że znowu zawiodę.

Te kilka słów, na które się odważyła, mówiło aż za wiele. Francis ostrożnie przytulił policzek do jej włosów.

- Nie zawiedziesz. Wszystko ci pokażę - zapewnił ją cicho.

- Tylko nie dzisiaj. Potrzebujesz odpoczynku.

Wstał i zaniósł ją z powrotem do łóżka. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wsunął się w pościel obok niej i mocno ją objął.

- Nie broń się - szepnął, czując, że znów stężała.

- Czy nie lepiej byłoby... jak najszybciej z tym skończyć? Ty z pewnością nie jesteś pozbawiony męskości.

- Nie, nie jestem. Stanowczo jednak pośpiech nie jest dobrym rozwiązaniem. Wezmę cię i uczynię moją żoną, ale dopiero wtedy, gdy nie będziesz taka zmęczona i przerażona.

- A jeśli nie będę mogła? - W jej głosie znów zabrzmiała histeryczna nuta. - Jeśli Edward miał rację?

W odpowiedzi ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by na niego spojrzała.

- Posłuchaj mnie uważnie, Honorio. Wcale nie przez cie-

bie Edward nie mógł skosztować waszego małżeństwa. To niedorzeczność. Jesteś bardzo kobieca. Każdy mężczyzna marzyłby o tym, żeby cię objąć i żeby kochać taką kobietę, jak ty. Mnie szczególnie nie zachęcałaś, prawda? A z wzięciem cię nie miałbym najmniejszych kłopotów. - Do tej pory czuło to bardzo wyraźnie. - Kłopot polegał na czym innym. Trudno mi było się powstrzymać.

Długo mu się przyglądała, rozważając jego słowa, aż wreszcie skinęła głową.

- No dobrze. - Przyciągnął ją do siebie, poprawił poduszki i kołdrę. - Wygodnie ci?

-Tak.

- Śpij. Nic ci nie grozi. Edward niech smaży się w piekle, na szczęście ciebie już nigdy nie dotknie.

Czuł, jak jej ciało stopniowo się rozluźnia, oddech staje się coraz bardziej miarowy. Honoria zapadła w sen.

Francis długo rozmyślał, przyglądając się drżącym cieniom, gdy ogień już wygasł. Nieprzemyślany krok, na jaki się zdecydował, budził w nim wiele wątpliwości. Niepokoiła go też odpowiedzialność, jaką na siebie wziął. Mimo to, cokolwiek miał przynieść nowy dzień, nie żałował, że poślubił Honorię.

Zbudził się wcześnie. Nużącej szarości marcowego dnia trudno było wypłoszyć cienie z komnaty. Drwa w kominku dawno już zamieniły się w popiół i dawał się odczuć przenikliwy chłód.

Francis nie zamierzał pozostać w łóżu żony przez całą noc, chciał jedynie doczekać chwili, gdy Honoria zapadnie w sen, i wrócić do swojej komnaty. Sam jednak zasnął, mocno ją



obejmując, a gdy na chwilę ocknął się w środku nocy, było mu stanowczo zbyt przyjemnie, by zmuszać się do zmiany miejsca, a przy okazji ryzykować obudzenie żony. Przez lata poznał ciepło niejednego łoża, i przed małżeństwem z Katherine, i potem, pierwszy raz jednak zdarzyło mu się spędzić z kobietą noc w tak niewinny sposób.

Francis odwrócił się ku Honorii. Była naprawdę czarująca. We śnie przytuliła się do niego. Skóra jej się zaróżowiła, oddech wyrównał, twarz przybrała odprężony wyraz, a włosy rozsypały się na poduszce.

Honorii przebudziła się z poczuciem, że jest jej bardzo przyjemnie. Odzyskiwała świadomość, czując delikatne dotknięcia na twarzy, włosach, ustach. Westchnęła, zdziwiona tymi muśnięciami. I wtedy sobie przypomniała.

Mansell.

Wspomnienia wróciły. Natychmiast znów się usztywniła.

- Leż spokojnie. Nic ci nie grozi. Pozwól, że cię pocałuję.

Honorii lekko rozchyliła wargi, a gdy Francis przesunął dłoń na jej piersi, przeszył ją dreszcz, niemający nic wspólnego ze strachem. Początkowo odwzajemniała jego pieścizoty nieśmiało, pozwalając mu obrysowywać koniuszkiem języka wargi i ostrożnie ją całować. Rozgrzana pieścizotami, przeciągnęła się, całkiem nieświadoma zmysłowego wydźwięku tego gestu. Zaraz potem, gdy Francis zaczął muskać jej sutki, westchnęła i wbiła mu palce w ramiona. Gdy na nią spojrział, objęła go za szyję i wsunęła mu ręce we włosy, a na ustach wykwitł jej zapraszający uśmiech.

Ulżyło mu, gdy dostrzegł w jej oczach pierwsze oznaki zaufania. Przewędrował ustami po całej długości jej szyi

i przyciągnął ją do siebie. Cichy pomruk Honorii zdradzał, że nie należy spodziewać się oporu, Mansell nakrył ją więc swoim ciałem. Rozkoszował się upajającą wonią lawendy, gdy nagle do jego uszu dotarł odgłos coraz głośniejszych kroków w korytarzu. Mimo to nie potrafił oderwać ust od piersi Honorii.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi jego sypialni. Z jękiem uniósł głowę, szybko jednak opuścił ją z powrotem i wtulił w poduszkę. Pukanie rozległo się powtórnie. Przybysz najwyraźniej nie zamierzał odejść.

- Milordzie, milordzie. - Głos należał do Foxtona. Zarządca był znacznie bardziej zaferowany niż zwykle.

- Wybacz mi, Honorio. - Mansell wstał z łoża, wziął szlafrok i znikł w sąsiednim pomieszczeniu, zostawiając ją samą na samą z mnóstwem sprzecznych uczuć. Honorio usiadła na posłaniu i natężyła słuch z nadzieją, że usłyszy cokolwiek z rozmowy. Dobięły ją odgłosy pospiesznego ubierania się, a potem trzask drzwi. Tupot ciężkich butów stopniowo oddalał się, aż w końcu z korytarza przeniósł się na schody.

No nie! Chwyła grzebień z zamiarem rozczesania splątanych włosów. Mansell mógł przynajmniej zajrzeć do niej i wytłumaczyć się z tego, że odchodzi. Chyba że sprawa była pilna. Ale nawet w takim wypadku... Energicznie odrzuciła kołdrę i także zaczęła się ubierać, tak szybko jak tylko mogła bez pomocy służącej. Wzięła pierwszą z brzegu spódnicę i stanik, ale szybko je odrzuciła. Czarne. Nigdy więcej nie będzie chodziła w czerni. Zamiast tego wdziała całkiem znośną wełnianą suknię w kolorze ciemnoróżowym i naprędce zawiązała troczki stanika, zebrała włosy w kok na karku, po czym

zeszła śladem męża na dół, zdecydowana poznać przyczynę zamieszania.

W wielkiej sali panował chaos, wyraźnie czyniono bardzo pospieszne przygotowania. Na stół wyłożono chleb, mięso, ser i dzbany z piwem. Kilka służących, bacznie doglądanych przez panią Morgan, biegało tam i z powrotem. Sir Joshua akurat wychodził na dwór i niewątpliwie zamierzał skierować się ku stajniom. Miał szpadę, pelerynę i dźwigał juki. Towarzyszył mu mężczyzna w stroju noszącym wyraźne ślady podróży. Mansell stał przy stole, trzymając kawał chleba z mięsem w jednej ręce, a w drugiej kufel piwa, i toczył rozmowę z Foxtone, który kiwał głową z bardzo poważną miną.

Zdążyła jeszcze usłyszeć ostatnie słowa.

- Miejcie oczy i uszy otwarte, Foxtone. Krąży dużo plotek i nie można na nich polegać, ale da się z nich czasem wywnioskować, kiedy grozi atak. Zwracajcie też uwagę na wszystkie ruchy wojsk między Ludlow a Knighton. Jeśli rzeczywiście pojawią się oddziały. .. - Zastanowił się głęboko i dokończył: - Wnoszę, że będą to rojaliści i nie spodziewam się po nich uczciwych zamiarów wobec mnie i moich ludzi.

- Racja, milordzie - odrzekł Foxtone. - Znamy poglądy milorda i będziemy trzymać straż. Naszym obowiązkiem jest służyć waszej lordowskiej mości i Brampton Percy. Z naszej strony milord nie musi się niczego obawiać.

- Dziękuję, Foxtone. Muszę zostawić milady pod waszą opieką. Gdybyście uznali, że grozi tutaj niebezpieczeństwo, po prostu zamknijcie bramy i nikogo nie wpuszczajcie. Nie przypuszczam, by doszło do takiej sytuacji, ale niefrasobliwość bywa zgubna. Może zapytacie też lady Mansell...

- Milordzie... - Słyszac jej głos, odwrócił się, a na jego twarzy momentalnie pojawił się uśmiech. To rozwiało wątpliwości Honorii.

- Honorio... - Podeszedł do niej, a Foxton taktownie się usunął. Postanowił skorzystać z okazji i zanieść do kuchni wiadomość, że pani wreszcie wygląda lepiej i radośniej. Warto podzielić się krzepiącą nowiną w trudnych chwilach.

Mansell uniósł dłoń żony do ust i pocałował.

- Wybacz mi. - Spojrzał na nią smutno. - Zachowałem się wobec ciebie bardzo nieładnie, ale przybył kurier.

- Jakie wieści przyniósł? Czy coś nam grozi? Dlaczego musisz tak nagle wyjechać? - Zacisnęła dłoń na jego palcach.

- Kurier jest z Leintwardine Manor. Zawsze było wiadomo, że trudno jest bronić posiadłości bez umocnień.

- To prawda - przyznała Honorio. - Mój przodek, który wznosił dwór w ubiegłym stuleciu, uznał, że fortyfikacje nie będą potrzebne. To po prostu duży drewniany dom w malowniczym otoczeniu. Sam zresztą widziałeś.

- Zaobserwowano ruchy wojsk i zarządca z Leintwardine obawia się o bezpieczeństwo mieszkańców. Dowódca tych wojsk nawet z nim rozmawiał. To są oddziały rojalistów. Przykro mi, Honorio. Jeszcze tydzień temu twojej posiadłości nic by nie zagrażało. Niestety, wiadomość o naszym małżeństwie wywołała szybką odpowiedź tych, którzy mi źle życzą. Muszę tam pojechać i sprawdzić, co można zrobić.

- Czy jest szansa na uratowanie posiadłości? Naturalnie bez narażania się na niepotrzebne ryzyko. - Honorio starała się nie okazywać, jak bardzo jest zmartwiona. Leintwardine Manor miało swoją wartość pieniężną i sentymentalną, ale wobec bez-

pieczeństwa jej męża było to bez znaczenia. Uświadomiła sobie, że nagle jej spojrzenie na świat całkowicie się zmieniło.

- Jeśli dojdę do wniosku, że nie da się jej utrzymać, to ją opuszczę. Służbę zabiorę tutaj, a dwór zostawię rojalistom.

- Sądziś, że naprawdę może do tego dojść?

- Tak. Pomocy z Gloucester nie możemy oczekiwać szybciej niż za tydzień, nawet gdybyśmy teraz po nią posłali, a nie wiadomo mi o innych oddziałach parlamentu w okolicy. Lepiej zwyczajnie oddać dwór rojalistom, niż pozwolić, by stał się miejscem walki, bo wtedy z użyciem dział mogliby w ciągu jednego dnia zrównać go z ziemią.

- Oczywiście.

- Poza tym jeśli go oddamy, to w razie kolejnych zmian mamy szansę go odzyskać w nietkniętym stanie. Nie chciałbym pozbawić cię dożywocia, milady.

- Bardziej zależy mi na twoim bezpieczeństwie niż na tym dworze - powiedziała bez zastanowienia i natychmiast spłonęła rumieńcem.

Skłonił przed nią głowę.

- Dziękuję, milady. - Ukrył uśmiech, choć rozbawiło go jej zmieszanie, a co więcej, sprawiło mu przyjemność. - Josh pojedzie ze mną, zobaczymy, co da się zrobić. Może sytuacja nie jest aż tak nagląca, jak się wydaje. Mary zostanie tutaj i dotrzyma ci towarzystwa.

- Cieszę się.

- Jeśli okaże się, że wszystko jest w porządku, zanocuję w Leintwardine Manor i jutro wrócę. - Mocno uścisnął dłoń Honorii. - Przepraszam. Nie powinniśmy się rozstawać akurat teraz.

Nie próbowała udawać, że go nie zrozumiała.

- Nie, milordzie. Ja też żałuję.

- Rozmawiałem z Foxtonem. W razie gdyby i tutaj doszło do niepokojów, do mojego powrotu na pewno jesteś bezpieczna. Brampton Percy jest nie do wzięcia dla małego oddziału. Musiałoby być dużo wojska i artyleria. Pamiętaj tylko, że trzeba zamknąć bramy i nikogo nie wpuszczać. Możesz się zastanowić nad zrobieniem zapasów.

- Porozmawiam o tym z panem Foxtonem i panią Morgan.

- Muszę cię o coś prosić. - Mansell ujął ją za nadgarstek i wyczuł palcami przyspieszony puls. - To bardzo trudne...

- Popatrzył na ich złożone ręce, a potem uniósł głowę. Jego oczy skrzyły się w tej chwili srebrnym blaskiem. - Milady, czy będziesz strzegła tego zamku w moim imieniu? Rozumiem, że stawiam cię w kłopotliwej sytuacji, ale muszę wiedzieć, jak się na to zapatrujesz i jak pojmujesz swoją powinność. On mnie nie zna, pomyślała, nie ufa mi.

- Czy musisz pytać, milordzie? - Pod maską obojętności skryła urazę.

- Tak, muszę - odrzekł łagodnie. Rozumiał, że zaraz może wyrosnąć między nimi mur. Tak niewiele ich łączyło. Nie znali się długo, nie mieli wspólnych przeżyć, nie rozumieli się bez słów. Trudno było znaleźć więź, która oparłaby się wrogości. Pomyślał, że z Katherine byłoby zupełnie inaczej i że nie powinien tym zapominać.

- Naturalnie, milordzie. Nie masz powodu, by we mnie wątpić. Jestem twoją żoną i będę strzegła Brampton Percy w twoim imieniu.

- Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak, jakbym ci nie ufał,

Honorio. - Westchnął. - Wiedzieliśmy, że to będzie trudne, prawda? Przecież prawie się nie znamy.

Ujął ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Niech Bóg ma cię w swej opiece.

Gdy chciał się odsunąć, Honoria uniosła dłoń do jego twarzy. To był pierwszy taki niewymuszony gest z jej strony. Zaskoczył Mansella nie mniej niż ją samą.

Zdecydowany odpędzić posępny wyraz, który wywołał na twarzy Honorii swoim pytaniem, objął ją mocno i wycisnął na jej ustach zaborczy pocałunek. Zaraz potem pochylił się, aby wziąć juki, kapelusz i rękawice. Honoria zauważyła błysk ojcowskiej szpady, która wisiała teraz u jego boku.

-Francis...

Zauważył, że zwróciła się do niego po imieniu i zrobiło mu się bardzo przyjemnie. Był już na progu, ale przystanął i odwrócił się do Honorii.

- Uważaj na siebie, milordzie.

- Będę uważał. Podoba mi się brzmienie mojego imienia w twoich ustach. - Skłonił się i wyszedł.

## Rozdział piąty

Honorina, wraz z wierną Morrighan, udała się do komnaty na wieży, gdzie miała prawo liczyć na odrobinę prywatności, zanim zmierzy się z codziennymi wyzwaniem.

Francis ją zostawił i sprawy między nimi pozostały nierozwiązane. Spytał, czy może jej zaufać, sugerując tym samym, że nie jest pewien jej lojalności. Owszem, sir Robert Denham wychowywał ją w poszanowaniu dla zwierzchnictwa Korony, jednak lady Denham zaszczerpiła podopiecznej również silne poczucie obowiązku. Sir Robert wpoił jej również niewzruszoną wiarę w literę prawa. Zamek Brampton Percy należał do nich, a prawo dawało im możliwość obrony własności. Chyba niemożliwe, żeby król zechciał im grozić odebraniem zamku, jeśli nie popełnili przestępstwa?

Z obrzydzeniem popatrzyła na grube kamienne mury. Mogła ich nienawidzić, ale to była jej własność. Nie pozwoli, by w imieniu króla skonfiskował ją ambitny i do tego dbający wyłącznie o własne interesy Fitzwilliam Coningsby, namiestnik Hereford, nawet gdyby miało to oznaczać opowiedzenie się przeciwko monarsze.



Czy Francis jest bezpieczny w Leintwardine? Odległość, dzieląca obie posiadłości, była niewielka, a on ze swoim doświadczeniem powinien unikać ewentualnych zasadzek czy napaści maruderów, którzy najpierw strzelają, a potem myślą. Co by jednak było, gdyby... ?

Honorcia drgnęła, słysząc szybkie kroki na schodach.

- Co się stało? - Mary wpadła do komnaty, ani trochę nie dbając o grację, jaka przystoi młodej damie. Szczeniak obskakiwał ją ze wszystkich stron, by w końcu zainteresować się porzuconymi pantoflami Honorcii. - Słyszałam parskanie i tętent koni na dziedzińcu, ale niczego już nie zobaczyłam. Czy ktoś nas zaatakował?

- Jeszcze nie. - Honorcia pochyliła się, by odzyskać swoją własność. Wnet dopięła celu, nieczuła na głośne piski psiaka. - Gdyby rojaliści zaczęli ostrzeliwać bramę, nie siedziałabym tutaj bezczynnie, gapiąc się na deszcz za oknem.

- To prawda. - Mary usiadła. Jej mina zdradzała zaniepokojenie. - Gdzie się podział Josh?

- Pojechał z milordem do Leintwardine. O świcie przybył stamtąd służący z wiadomością o ruchach wojsk i groźbie wybuchu niepokoju. Tamtejszy dwór jest nieumocniony, więc Mansell i sir Joshua pojechali sprawdzić na miejscu, co się dzieje. Obiecali wrócić najpóźniej jutro.

- Wobec tego nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Taki już los kobiet. - Mary zmarszczyła nos. - Czy naprawdę nie możemy niczego zrobić? - Widać było, że rozsada ją energia. Honorcia już zdążyła zauważyć, że Mary trudno jest usiedzieć w jednym miejscu.

- Nie kuś mnie. Mogę ci znaleźć mnóstwo zajęć. Francis

zapropował, żebyśmy się przygotowały na ewentualny atak. Muszę porozmawiać o tym z panem Foxtone. Nic tak naprawdę nie wiadomo, ale...

- Mniejsza o to - przerwała jej Mary z szelmowskim uśmiechem i błyskiem w oku. „Francis”, ma się rozumieć, nie uszedł jej uwagi. - Jak się czuje rankiem panna młoda?

Honorio oblała się rumieńcem, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Dobrze - odparła ostrożnie.

- Nie opowiesz mi?

Honorio odpowiedziała uniesieniem brwi, które tym bardziej podsycało ciekawość trzpiotowatej dziewczyny.

- Droga Mary, zupełnie nie wiem, o czym myślisz. - Kłamstwo było oczywiste.

- Wiesz, wiesz. Jak było? Jaki on był?

- W dużej mierze taki, jak się spodziewałam. - Nie mogła przecież opowiedzieć prawdy o nocy poślubnej nawet najżyczliwszej słuchaczce.

- Och, Honorio. Jak możesz zbywać mnie byle czym po tak ważnym wydarzeniu?!

- Przykro mi. Nigdy nie miałam komu zwierzać się z osobistych spraw, nie jest mi więc łatwo o tym mówić.

- Rozumiem, ale ja mam siostry i jestem przyzwyczajona do ploteczek na tematy intymne. Spokojnie możesz ze mną o tym porozmawiać.

- Hm, może...

- Gdybym poślubiła tak atrakcyjnego mężczyznę, jak Mansell, to z pewnością miałabym swoje oczekiwania. Czy groziłoby mi rozczarowanie?

Honorcia zaczerwieniła się jeszcze bardziej, jeśli w ogóle było to możliwe.

- Nie śmiałabym marzyć o niczym więcej. - To była prawda.

- Z uwagi na ciebie mam więc nadzieję, że on szybko wróci.

- Mary nieco się nadąsała.

- Ja też - przyznała mimo woli Honorcia. Zaraz potem uśmiechnęła się do Mary i pokręciła głową. - Jesteś nieznośna. Jak twoja matka znosi rozmowy na takie tematy?

- Mniej więcej tak jak ty. Twierdzi, że to przeze mnie siostry nie wiedzą, kiedy ugryźć się w język.

Mary ze śmiechem przykucnęła, udając, że chce podrapać szczeniaka po brzuchu. Kątem oka bacznie jednak obserwowała Honorcię. Wiekiem i pozycją społeczną różniły się tylko nieznacznie, lecz odebrały zupełnie inne wychowanie. Mary pochodziła z dużej rodziny, gdzie dzieci rosły otoczone troską i miłością rodziców. Jej dzieciństwo upływało wśród śmiechu i radości, a gdy przychodziła trudna chwila, zawsze ktoś wyciągał pomocną dłoń. Tymczasem dla Honoru opieka starszych była bardziej kwestią prawną niż czymś naturalnym, zależnym od dobrej woli. Mary po prostu nie umiała sobie wyobrazić takiego braku miłości, za to jego skutki mogła teraz zaobserwować. Dystans, maska obojętności, przez którą trudno było się przebić. Nieufność. Obawa przed powiedzeniem czegokolwiek, co mogłoby wywołać krytykę. Potrzeba ukrycia własnych myśli przed innymi.

Lubię ją, pomyślała Mary. Trzeba mieć kogoś, z kim można porozmawiać. Nie wierzę, że ona jest taka zimna, na jaką wygląda. Postanowiła zaprzyjaźnić się z Honorią i pomóc jej rozprawić się z przeszłością.

Naturalną kolejną rzeczą przypomniawszy sobie Mansella. Nie był to mężczyzna, z którym łatwo się rozmawia. Czy Honoria zachowywała wobec niego taką obojętność, jak się zdawało? Jego wyraziste rysy, emanująca odeń siła, zmysłowe usta chyba nie mogły nie robić na niej wrażenia? To prawda, że małżeństwo z Francisem Bramptonem niosło z sobą pewne niebezpieczeństwa. Nie był to najcierpliwszy człowiek, a charakter miał dość trudny. Nie zniósłby nikogo stojącego mu na drodze. Zachowywał się z nie mniejszą rezerwą niż Honoria, co nie dziwiło, zważywszy na tragedię Katherine i dziecka. Mary znów zerknęła ukradkiem na towarzyszkę. Jak ci dwoje mają znaleźć wspólny język, skoro tak słabo się znają?

Chociaż Mary o tym nie wiedziała, myśli Honorii podążały w tym czasie bardzo podobnymi drogami, ale dalsze rozważania przerwało im pukanie.

Honoria otworzyła drzwi i wpuściła Foxtona.

- Panie Foxton, musimy porozmawiać o środkach bezpieczeństwa, jakie należy przedsięwziąć na wypadek...

- Proszę wybaczyć, milady, ale sądzę, że powinniśmy to odłożyć na później. - Skłonił się z lekkim marszem na czole.

- Przybył gość. Sir William Croft stoi u bram i pyta o lorda Mansella. Czy mam go wpuścić?

Honoria uśmiechnęła się, wyobraziła sobie bowiem tę scenę.

- Czy rzeczywiście mieliście czelność zostawić sir Williama przed bramą, panie Foxton?

- Tak, milady. Ostrożności nigdy za wiele. Podczas nieobecności pana w domu, moim obowiązkiem jest zapewnić milady bezpieczeństwo. I pannie Hopton również.

- Jemu na pewno się to nie spodoba, panie Foxton. Czuję się zbyt ważny.

- Co zrobisz? - spytała ją Mary i aż zabłyśły jej oczy na myśl o zbliżającej się rozmowie z sir Williamem.

Honorcia zwróciła się do zarządcy.

- Sir William jest sam, panie Foxton, czy przyjechał tutaj ze świtą?

- Tylko z osobistą służbą, milady. Sir William nie ma wrogów w okolicy.

Honorcia szybko zdecydowała.

- Wobec tego wpuść jego lordowska mość. On nie zagrozi naszemu bezpieczeństwu, a może dowiemy się od niego czegoś więcej o ostatnich wypadkach. Wprowadź go tutaj, ale służbę zatrzymaj w wielkiej sali. Daj im coś do jedzenia, niech się rozgoszczą, ale żeby nie włóczyli się po domu. Robert i Nol mają ich pilnować, oczywiście zachowując dyskrecję.

- Dobrze, milady. W razie potrzeby można mnie w każdej chwili wezwać.

- Dziękuję, chociaż nie sądzę, by coś mi groziło we własnym domu. Posłuchajmy więc, co ma nam do powiedzenia sir William o tak wczesnej porze.

- Sir Williamie, co za niespodzianka! Zawsze jest mi przyjemnie powitać cię, panie, w naszym domu. Czy mogę zaproponować małą przekąskę? - Lady Mansell stała w pozie pełnej godności, jak przystoi damie. Pantofle miała już na nogach, a szczeniaka na wszelki wypadek wyprosiła. Starła się zachowywać w taki sposób, jakby w wizycie sir Williama nie było

nic niezwykłego, jakby wywiązywała się z obowiązku towarzyskiego wobec członka rodziny.

- Honorio. - Sir William pochylił się nad jej dłonią ze swobodą człowieka, któremu pozwala na to dostojność wieku i więź rodzinna, po czym odłożył pelerynę i kapelusz na pobliskie krzesło. - Ufam, że dobrze się miewasz.

- Tak. To jest Mary, siostra znanego ci sir Joshui, panie. Przyjechała do nas z wizytą i dotrzymuje mi towarzystwa.

Sir William skłonił się przed drugą z obecnych dam, po czym zaczął nerwowo przebierać palcami po rękojęści szpady. Na szczęście dla niego podano mu kufel piwa, którym zajął rękę.

- Miałem nadzieję porozmawiać z Mansellem - stwierdził z typową dla siebie obcesowością. - Z tego, co powiedział zarządca, rozumiem jednak, że pana nie ma w domu.

- To prawda. Oczekujemy jego powrotu jutro. Czy mogę w czymś pomóc, milordzie?

Sir William spojrział na nią przenikliwie, odstawił z trzaskiem kufel na stół i szybko omiół wzrokiem komnatę.

- Muszę przyznać, że moją żonę i mnie bardzo zdziwiła wiadomość o waszym ślubie - powiedział bez ogródek. - Nie będę udawał, Honorio, że rozumiem, dlaczego w tych okolicznościach postanowiłaś związać swój los ze zwolennikiem parlamentu. Z pewnością zrobiłabyś lepiej, gdybyś urządziła się w Londynie i poczekała, aż niepokoje ucichną i król odzyska silną pozycję. Wtedy mogłabyś zdecydować, w której posiadłości chcesz zamieszkać, i zastanowić się nad powtórным małżeństwem. Ale ślub teraz... z Mansellem...

- Być może z politycznego punktu widzenia ta argumen-

tacja ma swoją wagę, sir Williamie. Prawdę mówiąc, jestem o tym przekonana. - Honoria starała się zachować pojednawczy ton i obojętną twarz. - Istniały jednak powody natury osobistej, które skłoniły mnie do tego małżeństwa. Z pewnością rozumiesz, panie, że nie jestem władna o nich teraz mówić. Muszę jednak podkreślić, milordzie, że wcale nie narzekam na sytuację, w jakiej się znalazłam.

- Nie jesteś pozbawiona rozsądku, Honorio. Na pewno rozważyłaś konsekwencje.

- Konsekwencje, milordzie? - Tym razem głos Honorii zabrzmiał zdecydowanie ostrzej. - Bezpieczne małżeństwo z wybitnym człowiekiem, mającym wysoką pozycję, który będzie traktował żonę z szacunkiem i czułością, wydaje mi się czymś więcej niż pożądanym dla wdowy. - Zawiesiła głos, próbując sprowokować go do wyrażenia sprzeciwu. - Lord Francis ma na uwadze moje dobro i pragnienia dużo bardziej niż lord Edward. Myślę, że nic więcej dodawać nie trzeba. Znałeś lorda Edwarda lepiej niż ja, milordzie.

Sir William wyraźnie się zmieszał.

- To prawda. Musiałaś przeżyć niełatwe chwile. Dziś przyjechałem jednak w uczciwych zamiarach. Obiecałem to Mansellowi podczas pogrzebu. Nie mogę okazywać mu zbyt wiele sympatii publicznie, ale prywatnie, mając na względzie więzy rodzinne, dałem mu słowo, że ostrzegę go w razie, gdyby wydarzenia przyjmowały nieoczekiwany obrót.

- I?

- W Hereford zaczęło się dużo dziać. Gubernator Fitzwilliam Coningsby powziął stanowczy zamiar zlikwidowania wszelkich wpływów parlamentu w hrabstwie. Twój mąż, pa-

ni, ma zbyt mocną pozycję na północnym zachodzie hrabstwa, by można go było zlekceważyć, zapewne więc stanie się pierwszym celem.

- Co planuje gubernator?

- Chce przysłać tutaj znaczącą siłę i zażądać oddania Brampton Percy we władzę Korony. To ma dotyczyć również reszty waszych posiadłości.

- A jeśli odmówimy?

- Wtedy rozpocznie oblężenie i zagłodzi was na śmierć.

- Rozumiem.

Spodziewał się gwałtowniejszej reakcji lady Mansell, ta jednak doskonale panowała nad sobą i wykazywała jedynie zdawkowe zainteresowanie tematem.

- Powiedz mi, sir Williamie, czy popierasz skierowane przeciwko nam działania?

Sir William uniósł brwi. Nie spodziewał się tak zuchwałego pytania.

- Hm...

- Czy przyłączyłbyś się do oblegających? - nalegała Honoria.

- Tak. - Nie miało sensu unikać odpowiedzi. - Gdybym został do tego wezwany, to bym się stawił. Moim obowiązkiem jest służyć królowi.

- Wobec tego doceniam to ostrzeżenie. Jestem ci, panie, bardzo wdzięczna za okazanie lojalności członkom rodziny.

- Nie bawmy się w udawanie, Honorio. - Zniecierpliwienie nadało jego głosowi więcej szorstkości. Bądź co bądź, rozmawiał z kobietą, która jeszcze niedawno była niedojrzałą panną. - Zostałaś wychowana w domu sir Roberta Denhama i tam nauczyłaś się lojalności. Wiele twoich koligacji tutaj również



nie pasuje do parlamentarnych sympatii męża. Czy masz na niego dostatecznie duży wpływ?

- Nie będę udawała, że rozumiem, milordzie. - To zabrzmiało już lodowato.

- Na pewno doskonale rozumiesz. Czy jesteś w stanie przekonać Mansella, że myli się w swych zapatrywaniach?

- To znaczy przekonać go do zmiany poglądów? Wątpię, żeby było to możliwe. Wprawdzie połączył nas węzeł małżeński, ale znamy się od bardzo niedawna.

- Niczego więcej nie możesz zrobić? - Spojrzenie sir Williama było teraz dość zagadkowe, ale Honoria szybko pojęła aluzyjną propozycję.

- Cóż to za sugestia, sir Williamie? - Dumnie uniosła głowę i pewnie spojrzała mu w oczy. - Miałabym zdradzić męża i bez jego wiedzy oddać zamek w cudze ręce, może nawet jeszcze dzisiaj? Sprzeniewierzyć się zasadom, w które wierzy mąż?

- Nie, niczego takiego nie miałem na myśli. Wyciągasz zbyt radykalne wnioski, Honorio.

- Moje powinności są jasne, sir Williamie. Milord Mansell na czas nieobecności zostawił zamek pod moją pieczę. Będę go strzegła w jego imieniu, tak jak mnie poproszono. Powołanie się na koligacje, lokalny układ sił i na moje wychowanie nie skłoni mnie do wiarołomstwa.

- Z pewnością zgodzisz się jednak, pani, że prawowitym władcą tego kraju jest Jego Królewska Mość. - Sir William oparł dłonie na stole i pochylił się ku kobiecie, która tak stanowczo mu się sprzeciwiała.

- Zapewne tak, ale prawowitym władcą w tym domu jest

mój mąż. Dlatego danego mu słowa muszę dotrzymać i zrobić wszystko, by tak się stało.

Sir William wyprostował się i przesunął dłonią po twarzy. Trudno mu było zapanować nad irytacją.

-W tej sytuacji muszę cię, pani, pożegnać. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Przykro mi, że rozstajemy się w taki sposób.

- Mnie też jest przykro z powodu okoliczności, sir Williamie. - Honoria nieco spuściła z tonu, widząc w oczach jego lordowskiej mości nie tylko surowość, lecz również szczerą troskę. - Jestem bardzo wdzięczna za wszystko. Zawsze okazałeś mi, panie, wiele życzliwości, ale nie mogę ustąpić. Jestem pewna, że rozumiesz moje stanowisko.

- Muszę pogodzić się z tym, że istnieją między nami różnice. Chciałbym tylko, żebyś zapamiętała jedno, Honorio. Bez względu na moją publiczną postawę w sprawie Brampton Percy, prywatnie zawsze możesz na mnie liczyć. Gdybyś znalazła się w niebezpieczeństwie lub potrzebie, możesz bez wahania zwrócić się do mnie o pomoc. Zrobię wszystko co w mojej mocy. - Skłonił głowę, wziął z krzesła pelerynę i kapelusz, i wyszedł.

Pod Honorią nagle ugięły się kolana i ogarnęła ją wielka słabość. Usiadła na najbliższym krześle i spojrzała na Mary.

- Nigdy nie sądziłam, że jestem zdolna do czegoś takiego. Przeciwwstawić się sir Williamowi...

- Cóż ja mogę powiedzieć? - Mary uśmiechnęła się chytrze; mimochodem otrzymała odpowiedź na kilka swoich pytań o stosunki między Honorią a Mansellem. - Zrobiłaś na mnie duże wrażenie. Małeński stan wyraźnie ci służy.

- Tak sądzisz?

- Owszem. Sir William również. Biedny człowiek. Przyszedł tu, zdaje się, z przekonaniem, że zdoła cię skłonić do opuszczenia męża i poddania zamku bez jednego strzału.

- Nigdy!

- Ja to wiem. A teraz wie to również sir William.

- Och, nienawidzę takich sytuacji, a jeszcze bardziej nienawidzę być ich powodem.

- Lepiej szybko się zahartuj - poradziła jej Mary. - Obawiam się, że to dopiero początek. Co robimy? Przygotowujemy się do oblężenia?

- Pewnie warto. Mary... czy chciałabyś wrócić do Ludlow? Myślę, że tam będziesz bezpieczniejsza.

- Na pewno masz rację, ale wolę zostać. Chyba że nie chcesz, żebym została?

- Nie bądź niemądra. Na pewno wiesz, jak bardzo cenię sobie twoją przyjaźń. Nie znam wielu osób, do których w potrzebie mogę zwrócić się o radę.

- Teraz masz mnie. - Mary w geście wsparcia położyła Honoru rękę na ramieniu. Bardzo poruszył ją wyraz bezradności, widoczny na jej twarzy, zanim zdążyła odwrócić głowę. - Będziesz potrzebować mojego wsparcia, jeśli mamy stawić czoło połączonym siłom ziemiaństwa Herefordshire. Oto dwie kobiety zatrzymują wojsko, grożące zrównaniem zamku z ziemią. - Poczucie humoru Mary bardzo podniosło Honorię na duchu, udzielił jej się bowiem nastrój przyjaciółki.

- Co sądzisz o naszych szansach? - spytała.

- Wierzę, że zwyciężymy, ma się rozumieć. Rzecz jasna, wiem, że żadna z nas nie ma pojęcia o wojowaniu. Czy to może nam, twoim zdaniem, przeszkodzić?

- A czy ignorancja kiedykolwiek powstrzymała mężczyznę w dążeniu do celu? - Honoria obróciła głowę ku drzwiom, bo do komnaty wszedł zarządca. - Panie Foxton, mam podstawy przypuszczać, że wkrótce odwiedzi nas znaczna siła rojalistów. Pani Hopton i ja musimy więc porozmawiać z wami o kilku bieżących sprawach. Czy macie jakiegokolwiek doświadczenia w sprawie oblężenia zamku?

- Nie, milady. - Spokojny jak zwykle Foxton, odpowiedział na pytanie całkiem obojętnie. To dodało Honorii niezbędnej pewności siebie. - Spodziewam się jednak, że skutecznie obronimy Brampton Percy. Nie obawiaj się, milady, wróg tutaj nie wejdzie.

- Proszę więc, wielbny ojciec, aby w najbliższą niedzielę po kazaniu dał ojciec krótką naukę mieszkańcom wsi. Nie chodzi o sianie paniki, tylko o to, żeby byli przygotowani na wypadek ataku rojalistów. Na pierwszy sygnał powinni natychmiast przybiec do zamku. Tu przeczekają do czasu, aż będą mogli wrócić do domów. Wielbny ojciec na pewno się ze mną zgodzi, że byłoby rozsądnie uprzedzić ich o takim zagrożeniu.

Stali w kruchcie kościoła wczesnym rankiem. Lady Mansell nie czerpała przyjemności z tej rozmowy, uważała jednak, że jest ona niezbędna. Nie mogła ryzykować przykrych niespodzianek. Wzięła na siebie odpowiedzialność za ludzi, którym groziła śmierć. Nie zważała na aroganckie spojrzenie Gowera, który usiłował jej pokazać, że jest zwykłą młodką, wiedziała bowiem, że nie wolno dać się zastraszyć.

- To chyba wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia, wielbny ojciec.

Duchowny z najwyższym trudem ukrył rozdrażnienie.

- Moim zadaniem jest przekazywać słowo boże, milady. Przede wszystkim jestem winien wierność Bogu i nazwę po imieniu dzieła szatana.

- Niczego innego od wielebnego ojca nie oczekuję, nie rozumiem jednak, w jaki sposób niebezpieczeństwo grożące jego wiernym miałoby być dziełem szatana. Bardziej prawdopodobne, że to dzieło wicehrabiego Scudamore i sir Williama Crofta, którzy poprowadzą wyćwiczone oddziały ludzi z hrabstwa. Rozumiem jednak, że ojciec nie czuje się dobrze w tej sytuacji, i jestem gotowa to przyjąć.

- Uśmiechnęła się słabo. - Oczywiście musi ojciec pozostać w zgodzie z własnym sumieniem. Proszę jednak rozważyć również inny argument. Prebenda ojca zależy nie od Boga, lecz od lorda Mansella. Byłoby nierozsądnie lekceważyć jego życzenia.

- Błuźnisz, milady. Grozisz słudze bożemu! - Gower aż się zatrząsł z oburzenia.

- Nie wydaje mi się, żebym bluźniła. Nie widzę nawet konfliktu interesów. Nie mam przecież zastrzeżeń do tego, jak ojciec głosi słowo boże. Oczekuję jednak, że zostanie wypełnione moje polecenie w związku z miejscowymi niepokojami. Bezpieczeństwo moich ludzi jest dla mnie najważniejsze i nie sądzę, żeby Bóg mógł mieć do mnie o to pretensje.

- Najważniejsza jest lojalność wobec jego królewskiej mości. Jaka jest tutaj pozycja milady? A milorda Mansella? Bóg z pewnością potępiłby was, gdybyście chcieli wypowiedzieć posłuszeństwo temu, którego namaścił.

Teraz wszystko stało się jasne. Gower doszedł do sedna

sprawy. Honoria wyprostowała się i odpowiedziała z niezmaconym spokojem, chociaż wszystko się w niej burzyło.

- W odróżnieniu od wielebnego nie jestem obeznana z wyrokami bożymi. Muszą być dla ojca źródłem wielkiego pokrzepienia. - Nieznacznie się skrzywiła. - Przykro mi, że wielebny znalazł się w trudnej sytuacji. Może więc inna prebenda byłaby rozsądnym rozwiązaniem. Słyszałam, że wkrótce ma się zwolnić parafia w Luston.

Luston było małą osadą, do tego leżącą na uboczu i biedną. Niewielu parafian mogło tam znosić księdzu dziesięcinę, a i warunki życia były surowe. Wielebny Gower ukrył więc oburzenie, chociaż wiele go to kosztowało.

- Porozmawiam z milordem o ewentualnym przeniesieniu.

- Nie ma takiej potrzeby. Przekażę wiernym polecenie milady.

- Z pewnością przyjdę tego posłuchać. Może powinien ojciec również dobrze przemyśleć swoją interpretację słowa bożego w kazaniach. Nie chciałabym, aby wielebny bez potrzeby naraził się na gniew milorda. O ile wiem, milord Mansell bywa bardzo porywczy, gdy ktoś nie zważa na jego wolę.

- Naturalnie.

- Proszę mi wybaczyć, że zajęłam ojcu tyle czasu. - Honoria znów się uśmiechnęła, dała znak służącej i zostawiła wielebnego Gowera, aby mógł w samotności dać upust złości.

Zanim pokonała niedużą odległość między kościołem Świętego Barnaby a zamkiem, ludzie już wstali. W Ludlow był dzień targowy. Należało się spodziewać, że mieszkańcy Knighton i wieśniacy z licznych siół Welsh Marches tłumnie tam

się zjawia, aby sprzedawać, kupować i wymieniać najświeższe plotki. W drodze na targ wielu musiało minąć główną bramę Brampton Percy.

Dotarłszy na wewnętrzny dziedziniec, Honoria odesłała służącą do pani Morgan, a sama zaczęła się rozglądać za Mary Hopton. Postawiła stopę na pierwszym schodku, prowadzącym do wejścia, i znieruchomiła, zaalarmowana nagłym hałasem i krzykami, dobiegającymi z drogi. Po chwili wzruszyła ramionami i uznała, że nie warto zwracać na to uwagi. Z pewnością to wieśniacy w drodze na targ. Krzyki stały się jednak głośniejsze i wyraźnie bardziej wulgarne. Ciekawość nakazała jej zawrócić. Po chwili dołączyła do niej Mary, która uniesieniem brwi i ruchem głowy dała znać, że nie wie, co się dzieje. Wdrapały się więc na mury, żeby spojrzeć w dół. Zostały tam Foxtona i sierżanta Nathaniela Drew, dowódcę ich niewielkiej straży. Obaj cofnęli się od blanków, słysząc kroki. Foxton miał ponurą minę i niewątpliwie był zły, a na widok Honorii spłonął rumieńcem. Podszedł do niej z uniesionymi ramionami, jakby chciał sprowadzić ją z powrotem na dziedziniec.

- Co to za hałasy, panie Foxton?

- Lepiej, żeby milady tutaj nie było. To bardzo nieestosowne. Lord Mansell nie życzyłby sobie obecności milady.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, głosy znów się nasiliły i pojedyncze słowa zaczęły docierać do Honorii. Przyczyna zamętu na drodze nie budziła wątpliwości.

- Ja w każdym razie sobie życzę - odparła spokojnie, lecz stanowczo. - Chcę wiedzieć, co ludzie mówią.

Obeszła Foxtona i zerknęła na drogę. Pod murami grupa podróżnych zatrzymała się na brukowanym odcinku dro-

gi przed bramą. Powinna to być interesująca i barwna scena. Znajdowały się tam juczne konie, obładowane muły, kosze z drobiem, łaciata krowa z cielęciem. Wśród zwierząt, wykrzykując i śmiejąc się, biegały dzieciaki. Kobiety karcily je za nadmierną żywołość. Pozornie więc był to sielankowy obraz wieśniaków w drodze na targ w Ludlow.

Były to jednak pozory. Grupa zatrzymała się przed bramą celowo. Mężczyźni, kobiety i dzieci uzbierali dużo kamieni i teraz ciskali je w zamkowe mury. Odbijały się z głośnym stukotem, szkód żadnych wyrządzić nie mogli. Trudno jednak byłoby zlekceważyć groźne miny przybyłych i ich gniewne okrzyki.

Honorcia mocno zacisnęła usta, słysząc, co ludzie krzyczą.

- Śmierć purytanom!

- Śmierć wrogom jego królewskiej mości!

- Podli zdrajcy, wracajcie skąd przyszliście. Lord Edward był lojalny. Nie potrzebujemy tutaj zdrajców!

I znów o mury uderzyły kamienie.

- Szybko rozeszły się wieści o poglądach mojego męża. - Honorcia wychyliła się, żeby dokładniej przyjrzeć się tłumowi, zaskoczona jego graniczącą z nienawiścią niechęcią. Okrzyki nie słaby.

- Proszę uważać. - Drew wyciągnął ku niej ramię. - Ktoś może przypadkiem trafić miłady kamieniem.

Ruch na murach zwrócił uwagę kobiety, trzymającej wzdzie jucznego konia.

- Patrzcie - zwróciła uwagę ludzi, wskazując w górę - to ona, ta parlamentarna wszeteczniczka. - Z tymi słowami kobieta splunęła.



Honorcia zachnęła się, słysząc obelgę, ale się nie cofnęła. Poczula krzepiącą dłoń Mary na ramieniu i odpowiedziała podobnym gestem. Tymczasem krzyki nabrały jeszcze większej mocy.

- Małowana dziewczka!
- Babilońska ladaczniczka!
- Zdradziecka suka!

W końcu Honorcia zrobiła krok w tył i spojrzała niedowierzająco na Foxtona. Nigdy w życiu nie została w taki sposób zelzona. Foxton odpowiedział spojrzeniem pełnym współczucia. Milady była młoda i niedoświadczona, a jednak umiała wykrzesać z siebie siłę, jakiej nikt by u niej nie podejrzewał. Nawet jeśli pobladła i jej oczy zdradzały niepokój, to zachowała władczą pozę, dowodzącą, że to właśnie lady Mansell tutaj rządzi w zastępstwie nieobecnego męża.

- Przykro mi, milady. - Foxton próbował dodać Honorcii otuchy. - Ci ludzie są ciemni, a do tego wprowadzono ich w błąd. Nie przejmuj się nimi, pani.

- To nie ma znaczenia. Jeśli nic gorszego nas nie spotka, to doprawdy możemy się cieszyć. Przynajmniej nie mamy żadnych wątpliwości co do uczuć, jakie żywią wobec nas ludzie z okolicy.

Z tą myślą odwróciła się, by przyrzeć się twarzom tych, którzy mieszkali w murach Brampton Percy, ludzi, z których służbą i lojalnością wiązała nadzieje na bezpieczeństwo. Dobrze pamiętała obietnicę, jaką złożyła Francisowi. Ciekawa była, co służba z Brampton Percy sądzi o tym nagłym wybuchu wrogości. Której stronie sprzyja? Inspekcja wypadła pomyślnie. Ludzie wydawali się poruszeni i bardzo zakłopotani. Tylko jeden człowiek, zapewne nieświadom tego, że jest obserwowany, okazywał wyraźne zadowolenie. Mary, która

również zatrzymała wzrok na młodym stajennym, szturchnęła Honorię i skinęła głową w jego stronę.

- A, tak. Widziałam. To Ned Parrish.

- Nie ufałabym mu.

- Ja też nie. Wiem, że również Foxton ma co do niego wątpliwości. Chłopak nie ukrywa krytycznego stosunku do parlamentu. Na pewno stanie po stronie króla.

- Co z nim zrobisz?

- Może wyślę go do Londynu z listem do rodziny milorda.

Dyskretnie zasugeruję im, żeby znaleźli mu na pewien czas zajęcie i nie spuszczały go z oka.

Mary spojrzała na Honorię z najwyższym uznaniem.

- Zdziwiasz mnie.

- Czym? Przecież to doskonałe rozwiązanie.

- Bez wątpienia. - Mary postanowiła nie przesadzać z zachwytemi, była jednak pod wrażeniem pomysłowości młodej pani na zamku. Ciekawiło ją, czy lord Mansell doceni tę jeszcze przez siebie nieodkrytą zaletę żony.

Godzina zesłała Honorii na pisanie listów. Jeden był do matki Francisa w Londynie, z informacją o nagłym ślubie jej syna z Honorią Ingram, wdową po lordzie Edwardzie Mansellu. Czytając go po raz ostatni, wołała się nie zastanawiać, co pomyśli o niej teściowa. Mimo wszystko list spełniał swoje zadanie, ponieważ dzięki niemu Ned Parrish miał na dobre zniknąć z Brampton Percy.

W znacznie lżejszym tonie utrzymany był list do lady Eleanor Croft. Nie brakowało w nim ploteczek, rozmaitych drobnych i spraw natury osobistej. Ponieważ zbliżająca się woj-

na była na ustach wszystkich w okolicy, i ona musiała znaleźć swoje miejsce na papierze. Honoria już cieszyła się na odpowiedź lady Eleanor.

Odłożyła pióro, gdy Foxtton przyprowadził do niej nieznanego jej z imienia, umorusanego i bardzo wzburzonego chłopaka ze służby, zwykle pracującego w ogrodzie. Zarządca wyjaśnił, że Sim trzy dni temu pojechał z ogrodnikiem, panem Thorpe'em, do Hereford po nasiona do warzywnika.

- Musisz go wysłuchać, milady. Przynosi złe wiadomości. Ostrzeżenie Foxttona było właściwie niepotrzebne. Honoria i tak obawiała się w każdej chwili najgorszego.

- O co chodzi, Sim? Nie bój się, cokolwiek się stało, to na pewno nie twoja wina. Po prostu opowiedz mi, co wiesz.

- Byliśmy w szynku, milady. Na High Street. Chcieliśmy wypić po kufelku przed powrotem do domu. Mieliliśmy nasiona i wszystko co trzeba. - Sim otarł dłonią umazaną twarz.

- Wtedy ludzie gubernatora aresztowali pana Thorpe'a. Nic złego nie robiliśmy, po prostu siedzieliśmy, a oni wyciągnęli go na zewnątrz i zaprowadzili do zamku. Powiedzieli, że pan Thorpe szpieguje. Zabrali nam też konie i nasiona, i wszystko. Mnie się udało podjechać kawałek z posłańcem, a z rozstania wróciłem piechotą. To wszystko, milady. - Gniotąc w dłoniach czapkę, z niepokojem czekał na słowa pani.

- Pomyśl dobrze, Sim. Czy ludzie gubernatora wiedzieli, że pan Thorpe jest ode mnie?

- Na pewno, milady. Kapitan spytał go, czy u nas pracuje.

- Rozumiem. Czy panu Thorpe coś się stało?

- Nie. Po prostu zabrali go do zamku, tak jak powiedziałem. Zanim to się wydarzyło, kazał mi wrócić do domu.

- Dobrze się spisałeś. Idź teraz coś zjeść.
- Sim uklonił się i szybko uciekł z komnaty.
- Zaczyna się, panie Foxton.
- Tak.
- Modlę się, żeby pan wrócił jak najrychlej.
- Ja też, milady.

Zbliżał się wieczór, zachmurzone niebo sprawiło, że zmierzch przyszedł wcześniej niż zwykle.

Potem zapadł mrok tym głębszy, że bezkسیężycowy.

Zdenerwowana Honoria nie mogła jeść ani odpocząć. Nie mogła też na niczym się skupić. Ślub, który wzięła zaledwie dwa dni temu, spowodował lawinę wydarzeń. Francis nie był w stanie przewidzieć, co się stanie po jego wyjeździe, a poza tym tak naprawdę była całkiem bezpieczna. Mimo wszystko wolałaby jednak mieć męża przy sobie. Pamiętała, jak krzepiąco działał na nią uścisk jego ramion.

Siedziała w komnacie na wieży razem z Mary, na kolanach miała zamkniętą książkę i czekała. Ani ona, ani jej towarzyszy-ka nie ukrywały niepokoju, żadna z nich jednak o tym nawet nie wspomniała. Nie należało kusić losu.

- Chciałabym, żeby Josh już wrócił - powiedziała w końcu Mary, gdy zegar wybił dziesiątą.

- Tak. - Honoria wreszcie przyznała się do myśli, która dręczyła ją przez cały dzień. - I Francis też.

Więcej nie trzeba było mówić.

Mężczyźni się nie zjawili.

W Leintwardine Francis i Joshua zostali zatrzymani przez

mały, lecz pełen inicjatywy oddział rojalistów, który postanowił zająć posiadłość. Doszło do drobnych potyczek, wprawdzie niezbyt groźnych, lecz wystarczająco niepokojących, by Mansell mógł wrócić do Brampton Percy, nie znając wyniku tej konfrontacji. Wymuszona bezczynność bardzo źle na niego działała; wieczorem, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, zaczął nerwowo krążyć po niskim i dość ciasnym salonie.

- Po co mi ten cierń za skórą?

Joshua zrozumiał przyjaciela bez trudu.

- Honoria jest bezpieczna.

- Wiem.

- Trzeba by naprawdę poważnej siły, żeby przełamać umocnienia Brampton Percy i zrobić im krzywdę.

- Jasne.

- Musimy tylko cierpliwie dosiedzieć tu do końca tego zamieszania.

- Mam nadzieję.

Francis okazał się równie mrukliwy, jak jego młoda żona, Joshua złożył więc broń i pozwolił mu w milczeniu chodzić z kąta w kąt. Tymczasem Francis rozważał sytuację. Rządzić Honorią będzie na pewno sprawnie, mogła też z pewnością liczyć na doświadczenie Foxtona. Tylko czy znajdzie w tym źródło zadowolenia? Nie. Czy podczas jego nieobecności będzie normalnie odpoczywać, jeść i sypiać? Pewnie nie. Omal nie jęknął, przypominając sobie ich ostatnią rozmowę. Co go opętało, żeby dać jej do zrozumienia, że powątpiewa w jej lojalność? Nie usprawiedliwił go nawet nieoczekiwany kryzys w Leintwardine. Dobrze zapamiętał chłód i rezerwę, z jakimi Honoria go zegnała. Zniweczył wszystko, co udało mu się

wcześniej osiągnąć. Zachował się jak skończony grubianin i teraz było mu z tym bardzo źle.

Nie zdołał uwolnić się od tych ponurych rozmyślań jeszcze długo po tym, jak w kominku wygasł ogień. Pierwszy raz od wielu miesięcy, twarz, którą widział oczami duszy, nie należała do Katherine.

Honorcia stała na barbakanie za blankami powyżej głównej bramy i z niepokojem obserwowała kawalkadę, która demonstrując swą siłę, paradowała wiejską drogą. Łopotwały sztandary, w słońcu lśniła stal broni, wierzchowce potrząsały łbami i dzwoniły uprzęże. Scena wyglądała doprawdy imponująco i świadczyła aż nadto dobitnie o królewskim majestacie i ostrej dyscyplinie jego oddziałów, ale kryła też w sobie śmiertelną groźbę.

Mary stanęła obok przyjaciółki lekko potargana i oblepiona pajęczynami po tym, jak zeszyły z panią Morgan do kaplicznej krypty, aby ukryć rodowe srebra Bramptonów w nieużywanej studni.

- To nie są barwy sir Williama Crofta, ale tych ludzi bez wątplenia przysłał tutaj gubernator Hereford. Ojej, popatrz. - Wskazała mocno zaskoczona w kierunku wojsk. - To chyba królewska chorągiew, jeśli się nie mylę.

Wiatr poruszał wizerunkiem złotych angielskich lwów, dominujących nad czerwienią i błękitem tła.

Honorii zamarło serce. Francis i Joshua nie dali dotąd znaku życia, nie przysłali ani listu, ani posłańca. Szalały plotki o zasadzkach na drodze i śmiertelnych potyczkach, a chociaż żadne pewne wiadomości nie docierały, trudno było niez-

chwianie wierzyć, że Leintwardine wciąż pozostaje bezpiecznym miejscem i mężczyźni wkrótce wrócą. Gdzie się podziwał Francis?

Wśród szczęku żelaza i chrzęstu uprząży żołnierze zatrzymali się przed zamkniętymi bramami.

Honorcia nie знаła eleganckiego człowieka w kapeluszu przyozdobionym strusimi piórami, który jechał na czele, dosiadając wspaniałego gniasosa, nie poznała też herbu wyszytego na trzepoczącej mu nad głowę chorągwi. Bez wątpienia jednak był to człowiek o niemałym znaczeniu. Poprzedzał go prywatny herold, pysznie wystrojony w niebiesko-srebrną liberię.

Jeździec powściągnął wierzchowca i dał znak heroldowi. Ostry dźwięk trąbki zakłócił spokój poranka. Zaraz potem rozległo się niecierpliwe wezwanie do otwarcia bram. Honorcia nie zareagowała na sygnał, lecz dalej stała w bezruchu na barbakanie.

- Zejdiesz na dziedziniec, milady? - Obok niej pojawił się sierżant Drew, nie spuszczać wzroku z przybyłych wojsk.

- Na razie nie. Poczekajmy jeszcze trochę.

Już ich dostrzeżono. Przybysze spoglądali w górę, zasłaniając oczy przed słońcem przytkniętymi do czoł dłońmi. Trąbka rozległa się po raz trzeci, po czym herold teatralnym gestem wyciągnął zza pazuchy przygotowany zwój. Wszystko ustalone zawczasu, pomyślała Honorcia. Chcą nam pokazać, jacy są wielcy i wspaniali, żebyśmy pokornie im się poddali. Za dobrze jednak znała obyczaje na dworze króla Karola Pierwszego Stuarta i wiedziała, że nie pozwoli się zastraszyć.

Herold rozwinął pergamin, opatrzony licznymi wstążkami

i pieczęciami, i zaczął głośno czytać dokument. Honoria doskonale rozumiała każde słowo.

- Jego lordowska mość markiz Hertford żąda widzenia z Honorią, lady Mansell.

A więc wiedzieli, że Francis został zatrzymany gdzie indziej! Honoria wychyliła się zza blanku.

- Jestem lady Mansell. Czego żądacie, milordzie?

Hertford podniósł głowę, zamasyście zdjął kapelusz, skłonił się nisko nad końskim kłębem i znieruchomiał w oczekiwaniu. Najwidoczniej sądził, że dama do niego zejdzie lub zaprosi go do środka.

Gdy stało się jasne, że nie należy oczekiwać ani jednego, ani drugiego, skinął dłonią heroldowi, by czytał dalej. Zachował przy tym kamienną twarz.

- Przysłała nas tutaj pan Coningsby, namiestnik Hereford, w imieniu jego królewskiej mości Karola. Wzywamy czcigodną i dzielną Honorię, lady Mansell, do poddania się namiestnikowi Hereford. Domagamy się przekazania nam zamku Brampton Percy z całym znajdującym się w nim uzbrojeniem, amunicją i zapasami wojennymi pod groźbą aresztowania i procesu o zdradę stanu. Przeciwno Honorii, lady Mansell, zostaną zastosowane środki prawa, a jeśli okaże się to konieczne, również siła.

Zdrada stanu! Honoria szeroko otworzyła oczy, nie na żarty przerażona tym, co usłyszała. Tymczasem herold, przemawiając dalej, opisał los tych, którzy ośmielili się przeciwstawić władzy króla.

- W uznaniu chęci współdziałania w tej sprawie czcigodnej Honorii, jej rodzinie i służbie będzie dozwolone swobod-



nie opuścić zamek i udać się, dokądkolwiek sobie zyczą poza granicami Herefordshire. Nie zostaną skrzywdzeni ani z tego powodu oskarżeni. Jednakże odmowa poddania powoduje natychmiastowym aresztowaniem.

Zapadło milczenie. Honoria zbierała myśli.

- Nie wolno ci tego zrobić - szepnęła Mary, przerażona możliwością kapitulacji. - Nie wolno ci się na to zgodzić. Ich jest za mało, żeby wziąć zamek siłą.

- Wiem. Zresztą obiecałam, prawda?

- Obiecałaś?

-Tak, milordowi. - Przypomniała sobie twarz Francisza i zdawało jej się, że poczuła mocny uścisk jego dłoni na nadgarstku. Na chwilę zamknęła oczy. - Obiecałam, że będę strzegła zamku w jego imieniu. Rozmawialiśmy o tym przed jego wyjazdem.

Prawdę mówiąc, nie było się nad czym zastanawiać. Honoria zaczerpnęła tchu i pochyliła się do przodu, oparta o blank. Zwróciła się prosto do markiza, a nie do jego herolda.

- Jego królewska mość, o ile mi wiadomo, zawsze obiecywał bronić prawa i swobód w tym królestwie. Ta posiadłość w czasie nieobecności mojego męża należy do mnie. Jakim prawem żądamie ode mnie jej poddania? I w jaki sposób, milordzie, popełnię zdradę stanu, jeśli nie zgodzę się oddać zamku, skoro zdrada stanu jest przestępstwem skierowanym bezpośrednio przeciwko królowi i królestwu? Nie uwierzę, że król Karol wspiera cię w twoim żądaniu.

Hertford poruszył się w siodle, niewątpliwie zdziwiony oporem, odpowiedział jednak ze spokojem, przekonany, że w końcu zdoła wymusić posłuszeństwo.

- Lady Mansell, twoja odmowa stanowczo będzie równoznaczna ze zdradą stanu, jeśli w jej następstwie zaczniesz używać swojej własności, aby zagrozić bezpieczeństwu tego kraju i ugodzić w majestat króla.

- Nie mam zamiaru używać swojej własności przeciwko jego królewskiej mości ani w celu zakłócenia pokoju w królestwie.

- Czy możesz jednak powiedzieć to samo o swoim mężu? Czy będzie ci łatwo utrzymywać, że i do niego zarzut jawnej zdrady stanu się nie stosuje? - Mimo dzielącej ich sporej odległości Honoria zauważyła jego chytry uśmieszek. To tylko utwierdziło ją w powziętym postanowieniu.

- Podczas nieobecności pana zamku to ja jestem głosem lorda Mansella. I ja sprawuję tutaj władzę.

Hertford odchrząknął. Obrót spraw coraz mniej mu się podobał.

- Dobrze znam twój opiekuna, milady, i wiem że doradziły ci postawić prawo tego kraju przed wszystkimi innymi zobowiązaniami. Twoich ostatnich słów słuchałby z prawdziwą odrazą.

- Nic podobnego! - Gniew owładnął Honorią. - Sir Robert pierwszy broniłby własności i wierności zasadom prawa. I właśnie dlatego, że w takim duchu zostałam wychowana, będę chronić to, co jest moje, przeciwko wszelkim próbom rabunku.

- Musisz więc mieć świadomość czekającej cię kary. Liczyłem na to, że uda się przekonać cię, milady, do przyjęcia żądań namiestnika Coningsby'ego.

- Nie oddam Brampton Percy ani tobie, ani namiestnikowi Hereford, ani jego królewskiej mości.

Markiz skłonił głowę na znak, że przyjął jej słowa do wiadomości, po czym ściągnął wodze i gestem nakazał eskortie, żeby się wycofała.

Nagły strzał z pistoletu zakłócił ciszę. Z pobliskiej kępy wiązów wzbity się gawrony. Konie zaczęły nerwowo dreptać w miejscu, a towarzyszyło temu niejedno stłumione przekleństwo.

Strzał był zupełnie przypadkowy, kula trafiła jednak w mur zamkowy, nieco poniżej grupy stojącej na murach nad bramą. W powietrzu zawirowały odłamki kamienia, jeden z nich rozciął sierżantowi Drew skórę na policzku. Dowódca straży zaklął, a Honoria z przerażeniem patrzyła na strugę krwi, która zaczęła mu ściekać po twarzy za kołnierz. Szybko jednak przeniosła wzrok na oddział na dole, gdzie niefortunnego strzelca szybko i sprawnie rozbijono.

- Proszę mi wybaczyć, milady. - Hertford osadził konia, który spłoszył się hukiem. - Stanowczo nie było to moim zamiarem.

- Mam w to wierzyć, lordzie Hertford? Może za chwilę zostanę zastrzelona? W imieniu króla, oczywiście.

Złość i zakłopotanie Hertforda odmalowały się na jego twarzy aż nadto wyraźnie, markiz porzucił już jednak pojednawczy ton i nie zamierzał dłużej wcielić się w rolę piewcy pokoju.

- Strzał padł bez mojego rozkazu, ale może jednak powinnaś, pani, potraktować to jako ostrzeżenie. Ludziom trudno zapanować nad gniewem, gdy w powietrzu pachnie zdradą stanu.

- Obawiam się, że to zajście tylko potwierdza mój niepokój.

Stanowczo nie mogę polegać na waszej gwarancji bezpieczeństwa, milordzie. Bramy Brampton Percy pozostaną zamknięte. Nie macie tutaj wstępu.

Honorcia odwróciła się tyłem do odjeżdżającego już marki-za i zwróciła się do sierżanta Drew, który trzymał przy policzku zaplamioną na czerwono chustkę.

- Nikomu nie wolno otworzyć bram bez mojego wyraźnego zezwolenia. Rozumiecie? Nikomu. Nawet jeśli będzie to jego królewska moc we własnej osobie.

- Rozumiem, milady.

- Teraz stawką jest nasze życie. Bramy pozostają zamknięte.

Honorcia wycofała się do swojej komnaty. Nie była jednak w stanie odpoczywać, nawet gdy opadło pierwsze wzburzenie. Podeszła do okna, wyjrzała na zewnątrz, potem wzięła książkę, by zaraz ją odłożyć, przez chwilę próbowała zająć się haftem. Jaki jednak sens miały takie banalne czynności w sytuacji, gdy świat, jaki zawsze znała, zdawał się walić w gruzy. Bezwiednie otworzyła drzwi, dzielące ją od sypialni Francisa. Przeszła próg, chociaż czuła się jak intruz. Wiedziała, że nikogo tam nie ma, i tym bardziej nie rozumiała, dlaczego czuje się tak nieswojo. Przecież jej mąż zajmował tę komnatę bardzo krótko, zaledwie kilka nocy przed ślubem. Właściwie nie miał czasu zostawić tutaj śladów swojego pobytu.

A jednak gdy usiadła na łożu, otoczenie wydało jej się krzepiące. Niebiesko-złote zasłony dawały jej jakże potrzebny spokój; zaczęła się wpatrywać w drobinki kurzu, unoszące się w słonecznym pasie, biegnącym od okna do podłogi. Było jej tak podle na duszy, że pozwoliła sobie nawet uronić kilka łez. Publicznie nie mogłaby sobie na to pozwolić, mieszkańcy

Brampton Percy obserwowali przecież każdy jej krok, każdą zmianę nastroju. Jak to możliwe, że kiedyś tak nisko ceniła sobie prywatność, chociaż miała jej pod dostatkiem? Teraz czuła się tak, jakby żyła na scenie teatru, zmuszona przez okoliczności do zachowań i decyzji nieależących w jej charakterze.

Groźba kontaktu z przemocą, z regularną wojną, ze śmiercią stała się nagle całkiem rzeczywista. Do tego oskarżono ją o zdradę stanu! Ukryła twarz w dłoniach. Otarła łzy. Francis wkrótce wróci. Wyrównała kapę na łożu, poprawiła zasłony i podeszła do okna. Kiedy zobaczy Francis'a nadjeżdżającego drogą? I czy będzie chciał ją znowu obejmować i całować? Wziąć do łóża? Miała taką nadzieję, choć jednocześnie była pełna obaw.

Jesteś głupia, Honorio Brampton, skarciła się w myślach. Trzeba iść do pani Brierly i porozmawiać o paczusce od pani James. Paczka wciąż pozostawała nieotwarta, a było to zadanie, którym można się zająć.

Cofnęła się od okna i znieruchomiła, jej wzrok przykuł bowiem złoty błysk między poduszkami na ławie pod oknem. Musiało to być coś kosztownego, pozostawionego tam przez nieuwagę. Podniosła przedmiot, położyła go na dłoni i serce jej zamarło.

To była miniatura w delikatnie zdobionej złotej ramce. Honoria natychmiast się zorientowała, kogo przedstawia: młodzięncze rysy twarzy, przejrzyste, zielone oczy, przysłonięte długimi rzęsami, naturalne, rudozłote pukle i czarujący uśmiech, tworzący dołeczek na jednym policzku. Niewątpliwie namalował to zdolny artysta, udało mu się uchwycić i urodę, i radość życia modelki.

Zorientowawszy się po chwili, że ramka wbija jej się w dłoń, Honoria rozluźniła palce. Cóż, nic dziwnego, że przed drugim ślubem Francis oglądał ten portrecik. Przecież kochał Katherine i ją stracił. Zapewne dokonał bardzo niekorzystnego porównania między tą uroczą młodą kobietą a wdową, którą był zmuszony poślubić z poczucia obowiązku.

Odruchowo uniosła dłoń do swych włosów o mało zdecydowanym kolorze, związanych w praktyczny kok na karku. Gdy do tego pomyślała o swoich brązowych oczach i bladej karnacji, ogarnął ją smutek.

Nie miała szans zdobyć serca Francis'a. Za to on... Jak kobieta mogłaby pozostać obojętna na kogoś tak męskiego. Ciemne, gęste włosy, poza ze szczyptą arogancji, wargi ułożone w lekki grymas, odejmujący nieco surowości rysom twarzy. I blask tych niesamowitych oczu. Honoria odstawiła miniaturkę na miejsce, aby Francis znalazł ją tam po powrocie, a potem uciekła do swojej sypialni. Byłaby głupia, gdyby oczekiwała od niego czegoś więcej niż życzliwości i szacunku. To powinno jej wystarczyć. To musi wystarczyć! Będzie się pilnować, żeby Francis nigdy nie odgadł, co naprawdę kryje się w jej sercu.

Dzień powoli miał się ku końcowi. Francis nadal nie wracał. Dlaczego nie przysłał listu? Nawet nie podał wiadomości przez kogoś służącego z Leintwardine. Honoria wmawiała sobie, że nie wolno jej się martwić.

To jednak nie pomagało. Martwiła się nadal, układając się do snu, położyła więc obok siebie naładowany pistolet. A pod łóżkiem czuwała na wszelki wypadek wierna Morrighan.

## Rozdział szósty

Było późno, a Honoria źle spała. Zbyt wiele spraw zaprzątało jej uwagę, gdy wreszcie położyła się do łóżka. Obawiała się zdrady kogoś ze służby, lękała się ataku z zewnątrz. Również niepokoiła się o bezpieczeństwo Francisa. Co mogło go tak długo zatrzymać w Leintwardine? Za dnia Honoria umiała swoje lęki opanować, skupiała uwagę na planowaniu obrony wspólnie z Foxtone, naradzała się z panią Brierly w sprawie gromadzenia zapasów i metod przechowywania żywności lub po prostu gawędziła z Mary. Wieczorami jednak naczochodziły ją koszmary.

Gdyby Francis został ranny lub, co gorsza, zginął, z pewnością zostałaby już o tym poinformowana. A może tylko się ludziła, nie mogąc znieść oczekiwania?

Wreszcie zasnęła, ale przewracała się z boku na bok tak często, że w końcu Morrighan wyczołgała się spod łóżka i opuściła swoje stanowisko. Wkrótce potem Honoria ocknęła się z poczuciem, że dzieje się coś bardzo złego. Była pewna, że została wyrwana ze snu, chociaż nie umiała określić przyczyny. Mimo późnej godziny w kominku

jeszcze się żarzyło. Spojrzała, co robi Morrighan. Suka nasłuchiwała, niewątpliwie i ona wyczuła w mroku coś niepokojącego.

Honorcia usiadła wyprostowana na łożu.

Rozległy się kroki. Były ciche i tylko skrzywienie butów zdradzało skradającego się człowieka. Morrighan już zerwała się z miejsca, groźnie warknęła i obnażyła kły.

Niepokój Honorii przerodził się w panikę. Zachowaj spokój, nakazała sobie w duchu. Z pewnością rojaliści nie podjęliby próby zdobycia zamku w środku nocy. Przecież pozbyła się Neda Parrisha, który prawdopodobnie znajdował się już niedaleko Londynu. Czy jednak w Brampton Percy tylko w jego lojalność należało wątpić? Może ktoś wiedziony poczuciem obowiązku wobec króla skradał się właśnie korytarzem, by zadać jej śmiertelny cios we śnie? Wyciągnęła lekko drżącą rękę po leżący przy łożku pistolet. Wiedziała, że bez wahania pociągnie za spust. Wykonała kilka głębokich wdechów, by mieć nieco pewniejszy chwyt. Nie mogła sobie pozwolić na spudłowanie.

Kroki ucichły przed drzwiami jej komnaty. Morrighan zareagowała natychmiast. Zbliżyła się do drzwi ze zjeżoną sierścią. Tymczasem rygiel podskoczył i drzwi bezszelestnie się uchylły.

Morrighan szczeękła, a drzwi otworzyły się szerzej.

- Kto tam?! - Honorcia z trudem wydobyła głos.

Z nieoświetlonego korytarza nie dobiegła żadna odpowiedź, ale w drzwiach pojawiła się ludzka sylwetka. Ktoś wszedł do komnaty. Morrighan szczeękała coraz głośniej.

- Kim jesteś? Czego chcesz? - Jeśli nawet padła jakakolwiek



odpowieź, to zagłuszyła ją Morrighan. - Mam pistolet. Stój, bo strzelam! - Postać zbliżała się bez słowa.

Z lęku o własne życie Honoria pozbyła się wszelkich wahań. Nie miała już wyjścia. Wycelowała w mroczną postać i pociągnęła za spust.

Błysnęło, w powietrzu zapachniało prochem. Honoria opadła na poduszki, spłoszona siłą eksplozji. Postać zatoczyła się na drzwi i ordynarnie zakłęła, przyciskając dłoń do ramienia.

- Nie ruszaj się, albo strzelę znowu! Mam drugi pistolet. - Groźba zabrzmiała pewnie i Honoria miała nadzieję, że blef nie zostanie zdemaskowany. Tym razem nie musiała długo czekać na odpowiedź.

- Do diabła, milady, coś ty zrobiła?

- Francis?!

- A któż by inny? Oczywiście, że to ja. Kogo, u diabła, się spodziewałaś? Postrzeliłaś mnie. - W jego głosie było słycać niedowierzenie.

Honoria zerwała się z łóżka i drżącymi palcami zaczęła zapalać świecę. O drzwi opierał się istotnie lord Francis, spowity w pelerynę oklejoną błotem. Trzymał się za lewe ramię, na którym pojawiła się duża czerwona plama. Przed nim stanęła, ujadając, Morrighan.

-Zawołaj tego przeklętego psa, Honorio, bo zaraz zbudzi cały dom. - Istotnie, na korytarzu rozległ się tupot, i to z dwóch stron jednocześnie.

- Milordzie? Co się stało? Czy zostaliśmy zaatakowani? - rozległ się głos Foxtona.

- Francis, jesteś ranny? Słyszałem strzał! - zawtórował mu głos sir Joshui.

Lord Mansell wyprostował się, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, starannie maskując plamę krwi odpowiednim ułożeniem fałdów peleryny.

- Nic się nie stało, Josh. Proszę wybaczyć zamieszanie, panie Foxton. Niestety, nie udało się go uniknąć. To tylko drobny wypadek. Honoria sądziła, że nas napadnięto, i ustrzeliła ducha.

Usłyszała szmer odpowiedzi, śmiech i głos sir Joshui, życzącego przyjacielowi dobrej nocy.

Francis zamknął drzwi i przez chwilę opierał się o nie, ciężko oddychając. Tymczasem Honoria zdołała uspokoić Morighan, choć od czasu do czasu suka wydawała jeszcze nieprzyjazny pomruk i nie spuszczała z oczu Francisca.

-Milordzie...

Francis zdjął kapelusz i rękawice, i rzucił je na podłogę. Potem ostrożnie usiadł na krześle. Honoria natychmiast odzyskała zdolność działania. Zapaliła jeszcze kilka świec, żeby było jaśniej, i podeszła do męża, by odebrać przemoczoną i zakrwawioną pelerynę.

- Zraniłam cię, milordzie? - Znowu zadała bezsensowne pytanie. Chyba całkiem odebrało mi rozum, skarciła się w duchu.

- Tak. Postrzeliłaś mnie.

- Czemu nie odpowiedziałeś, kiedy pytałam, kto idzie? Co, u diabła, robiłeś, skradając się w ciemnościach, nawet bez świecy? - Nie umiała powstrzymać irytacji.

- Próbowałem nie postawić na nogi całego domu o tej nieludzkiej porze. I nie zbudzić ciebie, sądziłem bowiem, że śpisz. Wszystko poszłoby jak z płatka, ale przyszło mi do głowy, że,

być może, dręczysz się moją nieobecnością i powinienem cię uspokoić. Jak mogłaś cokolwiek usłyszeć, skoro to piekielne bydlę ujadło jak wściekle? Rozumiem, że sam sobie jestem winien, bo powinienem to przewidzieć. Następnym razem wezmę z sobą królewskiego herolda, żeby oznajmił mój powrót fanfarą. - Głośno nabrał tchu i spojrzął na ramię. - Czy możesz zatamować mi krew?

Kamizela poszła śladem peleryny. Potem Francis pomógł Honorii rozpiąć pas, podał jej szpadę i, krzywiąc się z bólu, odchylił głowę na oparcie krzesła. Honoria skupiła uwagę na ranie. Przód i rękaw lnianej koszuli Francisca były już nasiąknięte krwią. Ostrożnie rozcięła płótno i jej oczom ukazała się groźnie wyglądająca krwawa dziura w górnej części ramienia. Nie miała doświadczenia w opatrywaniu ran. Wydawało jej się, że za chwilę zemdleje, i modliła się, żeby tak się nie stało. Dość zła już wyrządziła tej nocy. Podarła resztę koszuli, złożyła ją kilka razy, przyłożyła ten prowizoryczny opatrunek do rany i kazała Francisowi go przytrzymać. W końcu podarła na pasy prześcieradło i zamoczyła je w wodzie.

Spojrawszy na twarz Francisca, natychmiast zauważyła jego nienaturalną błądź i mocno zaciśnięte usta. Musiał bardzo cierpieć, chociaż się nie skarżył. W dodatku wciąż tracił krew, która spływała mu po torsie i ściekała na podłogę, tworząc kałużę przy nodze krzesła. Honoria pomyślała, że nawet nie wie, czy kula nie tkwi wciąż w ranie.

Odłożyła płótno i poszła do kredensu po wino. Szczodrze naląła trunku Francisowi.

- Wypij to.

Bez protestów przełknął łyk, potem następny, po czym od-

stawił wino na stół. Nawet jeśli przywróciło to nieco kolorów jego twarzy, w oczach wciąż miał cierpienie.

Honorcia zaczęła czyścić ranę, raz po raz spoglądając na niego, niespokojna jak znosi jej dotyk. Wciąż siedział z głową odchyloną do tyłu. Milczał. W pewnej chwili jednak gorliwość Honorii wyrwała z jego ust głośny syk.

Cofnęła rękę, trzymając w dłoni zakrwawioną szmatę.

- Nie przerywaj teraz! Skończ to jak najszybciej!

- To się nie wierć! - Surowością zdołała zamaskować paraliżujący ją strach. Nie mogła pozwolić, by Francis się o nim dowiedział. Ostrożnie i dokładnie obmyła go z krwi, zadowolona, że ręce chcą jej słuchać. Zanim skończyła, krwawienie prawie ustało.

-I co? - Otworzył oczy i zerknął z ukosa na ramię, gdy Honorcia wreszcie odłożyła szmatę do miski i zaczęła przygotowywać kolejne pasy płótna. - Zadałeś mi śmiertelną ranę?

- Na szczęście nie. Kula przeszła przez ramię na wylot i zapewne utkwiła w boazerii przy drzwiach. Rana wygląda paskudnie, ale przynajmniej ją oczyściłam.

- Czyli powinienem być wdzięczny.

- To prawda.

- Zechciej mi wyjaśnić, dlaczego czułaś potrzebę spania z psem na straży i pistoletem przy łożu. Czyżby było za mało służby i nie miał cię kto strzec podczas mojej nieobecności?

- To długa historia. Niech poczeka do rana.

- Może rzeczywiście.

- Nigdy przedtem tego nie robiłam, ale bardzo się starałam. Rana musi być bardzo bolesna.

Ostrożnie poruszył mięśniami. Grymas, jaki pojawił mu się na twarzy, potwierdzał jej słowa.

- Nie jest najgorzej. - Zdołał się nawet uśmiechnąć. - Miałam też szczęście, że nie pożarła mnie ta bestia, która broni cię przed natrętami.

- Miałaś nawet więcej szczęścia, niż ci się zdaje, bo gdyby był tutaj szczeniak, musiałbyś teraz drapać go po brzuszku.

Zatrzymała dłoń na jego ramieniu nieco dłużej, niż było to konieczne; czuła pod palcami twardość mięśni i ciepło gładkiej skóry. Wiedziała, że powinna jak najszybciej odsunąć się od męża, ale coś trzymało ją na miejscu. Delikatnie pogłaskała Francisa.

Przyjrzał jej się spod przymkniętych powiek. Bładość jej twarzy bardzo go poruszyła. Najwidoczniej potwierdzały się jego obawy: Honoria musiała mało jeść i niewiele spać. Jej oczy lśniły teraz w blasku świec, ale nie mieniły się złocistymi plamkami, które tak mu się podobały. Włosy miała starannie zaplecione do snu i tylko przy skroniach wiło się kilka niesfornych loczków. Znowu na wargach zaigrał mu uśmiech. Nocne wydarzenia nie doprowadziły Honorii do ataku histerii. Przeciwnie, zachowała godny podziwu spokój, mimo że zalała jej krwią całą sypialnię. W dodatku zaczęła go rugać za bezmyślność i wcale nie zamierzała kajać się z powodu tego nieszczęsnego strzału. Jeszcze niedawno zdawało mu się, że Honoria może nie sprostać wyzwaniu i nie udźwignąć ciężaru odpowiedzialności.

- Dziękuję, że nie rozgłosiłeś wszem i wobec mojej głupoty - powiedziała, wyrывая go z zamyślenia.

-I swojej przy okazji. Jak mógłbym, nie kompromitując się,

wyjaśnić, że mam kulę w ramieniu? Przez ostatnie pięć dni wodziłem za nos oddziały rojalistów i nagle pozwoliłem się postrzelić w sypialni żony. Nie chciałem, żeby tak o mnie mówiono.

- To rzeczywiście nie byłoby korzystne, milordzie.

Francisa ogarnęła chęć, by natychmiast pocałować Honorię, mimo że piekielnie bolało go ramię. Stęsknił się za nią. Usta Honorii były tak słodkie i miękkie, jak pamiętał. I tak samo urzekające. Miał wielką ochotę wdrzeć się głębiej, pozwolić sobie na więcej namiętności, uznał jednak, że nie czas na to. Na ich małżeństwie wciąż kładł się cień lorda Edwar-da, a nie życzyłby sobie, aby duch nagle ożył. Zresztą fizycznie również nie był w tej chwili odpowiednio dysponowany, by uwodzić wstydliwą oblubienicę. Puścił więc Honorię, zadowolony, że nie zeszywniała, czując jego dotyk, i że nie dostrzegł lęku w jej oczach.

Szybko wstał i zdrową ręką przeczesał włosy, jakby był śmiertelnie zmęczony.

- Skoro oznajmiłem już swój powrót, powinienem chyba położyć się do łóżka. Nawiasem mówiąc, było mi diabelnie trudno skłonić straż do podniesienia kraty. Naprawdę zachowujesz wszelkie środki ostrożności.

- Uznałam to za konieczne/Wyjaśnię ci to jutro, milordzie. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? - spytała, gdy zmierzał już ku drzwiom swojej sypialni.

Przystanął i, odwracając się do niej, pokręcił głową.

- Nie. Spróbuj teraz zasnąć, porozmawiamy później. A to wszystko - wskazał bałagan na podłodze - niech leży, bo do rana już blisko. - Cicho zamknął za sobą drzwi.

Honoria naturalnie zlekceważyła jego sugestię i posprzątała ślady niedawnego zdarzenia. Dopiero potem wróciła do łóża. Wprawdzie zasnęła, ale spała niespokojnie.

- Potrzebne mi są rejestry czynszów z majątków. Udało mi się znaleźć tylko Brampton Percy i Wigmore, nie mam pojęcia, gdzie lord Edward trzymał resztę. Może przypadkiem to wiesz, milady?

- Naturalnie - odrzekła lady Mansell. - Walały się po całym domu, czasem w bardzo dziwnych miejscach. Wszystkie pokrywała gruba warstwa kurzu. Mogę pokazać ci, milordzie, gdzie są teraz. Nie odpowiadam tylko za ich stan ani za system zapisu, jeśli jakkolwiek w ogóle istniał. Zwłaszcza w ostatnich latach raczej go nie było.

Mars na czole pana włości i jego ponura mina, gdy pilnie wezwał ją do siebie, mogły zniechęcić każdego do pytania go o samopoczucie. W dodatku wyrzuty sumienia bardzo utrudniały Honorii prowadzenie sensownej rozmowy. Jak należy się odnosić do mężczyzny, z którym jest się nieodwracalnie związanym przez jego nazbyt rozwinięte poczucie obowiązku i którego omal nie pozbawiło się życia pistoletową kulą?

Zmierzyła go spojrzeniem spod przymkniętych powiek. Francis celowo zachowywał się tak, jakby nocą nic nie zaszło. Starał się jedynie nie wykonywać gwałtownych gestów i unikał obciążania lewej ręki. Ktoś niewtajemniczony mógłby uznać, że jest to skutek zmęczenia po kilku trudnych dniach.

Honoria natychmiast zrozumiała, co jest przyczyną tak oszczędnych ruchów. Powstrzymała się jednak od uwagi i po

prostu zaprowadziła go do komnaty obitej boazerią, w której znajdowały się teraz wszystkie dokumenty.

- Rejestry są w tych skrzyniach. - Wskazała meble pod ścianą. - Zebraliśmy wszystkie razem, ale, o ile zdążyłam się zorientować, ładu w nich wiele nie ma. Staraliśmy się podzielić je majątkami. Tu jest Eyton, a tam Burrington.

Mansell przeszedł przez pokój i zdecydowanym ruchem uniósł wieko pierwszej skrzyni.

- Masz rację - powiedział po chwili. - Fura kurzu i mysiego nawozu. Kompletny chaos.

O zmianie wystroju komnaty nie wspomniał, nie skwitował też ani słowem wysiłków Honorii i Mary, aby przynajmniej do pewnego stopnia zapanował tu ład.

- Pomyślałam, że zechcesz używać tej komnaty jako domowej kancelarii. - Honoria przesunęła palcem po blacie świeżo odnowionego stołu. - Jest całkiem przyjemna i lepiej oświetlona niż pozostałe.

Głośno odetchnął i to była cała jego odpowiedź.

Honoria zacisnęła usta. Była zdecydowana za wszelką cenę zachować cierpliwość i spokój.

- Cierpisz, milordzie? Może powinnam zmienić ci opatrunek?

- Nie, jest całkiem wygodny. - Pochylił się nad skrzynią i zaczął przeglądać dokumenty, by na nowo je posortować.

- Muszę opowiedzieć ci o...

- Nie teraz, Honorio. Mam wrażenie, że już ładne parę lat temu wszyscy dzierżawcy postanowili przestać płacić czynsz leniwiemu panu. W dodatku teraz szukają wszelkich możliwych powodów, by również mnie nie płacić. - Wyciągnął



następną porcję dokumentów. - Mogą zresztą zwrócić się ze skargą na mnie do króla i płacić czynsze bezpośrednio jemu, a nie mnie, jeśli w ogóle ktokolwiek zada sobie trud przyjscia po pieniądze. Nie pojmuję, jak Edward mógł dopuścić do takiej sytuacji. Niesłychane. - Krzywiąc się, wyciągał ze skrzyni kolejne księgi.

- W czasie kiedy cię nie było...

- Opowiesz mi o tym później. - Nawet nie podniósł głowy. - Może pójdziesz zająć się przygotowaniem posiłku dla Josha, żeby zjadł coś przed wyjazdem do Ludlow. Chciał jak najwcześniej ruszyć w drogę.

- Rozumiem, że potem mogę zająć się haftowaniem poszewki na poduszkę, czytaniem poezji lub czymś równie użytecznym! - Irytacja okazała się silniejsza od rozsądku. - Podczas twojej nieobecności w Brampton Percy doszło do kilku incydentów. Czy nie powinieneś się przypadkiem dowiedzieć, co zrobiłam w twoim imieniu? Bo przecież wcale nie musi ci się to spodobać. Mogłam, na przykład, przekazać cały twój dobytek Fitzwilliamowi Coningsby'emu!

- No dobrze. Opowiedz mi o tych incydentach, o których bezwzględnie musisz mnie powiadomić. Coningsby nie wydaje się groźny, skoro wciąż jesteśmy właścicielami Brampton Percy. Cóż więc takiego zrobiłaś?

Protekcjonalny ton i uśmieszek na pokaz przepęłniły czarę goryczy.

- Nie będę nudzić cię szczegółami, milordzie. Nie chciałybym marnować twojego cennego czasu. - Nie ulegało wątpliwości, że cierpliwość Honorii się wyczerpała. - Powinieneś wiedzieć, co następuje. - Przygotowała palce, aby wszystko

dokładnie wyliczyć, zupełnie jakby sprawdzała domowe rachunki. - Po pierwsze, twojemu proboszczowi nie można ufać, jest zaprzysięgłym rojalistą i arminianinem. Po drugie, twojego ogrodnika aresztowano jako szpiega i osadzono w zamku Hereford, i nie wiadomo, jak jest traktowany. Po trzecie, jednego z twoich ludzi wysłałam na stałe do Londynu. Po czwarte, uraziłam dumę sir Williama, nie pozwalając mu szukać broni w zamku. Po piąte, ukryłam srebra, będziesz więc musiał zadowolić się cynową zastawą. Po szóste, przedstawiono mi wczoraj oficjalne żądanie w imieniu króla, abym przekazała Brampton Percy i wszystkie twoje posiadłości namiestnikowi Hereford, Fitzwilliamowi Coningsbyemu pod groźbą oskarżenia o zdradę stanu. Nawiasem mówiąc, odrzuciłam to żądanie. Wreszcie... - zaczerpnęła tchu i wybrała najsubtelniejszą z obelg, jakimi ją obrzucono - zostałam publicznie, przed naszą służbą, oskarżona o zdradę i bardzo mi się to nie podoba. - Przeszyła go gniewnym spojrzeniem. - Tak mają się sprawy, milordzie. Teraz mogę cię zostawić sam na sam z rejestrami i pomóc pani Brierly w liczeniu świec.

Obróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom. Już w progu zadała ostateczny cios:

- Dlaczego przez pięć dni nie przysłałeś z Leintwardine najmniejszej wiadomości? Byliśmy tu prawie chorzy ze zmartwienia. I nawet nie byłeś łaskaw zauważyć tego wszystkiego, co zrobiliśmy, żeby łatwiej było prowadzić sprawę majątku. Gotowa jestem sądzić, że nienawidzisz zmian tak samo, jak nienawidził ich lord Edward.

Wyszła, nie racząc zamknąć za sobą drzwi.

Francis usiadł na krześle przy biurku i ukrył twarz w dło-

niach. Ale mu wygarnęła! Okazał się głupcem. Przecież wiedział, jaka jest spięta. Dlaczego nie zapytał o powody? Nie było dla niego usprawiedliwienia. Owszem, rejestry i czynsze uważał za pilne, ale nie aż tak, żeby nie mogły jeszcze kilku godzin poczekać. Skoro Honoria przed położeniem się spać przygotowała sobie naładowany pistolet i wpuściła Morrighan do komnaty, to powinien mieć przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby zapytać o powód tej niezwyklej zapobiegliwości.

W dodatku, co słusznie mu wypomniała, ani razu nie dał znaku życia. Po prostu nie przyszło mu to do głowy, bo za bardzo przejął się tym, co zastał w Leintwardine. Nie zmieniło to faktu, że skazał żonę na wielki niepokój, a do tego bardzo dotknął. Honoria ma siłę i hart ducha, czego dowiodła tej nocy, broniąc swego bezpieczeństwa, ale jest jednocześnie bardzo delikatna. Czuł się winny za cienie pod jej oczami i wyraz troski na jej twarzy.

Zostawił dokumenty rozłożone na podłodze i ruszył za żoną, gotowy zawrzeć pokój. Musiał też dowiedzieć się, co dokładnie zaszło podczas jego nieobecności. Jeśli w krótkiej relacji Honorii była choćby połowa prawdy, to miał się czym przejmować. Prawdę mówiąc, myślał o tym z dużym niepokojem.

Nie mógł odszukać Honorii.

Zanim dotarł do wielkiej sali, znikła bez śladu. Tymczasem jednak odnalazł go Foxton.

- Dostarczono proch i amunicję, milordzie. Z Worcester. Złożyliśmy skrzynie w piwnicy. Czekamy jeszcze na więcej prochu, dostawa ma być w najbliższych dniach. Musimy na-

tomiast zainteresować się naszym zasobem muszkietów. Jest zdecydowanie niewystarczający. Milady uznała, że lepiej zostawić tę sprawę do decyzji milorda.

- Lady Mansell zamówiła proch i amunicję?

- Tak, milordzie. Przywieziono je wczoraj. Pani poleciła również zbudować w parku zagrody dla bydła i świń na wypadek oblężenia.

Mansell ukrył zaskoczenie decyzjami żony, ale nie było mu przyjemnie.

- Rozumiem. Na szczęście mamy teraz prawdziwego eksperta w sprawach obrony. Przedstawię was, Foxton, kapitanowi Daviesowi, który przybył wraz ze mną ostatniej nocy. Ma duże doświadczenie wojskowe, przez kilka lat był najemnikiem na kontynencie. Będzie nam mógł udzielić fachowych rad.

- Zdążyliśmy już zamienić kilka zdań, milordzie - odrzekł Foxton, ani na chwilę nie wychodząc z roli sprawnego zarządcy. - Ludziom kapitana Daviesa przydzieliłem kwatery przy stajni. Wydawały się najodpowiedniejsze, a kapitan zaakceptował ten wybór. Bardzo potrzebujemy tych ludzi, milordzie.

- Istotnie. Z tego, co dowiedziałem się dziś rano, wynika, że przybycie kapitana jest wyjątkowo szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Ponieważ Foxton nadal stał przed nim w pozie pełnej szacunku, Mansell zrozumiał, że zarządca ma jeszcze jakąś sprawę.

- Powinienem jeszcze coś wiedzieć?

- Tak, milordzie, o lady Mansell. Bardzo dzielnie stawiała czoło sir Williamowi Croftowi i lordowi Hertfordowi i w imieniu milorda odrzuciła ich żądania. Nie wspomnę już nawet

o tym pistoletowym wystrzale, który mógł spowodować nie-szczęście. Milady zachowała się jak prawdziwa pani zamku i jesteśmy z niej bardzo dumni. Pomyślałem, że milord powinien o tym wiedzieć.

- Jaki znowu wystrzał? - Jego lordowska mość spiorunował zarządcę wzrokiem, a potem ciężko westchnął. Ciekawe, czego jeszcze żona mu nie powiedziała. - Proszę mi wszystko opowiedzieć, Foxtone.

- Nie mogę znaleźć żony. - Mansell zostawił Foxtona na rozmowie z kapitanem Daviesem o potrzebach jego podkomendnych i poszedł z Joshuą do stajni, by ten mógł osiedlać wierzchowca. - Na pewno chciały cię pożegnać.

- Jest z Mary w ogródku przykuchennym. - Josh przytroczył juki do uprzęży. - Rozmawiają o warzywach, jako że ogrodnik siłą rzeczy jest nieobecny.

- O, ty też o tym słyszałeś? Wydaje mi się, że Honoria mnie unika.

- Już? - Josh zerknął na koński zad i zaczął zapinać rzemień. - Czym zawiniłeś?

- To zwykły przypadek mało uzasadnionego męskiego przekonania o własnej wyższości. - Mansell ironicznie się uśmiechnął. - Wprawdzie nie nazwała mnie wprost arogantkim głupcem, ale była tego bliska. Wygląda na to, że zawiniłem przede wszystkim niedocenianiem własnej żony.

- To prawdopodobne. - Josh uśmiechnął się szeroko, zaraz jednak spoważniał. - Nie sądzę, żeby było jej przyjemnie, kiedy usłyszała, że jest parlamentarną wszetecnicą i jeszcze parę podobnych wyzwisk.

- Co takiego? Mnie powiedziała, że oskarżono ją o zdradę, ale nic więcej.

- Owszem, to też. O ile wiem, nazwano ją zdradziecką suką.

- O tym też nie wspomniała!

- Nie sądzę, żeby miała na to ochotę. W każdym razie była jeszcze „malowana dziewczka” i „Mansellowa ładacznica”.

- Na Boga, Josh! Kto miał czelność dopuścić się czegoś takiego?

- Okoliczni mieszkańcy w drodze na targ. Ci bardziej krewcy postanowili skorzystać z okazji i, mijając zamkową bramę, wykrzyzczyć to, co mają na wątrobie.

- Skąd wiesz?

- Od Mary. Ona ma doskonałą pamięć, zwłaszcza wtedy, kiedy lepiej byłoby, żeby o czymś nie pamiętała - stwierdził Josh z przekonaniem.

- Rozumiem. - We Francisie obudził się gniew. Nie mógł pogodzić się z tym, że Honoria musiała znosić takie obelgi.

- Tu się dużo działo, Francis. Żałuj, że cię przy tym nie było, chociaż zdaje się, że nasze damy jak do tej pory radzą sobie doskonale. - Josh obszedł koński zad i na pożegnanie klepnął Francisę w ramię. - No, to...

Francis z całej siły zacisnął zęby; obezwładniający ból odebrał mu czucie w palcach.

- Co się stało, Francis?

Zaczerpnął tchu. Chciał znaleźć jakiś wykręt, ale w końcu zdecydował się powiedzieć prawdę.

- Postrzeliła mnie.

Josh zamilkł z wrażenia, a po chwili głośno się roześmiał.

- Postrzeliła, powiadasz? Wiesz, gdybym kiedyś chciał się ożenić, przypomnij mi, żebym tego nie robił.

- Doceniam twoje współczucie.

- Opowiesz mi, co się stało?

- Nie! - Jeszcze nie mógł się zdobyć na opisanie tej niedorzecznej sytuacji. - Może potem, kiedy moja miłość własna poradzi sobie z tym wstrząsem.

- Trzymam cię za słowo. Porcja zwierzeń dobrze ci zrobi. Swoją drogą, pewnie ci się należało.

- Co masz na myśli? - Francis nie wydawał się skłonny do przyjęcia na siebie winy.

Joshua uśmiechnął się dyskretnie, poprawiając popręg, i wrócił myślami do bardzo interesującej rozmowy z siostrą.

Honorcia zaatakowała nożycami ogrodniczymi kępę szarych od kurzu chwastów. Postanowiła wyładować nadmiar energii w ogrodzie przykuchennym i wykonywała ten plan z wielkim zapamiętaniem.

- Co on takiego zrobił?

- Absolutnie nic! - Z wyraźną irytacją obcięła kilka zeschniętych kwiatów nagietka.

- Co wobec tego powiedział? - nalegała Mary.

- Nic ważnego. - Po nagietkach przyszła kolej na lawendę.

- Ciekawe, na czym będziesz się wyładowywać, kiedy Francis zrobi albo powie coś naprawdę niewybaczalnego.

- Coś wymyślę.

- Honorio! - Mary była zdecydowana za wszelką cenę dociec prawdy, zanim jeszcze przyjaciółka dokończy spustoszenia w ogródku. - Uwielbiam plotki. Powiedz mi.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Mary przejęła inicjatywę. Podeszła do przyjaciółki, wyjęła jej nożyce z rąk i pociągnęła ją za sobą do niskiego murku, na którym obie usiadły.

- Moja droga, musisz pogodzić się z tym, że wszyscy mężczyźni są tępi. Wydaje im się, że tylko oni potrafią stawić czoło problemom tego świata.

- Wiem. - Sapnęła ze złością. - Mam wrażenie, że jego zdaniem przez te ostatnie dni wyłącznie szukałyśmy rozrywek i nie robiłyśmy niczego innego. - Po tym wstępie z niejaka satysfakcją przedstawiła całą listę grzechów pana Brampton Percy.

Usatysfakcjonowana Mary słuchała z zainteresowaniem.

Francis odnalazł Honorię w ogródku, gdy siedziała, wpatrując się bez entuzjazmu w gnijącą stertę zeszłorocznych roślin. Była sama, jeśli nie liczyć Morrighan i Setanty. Suka wyciągnęła się na słońcu wśród zwiędłych łądyg. W świetle dnia jego lordowska mość nie wydawał jej się zagrożeniem dla pani. Za to szczeniak miał nieustającą potrzebę kontaktu ze swym panem i władcą. W tej sytuacji Francisowi było do prawdy trudno rozmawiać z żoną.,

Honorina przyglądała się więc, jak pan Brampton Percy drapie psa po brzuchu, i cieszyła się z ich rosnącej zażyłości. Nie miała jednak zamiaru tego okazać. Starła się zachować kamienną twarz, co było dość trudne, acz nie niemożliwe.

- Nie masz ani krzty godności - poinformował Francis łaszącego się Setante, dzielącego właśnie uwagę między walkę z czubkiem buta i oblizywanie rąk pana. Wreszcie Francis



odsunął psa i wstał. - Przynajmniej jest w tym domu ktoś, kto cieszy się z mojego widoku. To prawdziwy balsam na moją duszę. - Uśmiechnął się dość kpiąco do żony, niezłomnie trwającej w swojej pozie. Nie zbliżyła się do niego ani o krok. - Porozmawiamy, Honorio?

- Muszę dokończyć przeglądu naszych zasobów, bo inaczej nie będziemy mieli niczego do jedzenia latem, by nie wspomnieć o zimie. - Skoro Francis chce prowadzić swoją grę, to i ona może swoją. - Nie wiem, co planował pan Thorpe.

- Mamy gości, milady. - Wytrzymał jej chłodne spojrzenie, stawiając w ten sposób czoło rzuconemu wyzwaniu.

- Rozumiem.

Wstała i, nie oglądając się na niego, ruszyła żwirową ścieżką. Dała mu w ten sposób okazję do przyjrzenia się jej sztywno wyprostowanym ramionom i dumnie uniesionej głowie. Wreszcie, gdy ścieżka stała się szersza, Francis znalazł się obok żony.

- Pomyślałem, że będzie okazja wykorzystać nowo urządzonej kancelarię.

Honorio się nie odezwała. Widać było, że nie jest jeszcze gotowa na przyjęcie pokojowej oferty.

Francis roztropnie zachował powagę na twarzy i w milczeniu szedł dalej obok niej.

Gdy otworzył przed nią drzwi kancelarii, Honorio raptownie przystanąła. Zaskoczona liczbą czekających w środku osób, pozwoliła się wytrącić ze swej wystudiowanej pozy urażonej damy. Mary popijała piwo i gawędziła z pomocnikiem Foxtona. Pani Morgan przyniosła paszteciki, choć, niestety, musiały

je położyć na cynowym półmisku, co z uwagi na towarzystwo, było dość niefortunne.

- Milady - odezwał się Francis - wiem, że znasz już doktora Wrighta, który dbał o zdrowie lorda Edwarda. - Starszawy dżentelmen w czerni skłonił się i wypowiedział kilka gładkich zdań na powitanie. - A to jest pani Wright. Spotkało ich przykre zdarzenie na drodze, zaprosiłem więc ich do nas.

- Bardzo dziękujemy za gościnę, milady. Może będziemy mieli kiedyś okazję spotkać się w przyjemniejszych okolicznościach. - Doktor Wright uściśnął dłoń Honorii.

- A to jest pan Samuel More - ciągnął Francis. - Być może znasz jego ojca, który jest członkiem parlamentu z okręgu Bishop Castle.

- Nie. - Honorii uśmiechnęła się do ciemnowłosego młodego człowieka. Nie uszedł jej uwagi błysk w oczach Mary, napełniającej mu kufel piwem. - Słyszałam o twoim ojcu, panie, od mojego zmarłego męża. Jesteś mile widzianym gościem w Brampton Percy.

-A to jest kapitan Priam Davies, wobec którego jeszcze przed końcem tego roku możemy mieć olbrzymi dług wdzięczności.

Mężczyzna w średnim wieku, niewątpliwie bardzo sprawny fizycznie i wyróżniający się postawą żołnierza, ubrany w skórzane bryczesy i kamizelę, skłonił się przed panią domu i z szacunkiem ucałował jej dłoń. Honorii spojrzała pytająco na męża.

- Priam jest członkiem rodziny. Przysłał go tutaj wraz z wielkim oddziałem mój brat Ned. Dzięki temu będziemy mieli bardzo potrzebne wsparcie. Spotkaliśmy się przypadkiem

na trakcie pod Leintwardine. Kapitan ma wiedzę wojskową, której nam brakuje, a poza tym jego żołnierze rozwiązują do pewnego stopnia nasz najpoważniejszy problem, czyli brak ludzi.

- Milady, to dla mnie zaszczyt móc usłużyć tobie i twojej rodzinie. - Kapitan Davies powitał ją dość oficjalnie, ale jego ciepłe spojrzenie i widoczna pewność siebie dodały Honorii otuchy. - Mam nadzieję, że taki tłok w domu nie sprawi ci kłopotów, pani.

- Nie, skądże. Czy macie duże doświadczenie wojenne, kapitanie Davies?

- Pewne mam. Bywałem na kontynencie. Od zarządcy wiem, że grozi wam oblężenie zamku.

- To możliwe. - Honoria starała się zachować lekki ton rozmowy, choć na twarzy pani Wright widziała ślady łez. Pomyślała, że musi potem spytać Mansella, co właściwie zaszło na drodze. - Bez względu na sytuację, wasza wiedza i doświadczenie, kapitanie, bardzo nam się tutaj przydadzą. Pańska także, doktorze Wright, jeśli zechcecie z nami zostać, dopóki sytuacja nieco się nie uspokoi.

- A teraz, milady, skoro mamy okazję porozmawiać w cztery oczy, może opowiesz mi coś więcej o tym młodym człowieku, którego wysłałaś do Londynu, i o naszym nowym statusie ludzi winnych zdrady stanu. I jeszcze o markizie Hertford i wystrzale z pistoletu.

- Chętnie, milordzie, jeśli tylko masz godzinę lub dwie, żeby mnie wysłuchać.

Nieznacznie się skrzywił. Jeszcze mu nie wybaczyla.

- Przykro mi, że z mojego powodu spadły na ciebie tak ohydne obelgi.

Nie odpowiedziała.

- Tych najgorszych mi nie powtórzyłaś, prawda? - nalegał.

- Nie. To bez znaczenia.

- Pozwolę sobie być innego zdania. Te słowa były grubiańskie i zupełnie nie do przyjęcia. Na pewno głęboko cię zraniły.

- Och, domyślam się, że rozmawiałeś z Mary, milordzie.

- Z Joshem. W każdym razie nie jest mi przyjemnie. Chciałbym się z tobą pogodzić. Jestem gotów nawet przyznać się do błędów. Czy napijesz się ze mną wina, Honorio?

- Tak, tylko najpierw oczyszczę ci ranę i zmienię opatrunek.

- Warunki okazały się twarde.

- Czemu mi się zdawało, że będziesz cichą, potulną i uступliwą żoną?

- Nie mam pojęcia. Pewnie mnie po prostu nie znałeś.

- Najwidoczniej! Wiesz, tęskniłem za tobą w Leintwardine.

- O, temu mogę łatwo zaradzić. - Wciąż używała tego bezosobowego, oschłego tonu, ale przynajmniej w jej oczach wreszcie zobaczył złote plamki, które go zachwyciły, i zdawało mu się, że na wargach zaigrał cień uśmiechu.

## Rozdział siódmy

Honorcia stała z uchem bezwstydnie przytkniętym do drzwi łączących sypialnię. Francis opuścił gości kilka godzin temu pod pretekstem pilnej pracy nad rachunkami, potem jednak nie mogła go znaleźć, w każdym razie nie było go w żadnej z używanych komnat. Wcześniej widziała, że cierpi z powodu zranionego ramienia.

Z komnaty nie dochodził żaden odgłos. Honorcia powoli się rozebrała z nadzieją, że usłyszy coś, co świadczyłoby o obecności męża, nie bardzo bowiem wiedziała, co robić dalej. Czyżby Francis spał? Jeśli tak, to nie powinna go budzić. Musiała się jednak o tym przekonać. Narzuciła ciepłą chustę na koszulę, po czym tak ostrożnie, jak tylko umiała, podniosła rygiel i pchnęła drzwi.

Komnatę spowijał mrok, ale jedna świeca wciąż płonęła, a żar w kominku jeszcze nie dogasł. Nie ulegało wątpliwości, że Francis zajmował się rachunkami, gdyż nierówna ich sterka leżała na stole przy oknie. Obok stał kielich i półmisek, na którym pozostała piętka chleba. Francis porzucił już jednak pracę i się położył. Musiał spać bardzo niespokojnie, sądząc

po stanie pościeli, ale w tej chwili leżał nieruchomo, a lewe ramię wystawało poza krawędź łóża.

Cicho podeszła do łóżka. Wyciągnęła rękę i odgarnęła Francisowi kosmyk z twarzy. Delikatnie dotknęła dłonią policzka. Bardzo chciała wiedzieć, jakie uczucia wobec niej żywi. Kusilo ją, by pochylić się i musnąć wargami jego usta.

Zdążyła już się dowiedzieć, co przedłużyło nieobecność Francisa w zamku; opowiedział jej, że niewielki oddział rojalistów dostrzegł w Leintwardine Manor łatwy łup i postanowił odciąć dostawy wody do dworu. Rojaliści zaczęli kopać kanał, żeby odwrócić bieg strumienia, i bez wątpienia zdołaliby to zrobić, gdyby nie kapitan Davies, który nieoczekiwanie pojawił się akurat wtedy, gdy był najbardziej potrzebny. Napastnicy zostali pobici, a zagrożenie Leintwardine Manor ustąpiło, choć nie sposób było przewidzieć, na jak długo. Ten epizod rzeczywiście tłumaczył spóźnienie Francisa, lecz Honoria podejrzewała, że mąż nie powiedział jej wszystkiego. Relacjonował jej te zdarzenia ze zbyt wielką rezerwą.

Francis ocknął się nagle i natychmiast uświadomił sobie, że Honoria stoi przy jego łóżku. Wyczuł zapach lawendy. Nie otwierając oczu, skupił się na zachowaniu miarowego oddechu. Nie chciał spłoszyć Honoru ani zepsuć sobie przyjemności, jaką dawała mu świadomość jej bliskości.

Może powinien konsekwentnie udawać, że śpi, i poczekać aż Honoria sobie pójdzie?

Nie dane mu było jednak urzeczywistnić tego pomysłu, palce Honorii dotknęły bowiem jego torsu, co obudziło w nim namiętność. Tymczasem palce przesunęły się dalej i zaczęły sprawdzać szczelność opatrunku.

Honorcia poprawiła zasłonę, aby blask żaru z kominka nie padał Francisowi na twarz. Nagle poczuła palce na przegubie dłoni. Odruchowo szarpnęła ręką, próbując się wyswobodzić, jakby przebywanie w mężowskiej sypialni w niekompletnym odzieniu stanowiło powód do zakłopotania.

- Przyszłam sprawdzić, czy nic ci nie dolega - powiedziała cicho. - Nie zamierzałam zakłócić twojego spokoju, wieczorem jednak wydawało mi się, że bardzo cierpisz.

- Nie jest aż tak źle. - Przekręcił głowę na poduszce.

- Powinam ci zmienić opatrunek.

- Nie. Poczekamy z tym do jutra. - Delikatnie przyciągnął ją ku sobie, tak że musiała usiąść na krawędzi łoża. Wtedy puścił jej nadgarstek i zaczął przesuwając dłońią po warkoczu, który spadał jej na pierś.

- Czy czegoś potrzebujesz, milordzie?

Pokręcił głową, ale natychmiast zmienił zdanie.

-Tak.

- Czego?

- Rozpuść włosy, pani.

Życzenie łatwo było spełnić.

- Proszę bardzo. - Chwilę potem lśniącą kaskadą falistych włosów opadła jej na ramiona. - Szkoda, że są takie pospolite - powiedziała ze smutkiem, bardziej do siebie niż do niego.

- Wcale nie. Są miękkie i lśniące, odbija się w nich światło. Popatrz, jak układają się w moich dłoniach. - Przeczesał je palcami, a potem zamknął w garści gruby kosmyk.

-Boli cię?

- Nie. - Puścił jej włosy, by pocałować ją w otwartą dłoń.

- Połóż się koło mnie.

Była to prośba czy żądanie? Nieważne, i tak nie była w stanie się oprzeć i, prawdę mówiąc, wcale nie chciała. Musiał to wyczuć, bo zdrowym ramieniem odchylił dla niej pościel. Potem zsunął jej chustę z ramion i ostrożnie ją objął, tak by przytuliła się do jego prawego boku, a głowę położyła mu na torsie.

- Ale twoje ramię! - szepnęła bez większego przekonania.

- Nie wierć się. Musisz traktować mnie delikatnie.

Zaczerwieniła się i cała natychmiast stężała. Nie sposób było tego nie wyczuć.

- Odpręż się, pani. Nie sędzę, żebym mógł dzisiaj na wiele sobie pozwolić. Chcę po prostu mieć cię przy sobie w łóżu.

Potrzebował jej! To było prawdziwe odkrycie. Honorcia kurczowo uchwyciła się tej myśli.

- Przykro mi, że cię postrzeliłam - powiedziała.

- Mnie też! - Oschły ton był zaprawiony nutą humoru. - Jeśli nic gorszego nas podczas tej wojny nie spotka, to będziemy mogli uznać, że mamy szczęście. Śpijmy już.

Przyłgnęła do niego i starała się leżeć nieruchomo. Ramię Francisca obejmowało ją zaborczo. To było bardzo krzepiące. Stopniowo czuła się coraz swobodniej i powoli zanurzała się we śnie niczym dziecko.

Francis wtulił głowę w jej włosy i ostrożnie poruszył ramieniem, usiłując znaleźć wygodną pozycję. Warto było jednak wycierpieć trochę bólu, by mieć przy sobie Honorię. Bardzo potrzebował jej bliskości. Chciał myśleć o tym, że jeszcze wiele jest przed nimi i że mają po co żyć.

Zbudziła się o świcie wciąż przytulona do męża. Czuła ciepło jego oddechu na policzku. Spał spokojnie, wciąż obejmu-



jąc ją prawym ramieniem. Muszę wstać, pomyślała, i to zaraz, zanim Francis się obudzi. Tylko opuszczenie łóżka mogło ją powstrzymać przed pocałowaniem Francisca w skroń. Albo we włosy. Albo może w bliznę przy linii włosów czy gdziekolwiek indziej. Powoli zaczęła uwalniać się z jego objęć, ale wtedy poczuła, że jej koszulę przygniata udo Francisca. Kiedy próbowała się wyswobodzić, mąż się ocknął.

- Co robisz? - wymruczał sennie.

- Wstaję. - Czemu odpowiedziała mu szeptem? - Oczekujemy dzisiaj dostawcy z Worcester z drugą porcją prochu. Muszę być na nogach, kiedy się zjawi.

- Dostawca może poczekać.

- Wątpię. Pan Drayton zawsze znajdzie powód do narzekań. W zeszłym tygodniu nie podobała mu się nawierzchnia gościńca i dziury między Leominster a Ludlow, zupełnie jakby to była moja wina. Nie mogę zresztą zaufać mu na tyle, żeby...

- Uświadomiła sobie, że wciąż szepce.

Francis ostrożnie się przeciągnął, sprawdzając, na ile uszkodzone ramię ogranicza mu ruchy, ale ani na chwilę nie puścił żony.

- Nic mnie nie obchodzi głębokość dziur w drodze. Mam nadzieję, że pan Drayton wpadnie w jedną z nich. Milady... odnoszę wrażenie, że historia zaczyna się powtarzać. Mam na myśli interesy nie w porę.

- No tak - Ośmieliła się na niego spojrzeć i natychmiast tego pożałowała.

- Tym razem jednak sprawa nie zostanie niezafatwiona. Nie opuścisz tego łóża, dopóki nie potwierdzimy legalności naszego związku.

Honorcia zmartwiała. Nie była w stanie zapanować nad paniką. Kurczowo zacisnęła palce na jego ramieniu i wtuliła twarz w poduszkę.

- Co się stało? - spytał.

- Mam ci powiedzieć? Boję się.

- Nie bój się, Honorio. - Ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała. - Zaufaj mi, chcę, żeby było ci przyjemnie. Zależy mi na tym, byś zapomniała o niezdarnym obłapieniu Edwarda.

- Nie wydaje mi się, żebyś ty mógł być niezdarny.

- Rzadko się to zdarza - przyznał z figlarnym błyskiem w oku.

- Boję się jednak, że ja taka będę.

- To niemożliwe. Jesteś ucieleśnieniem wdzięku i elegancji. Chcę cię całować i dotykać. - Poglaskał ją po ramieniu i przesunął dłoń po płóciennym rękawie koszuli aż po nadgarstek. - Chcę spróbować, jak smakujesz - ciągnął, okrywając pocałunkami jej czoło.

Skłoniwszy ją, by położyła się obok niego, pochylił głowę i bez pośpiechu zaczął spełniać swoją zapowiedź. Na szczęście Honorcia nie próbowała mu w tym przeszkadzać, a ich usta okazały się dla siebie stworzone. Nasyciwszy się pocałunkiem, Francis zaczął pieścić wargami jej szyję. Wkrótce dotarł do miejsca u jej podstawy, gdzie mógł wyczuć, jak szybko bije Honorii serce.

- Dotknij mnie.

Honorcia odruchowo spełniła życzenie, zanim zdążyła się zastanowić nad jego treścią. Jej dłonie przesunęły się po ciele męża i zatrzymały na biodrach. Usłyszawszy jej ciche wes-

tchnienie, bardzo się ucieszył, że intymna bliskość nie kępuje jej tak bardzo, jak przedtem.

Powoli objął dłonią pierś, rysującą się pod płótnem koszuli. Ostrożnie ją pogłaskał.

- Czy to jest przyjemne? - spytał cicho, a Honoria potwierdziła kolejnym westchnieniem, tym razem głośniejszym. Powtórzył delikatną pieszczotę wargami.

Bardzo jej pragnął, ale rozumiał, że nie wolno mu się spieszyć.

- Niezdarne obłapianie?

- Och nie. - Westchnienie rozległo się tuż przy jego szyi. Sama zainicjowała pocałunek i ku zadowoleniu Francisa zrobiła to niezwykle uwodzicielsko.

Mogła być wstydliva, ale gdy czuła się bezpieczna, łatwo wyzbywała się niepotrzebnych zahamowań. Nieśmiałe pieszczoty Honorii okazały się wyjątkowo skuteczne, prawie natychmiast Francisa zaczęło rozpierać pragnienie. Odruchowo przetoczył się, by przykryć ją swoim ciałem i wspierając się na łokciach, śledzić doznania widoczne na jej twarzy.

Przetoczył się i krzyknął. Zabolało, jakby ktoś dźgnął go sztyletem.

- Milordzie! Francis!

Przez chwilę leżał nieruchomo, czekając, aż minie bolesne pulsowanie.

- To nie ma sensu. Nie powinienes... Rana pewnie znowu zaczęła krwawić. - Próbowała wysunąć się spod niego, umożliwić mu zajęcie wygodniejszej pozycji, choć musiała w duchu przyznać, że czuje pewien zawód.

- Leż spokojnie! - Zdążył już się opanować i powoli prze-

nieść ciężar ciała na prawą stronę. - Nie wypuszczę cię z łóża, dopóki nie zostaniesz naprawdę moją żoną.

-Ale...

- Nie przyjmuję sprzeciwów. Nie pozwolę ci znowu przede mną uciec, bo inaczej skonsumujemy to małżeństwo nie wcześniej, jak po dwudziestu latach. Nie chcę mieć za żonę czterdziestoletniej dziewicy. Wolę zaryzykować teraz.

Absurdalność tych słów wywołała u Honorii nerwowy chichot. Tymczasem Francis ułożył się na plecach i pociągnął ją tak, że znalazła się nad nim. Chichot urwał się raptownie.

- Francis! Nie mogę... Ja nie wiem, co robić!

- Przyznaję, że nie jest to najlepszy sposób wprowadzania dziewicy w tajniki małżeństwa, ale sobie poradzimy.

- Znowu się boję. - Zacisnęła pięści i zdeorientowana oparła je na jego torsie.

- Niemożliwe, pani. Masz mnie teraz w swojej władzy. Możesz...

- Francis.

Pokręcił głową.

- Ciii... - Podkasał jej koszulę, rozkoszując się widokiem kobiecego ciała, i usadowił ją na sobie. Uśmiechnął się nieznanie, widząc zmieszanie w jej oczach, teraz bardziej zielonych niż złocistych.

- Wygodnie ci?

- Tak - odpowiedziała zawstydzona.

Prawą ręką rozwiązał troczki koszuli; płótno spłynęło jej z ramion, a jego palce, skwapliwie korzystając z okazji, obrysowawszy wzgórki piersi, wspięły się na jedną z nich i delikatnie dotknęły brodawki, która natychmiast ożyła.

- Pocałowałbym cię, gdyby to piekielne ramię nie ograniczało mi swobody ruchów.

Uśmiechnęła się i pochyliła nad nim. Ich wargi się zetknęły, a potem Honoria przesunęła się i Francis pocałował jej pierś. Nie czuła się zawstydzona ani upokorzona, raczej oszołomiona żarem, który ogarniał całe jej ciało.

- Pani, na tobie będzie spoczywać ciężar tego zadania. Unieś się, proszę. - Gdy to zrobiła, ostrożnie pokierował jej biodra ku dołowi.

Tylko trochę się usztywniła i tylko przez moment miała ochotę się cofnąć. Wchodził w nią bardzo powoli, a potem nagle jednym silnym pchnięciem znalazł się w środku i zniechęcił.

Honoria krzyknęła. Spojrzała na Francisa, szukając w jego twarzy krzepiącego znaku. Bardziej jednak była pochłonięta swoją nową, nieoczekiwaną rolą niż doznaniem ciała. Zastanawiało ją, jak może robić coś podobnego, skoro przy Edwardzie leżała nieruchomo, bojąc się poruszyć.

- Czy... czy robię to dobrze?

- Znacznym. - Zaciął zęby, żeby jeszcze choć przez chwilę pozostać w bezruchu i dać żonie czas na przyzwyczajenie się do nowej sytuacji. Otaczała go bardzo ciasno, jej ciepło obiecywało wielką rozkosz. Odetchnął głęboko. - Możesz nawet otworzyć oczy i na mnie popatrzeć.

Usłuchała nieco zmieszana.

- Edward pewnie ci nie powiedział, jaka jesteś ładna. - Położył jej dłoń na karku i lekko przyciągnął ją do siebie gestem zapraszającym do pocałunku. - Zwłaszcza kiedy koszula nie okrywa cię zbyt dokładnie.

- Nie wydaje mi się, żeby Edward kiedykolwiek na mnie spojrzął. A już na pewno nie wtedy, kiedy nie miałam koszuli. - Wciąż nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Czy to możliwe, że prowadzi swobodną, wręcz frywolną rozmowę, i to w tak intymnej sytuacji? Dłonie Francisca opierały się teraz na jej biodrach, a ona trzymała go za przedramiona.

- Nadal sądzisz, że to z twojej winy Edward nie mógł dać ci rozkoszy? - spytał.

- Nie wygląda na to, milordzie. - Wstydliwie odwróciła głowę.

- Pokażę ci więc teraz, jakie to łatwe.

Mocniej ujął ją za biodra i zaczął się w niej poruszać. Nacisk dłoni zachęcił ją do podchwycenia rytmu. Stopniowo jego intensywność rosła.

- Podążaj za mną!

Tak też zrobiła. Przyjmowała go coraz głębiej, aż w końcu wstrząsnął nią potężny dreszcz. Wkrótce potem Francis zniechęcił się, jednak jeszcze dość długo trzymał ręce na jej biodrach, pilnując, by nie rozdzielili się zbyt szybko.

Gdy oparła się na jego torsie i spojrzała mu w twarz, natychmiast przypomniała sobie o jego cierpieniu.

- Nie powinieś był tego robić. Rana jest zbyt świeża.

- Naprawdę tak uważasz?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Bardzo mi ulżyło, milordzie.

- Słyszałem już cieplejsze komplementy. - Jego ironiczny uśmiešek nie był wcale nieprzyjazny, a jednak ją zakłopotał.

-Nie chciałam...

-Wiem, co miałaś na myśli. - Pomógł jej położyć się

obok i wtulił twarz w jej włosy, a potem zaczął całować ją po twarzy.

- Stało się, pani. Wybacz mi, proszę, niezdarność.

- To ty mi wybacz nieumiejętność! - Mimo tych słów czuła się w tej chwili wspaniale. Najbardziej chciała pozostać w jego ramionach.

- Nie ma czego wybaczać. Żaden mężczyzna nie mógłby pragnąć więcej. Masz tyle wdzięku i jesteś taka piękna... Całkiem dobrze to zresztą wyszło, ty niewinna, a ja inwalida.

Sam się dziwił, jak wielką przyjemność sprawiło mu ich zbliżenie. Był też całkiem dumny z siebie, bo przecież i Honoria wyglądała na szczęśliwą.

- Francis?

-Hm?

- Właśnie coś mi przyszło do głowy.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o Edwarda. - Roześmiał się z nieukrywaną satysfakcją.

- Nie, nie o niego, tylko o pana Draytona. Nie obawiasz się, że mógł już odjechać, zabierając nasz proch, by odprzedać go komuś innemu z dużym zyskiem?

Francis ciężko westchnął. Gdyby pan Drayton rzeczywiście tak zrobił, cena za cementowanie więzi małżeńskiej mogłaby się okazać bardzo wysoka.

## Rozdział ósmy

- Wybacz mi najście. - Honoria zawahała się na progu. - Powinieneś jednak to przeczytać, milordzie. Przyszło dziś rano, przywiezione przez kuriera z Leominster. Moim zdaniem, to wiele wyjaśnia. - Honoria przysłała za mężem do kancelarii i tam wręczyła mu złożony dokument.

- Wszystko, co oderwie mnie od tych średniowiecznych bazgrołów, powitam z radością. - Mansell obrócił list w dłoniach w poszukiwaniu nadawcy. - Od kogo to?

- Od lady Scudamore. To moja krewna, mieszkająca w tym hrabstwie. Pisujemy do siebie. - Z wdziękiem usiadła naprzeciwko męża.

- Wygląda na to, że prowadzisz wyjątkowo obszerną korespondencję. - Mimo surowego tonu nie umiał powstrzymać uśmiechu. Honoria ładnie wyglądała w niebieskiej sukni na tle ciemnej boazerii.

- Są z tego pożytki. - Odważnie spojrzała mu w oczy.

- Można by powiedzieć - w zadumie postukał grubą prześytką o dłoń - że stworzyłaś tutaj załazek siatki szpiegowskiej, o której nawet Walsingham, przebiegły jak lis mistrz wywia-



du królowej Elżbiety, wyraziłby się z uznaniem. To się nazywa dyskretne rozpowszechnianie niebezpiecznych informacji po całym hrabstwie.

- Ależ skąd, milordzie. Jak mogłeś w ogóle coś takiego przypuścić? - Zlekceważyła jego porozumiewawczy uśmiech.

- Po prostu pisuję do moich znajomych, należących do elity hrabstwa. To zwykłe miejscowe plotki, które zawsze zainteresują każdą damę.

- Czy przypadkiem nie widziałem również listu do pułkownika Massey'a w Gloucester?

- Możliwe. Pułkownik powinien wiedzieć, co się u nas dzieje. Dysponuje jedyną w hrabstwie siłą lojalną wobec parlamentu, która mogłaby nam przyjść na pomoc w razie ataku.

- Teraz pewnie mi powiesz, że nie spodziewasz się otrzymać odpowiedzi na list do mojej matki, który mógłby zawierać jej wrażenia na temat ostatnich wydarzeń w Londynie.

Honorja zarumieniła się nieco mocniej, ale zachowała miłą niewiniątką.

- To oczywiście możliwe. - Nie mogła zrozumieć, dlaczego sama o tym nie pomyślała.

- Hm, widzę, że do niczego się nie przyznasz. Walsingham naprawdę byłby z ciebie dumny.

Mansell otworzył list i zaczął czytać, Honorja miała więc czas, żeby trochę dojść do siebie, a przy okazji poobserwować męża. Popatrując na niego ukradkiem, zagłębiła się w rozmyślaniach.

Od powrotu Mansella do Brampton Percy trwały przygotowania do oblężenia. Ku żalowi Honoru, Josh z Mary musieli wrócić do Ludlow. Również Samuel More wyjechał do Bishop

Castle. Za to doktor Wright z żoną stali się częścią zamkowej społeczności. Dorothy była całkiem sympatyczna, nie lubiła jednak wymieniać ploteczek i była raczej małomówna. Opinie wyrażała jedynie wtedy, gdy wyraźnie ją o coś spytano, i nigdy nie robiła tego wprost. Honoria bardzo tęskniła za Mary, która była chyba pierwszą przyjaciółką w jej życiu.

Proch dostarczono bez przeszkód, chociaż pan Drayton bardzo narzekał. Kapitan Davies, od pierwszego dnia bardzo ważny mieszkaniec Brampton Percy, dopilnował zamówienia muszkietów. Teraz pozostawało tylko wierzyć, że broń dojdzie na czas.

W środę rano wrócił pan Thorpe, brudny i zmęczony, miał jednak mało do powiedzenia o swoich doświadczeniach w zamku Hereford. Nie, nie wyjaśniono mu powodów oskarżenia o szpiegostwo. Kogo miałby właściwie szpiegować? Człowiek powinien zajmować się swoimi sprawami i nie wtykać nosa do cudzego garnka. I nie, nie wytłumaczono mu również powodów nagłego zwolnienia.

Stan poboru czynszów był istotnie tak żałosny, jak Manselowi wydało się na samym początku. Nic dziwnego, że w kufach odziedziczonych po lordzie Edwardzie było pusto. Lord Francis zaczął więc składać wizyty dzierżawcom. Zawsze brał z sobą kapitana Daviesa i kilku żołnierzy, więc miłym słowem i dyskretną sugestią użycia siły zdołał odebrać nieco zaległości z minionych lat.

Honoria, zajęta obowiązkami, nie miała pojęcia, że mąż wydułbał kulę z boazerii i odtąd zawsze nosił ją w kieszeni. Francis sam nie bardzo wiedział, dlaczego zrobił coś tak dziwnego, i wolał się nad tym nie zastanawiać. Zdarzało mu się

jednak wsuwać rękę do kieszeni i dotykać gładkiej powierzchni metalu, a wtedy na wargach pojawiał mu się uśmiešek, mimo że żona ostatnio wydawała się jeszcze bardziej odległą i nieprzystępną niż na początku.

- Przeczytałem - oznajmił w końcu i pochwycił spojrzenie Honorii. - Lady Scudamore ma talent do jasnego formułowania myśli. Powinienem ci pogratulować. Teraz wiemy, dlaczego nie doszło do zapowiedzianego oblężenia. Prawdopodobnie przez najbliższe kilka tygodni możemy Uczyć na spokój.

- Ale wiemy też, jak bardzo namiestnik Coningsby chce nas zniszczyć.

- To prawda. Omal nie pojawiły się u nas specjalnie ćwiczone oddziały z Radnorshire, a tego nie życzyłbym nikomu. To siepacze bez żadnego respektu dla władzy. - Przez twarz przemknął mu uśmiech. - Całe szczęście, że odmówili przekroczenia granicy Herefordshire.

- Możemy też dziękować Bogu, że lord Herbert wyruszył razem z miejscowymi rojalistami na Gloucester, a nie na nas - zawtórowała mu Honoria, biorąc od niego dokument - i że poniósł klęskę pod Highnam.

- To znaczy, że na razie jesteśmy bezpieczni. - Mansell oparł łokcie na stole zasłanym papierami i zmierzył Honorię baczny spojrzeniem.

- Słucham, milordzie.

- Skoro mamy na pewien czas spokój z lordem Herbertem, a i inni rojaliści są zajęci gdzie indziej, chciałbym jechać do Wigmore. Czy będziesz mi towarzyszyć?

- Tak, jeśli tylko sobie życzysz. Czy jest po temu szczególny powód?

- Muszę podjąć pewną decyzję. Niełatwą decyzję. - Znowu zaczął układać papiery, a mars na jego czole wyraźnie się pogłębił.

-I chcesz poznać moją opinię, Francis?

Natychmiast się rozchmurzył, słysząc zaskoczenie w jej głosie.

- Co w tym dziwnego? Sądzę, że tak. A na pewno chcę, żebyś zrozumiała, co zamierzam.

- Czy to mi się spodoba?

- Nie sądę. Myślę jednak, że we właściwej chwili nie pozostawisz mi cienia wątpliwości co do swoich uczuć. Wyurzyszymy jutro.

Przed nimi wyłonił się zamek Wigmore, wzniesiony na grzbiecie pasma wzgórz dla obrony szerokiej doliny, znajdującej się poniżej. Mury grube na dwa jardy, wzmocnione okrągłymi bastionami, otaczały ośmiokątną wieżę, która wznosiła się nieco w głąbi. Twierdza wydawała się mniejsza niż Brampton Percy. Zatrzymali konie przed dobrze zabezpieczoną strażnicą, a kapitan Davies zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom.

Przejechali nad szeroką fosą, minęli podniesioną kratę i znaleźli się na nasłonecznionym dziedzińcu. Lord Mansell od razu zwrócił uwagę na dobre odprowadzenie wody, która w Brampton nieustannie zalegała. Zsiedli z koni, a na powitanie wyszedł im zarządca Wigmore nazwiskiem Yatton. Młody człowiek, zaszczycony niespodziewaną wizytą, osobiście pokazał pani drogę do jej apartamentów.

-I co, milady? - spytał Mansell, który towarzyszył żonie

w obchodzie zamku i musiał zauważyć, że z aprobatą ogląda pokoje i dotyka barwnych tkanin.

- Podoba mi się tutaj. - Wyjrzała przez okno i zatrzymała wzrok na małym ogródku warzywnym, umieszczonym w nasłonecznionym kącie przy murze.

- Nigdy tutaj nie byłaś?

- Nie. Edward nienawidził Wigmore. Nie przyjeżdżał tutaj, jeśli nie musiał.

- Mam nadzieję, że będziesz zadowolona z tego pobytu.

Honorcia odwróciła się do męża. Nie rozumiała, dlaczego nagle jego głos zabrzmiał ponuro.

- O, na pewno. Tu nie ma żadnych wspomnień, sam rozumiesz. - Nieznacznie się zarumieniła, zakłopotana tym mimowolnym wyznaniem, a potem zajęła się bagażami, które trzeba było rozpakować.

Mansell dostrzegł rumieniec, ale nic nie powiedział.

- Co ty na to, Priam? Rozważamy już dostatecznie długo różne możliwości. Zgadzasz się ze mną czy masz lepszą propozycję?

Lord i lady Mansell, Yatton oraz kapitan Davies stali na barbakanie, obiegającym mury, gdy tymczasem wydłużające się cienie zagarnęły dla siebie dziedziniec poniżej. Honorcia już wcześniej odniosła wrażenie, że ich spotkanie w tym miejscu ma charakter narady wojennej. Spoglądając na twarze mężczyzn, wyczuwała niepokój i niechęć do podjęcia decyzji.

- Muszę się z tobą zgodzić, Francis. - Priam podrapał się po brodzie, a potem rozejrzał się i pokręcił głową. - Na inne rozwiązanie mamy za mało ludzi, zwłaszcza gdyby trzeba by-

ło bronić Brampton Percy. Gdy tylko Herbert pozbiera się po Highnam i przegrupuje wojska albo gdy rojaliści pod księciem Rupertem przemieszczą się na zachód, znajdziecie się w niebezpieczeństwie, a obu twierdz nie utrzymamy.

- Musimy więc dokonać wyboru. - Mansell oparł ręce na murze i wbił wzrok w odległe miejsce po stronie, z której należało się spodziewać wroga.

- Brampton Percy albo Wigmore.

- Właściwie nie ma wyboru, prawda? Wigmore jest jeszcze bardziej średniowieczne i stanowczo za małe jak na nasze potrzeby, mimo swojego korzystnego usytuowania. Musimy wybrać Brampton Percy, gdzie można dać schronienie tym, którzy będą go potrzebować. Poza tym mury są tam dużo potężniejsze, co ma znaczenie, w razie gdyby rojaliści chcieli wykorzystać działa.

- O czym właściwie mówicie? - Honoria przysłuchiwała się rozmowie, ale nie do końca ją rozumiała. Popatrzyła na męża.

- Powiedz mi, że myślę się co do twoich zamiarów.

Mansell wymienił spojrzenia z Priamem.

- Proponuję, żebyśmy rozebrali te umocnienia. Rojaliści i tak odbiorą nam ten zamek, ale jeśli uszkodzimy mury i zburzymy barbakan, nie będą mogli go użyć jako twierdzy przeciwko oddziałom parlamentu. I przeciwko nam. Wigmore przestanie przedstawiać dla nich wartość. Chyba że byliby przygotowani do odbudowy zamku, ale to raczej nieprawdopodobne.

- Zniszczyć własny zamek? Zrównać go z ziemią? - spytała strwożona Honoria.

-Tak.

- Niszczenie twierdzy, znajdującej się w naszym władaniu, chyba nie ma sensu. Skąd wiadomo, że nie uda nam się jej utrzymać? Skąd pewność, że rojaliści nas zaatakują? A jeśli tak, to czy nie użyją wszystkich swoich środków przeciwko Brampton Percy, całkiem pomijając Wigmore?

- Wigmore to najbardziej wysunięta placówka. - Yatton zdecydował się wygłosić swoją opinię jako przeciwwagę dla emocjonalnego sprzeciwu lady Mansell. Mimo współczucia i szacunku dla pani wypowiedział się bez wahania. - Atak jest pewny, bo rojaliści będą chcieli zdobyć kontrolę nad doliną i nad drogą północ-południe. Nie mamy dość ludzi, milady. Jeśli wrogowie nadejdą z artylerią, nie starczy nam sił, by ich powstrzymać. Wkrótce zmuszą nas do poddania się. Poza tym zapasy wody są tutaj skąpe.

-Ale...

- Jeśli parlament ma wygrać tę wojnę, musi pokonać rojalistów na tych terenach, gdzie dysponuje największymi siłami. W takich hrabstwach jak Herefordshire. - Mansell celowo unikał okazywania emocji. Rozumiał, że planowane zniszczenie budzi protest Honorii. Który z właścicieli ziemskich nie sprzeciwiłby się takiemu rozwiązaniu? - Nie wolno nam oddać im zamku, którego będą mogli potem użyć przeciwko nam i przeciwko prawowitym władzom tego kraju.

- Dlaczego nie poczekać z tym, aż zagrożenie stanie się realne?

- Ono jest realne. Sama o tym wiesz. Słyszałaś groźby markiza Hertford u naszych bram. - Musiał ją skłonić, by spojrzała prawdzie w oczy. - Zaczniemy jutro. Przywieźliśmy wozami proch.

Honorio zrozumiała, że nie ma odwołania. On już podjął decyzję. Zerknęła jeszcze na kapitana Daviesa z nadzieją, że tam znajdzie wsparcie. Na próżno.

- Lord Mansell ma rację.

- Nie chce mi się wierzyć, że moglibyście to zrobić. - Nie mogła tak zostawić tej kwestii. Nie dalej jak tego ranka odkryła piękno tego miejsca, a już nazajutrz miała zobaczyć, jak obraca się w ruinę.

- Honorio, nie mamy wyboru. Zresztą nie będzie tak źle, jak ci się zdaje. Pokażę ci... - Chciał ją wziąć za rękę, ale się cofnęła.

- Nie rozumiem, po co mnie tutaj przywiozłeś. Mam oglądać niszczenie twojego dziedzictwa? W dodatku decyzję podjąłeś już wcześniej.

- Miałem nadzieję pokazać ci jej sens.

-Nie.

Odwróciła się od niego i zeszła z murów.

Niedługo po wschodzie słońca Honorię zbudziły głośnie, regularnie powtarzane metaliczne dźwięki. Usiadła na łożu, w którym spędziła noc, i zrozumiała, że rozpoczęto pracę: niszczenie murów Wigmore.

Francisca nie widziała od chwili ich burzliwego starcia, jeśli nie Uczyć spotkania przy kolacji w towarzystwie innych osób. O jego zamiarach już nie rozmawiali, nie umiała się jednak powstrzymać przed zadaniem mu ostatniego ciosu, gdy rozstawali się po posiłku.

- Uprzedź mnie, milordzie, kiedy będziesz chciał przenieść moje rzeczy na dziedziniec. Będzie ci wtedy wygod-



niej rozbierać całą budowlę. Może zresztą od razu wróć do Brampton Percy, naturalnie jeśli możesz przydzielić mi eskortę.

Teraz wstawał nowy dzień, a Honorię ogarnęły wyrzuty sumienia. Przez noc emocje ostygły, powoli zaczynała się godzić z siłą argumentów Francisa. Jakie znaczenie miała jedna budowla wobec pokoju i bezpieczeństwa całego kraju? I dlaczego właściwie zamek, w którym znalazła się pierwszy raz w życiu, tak wiele miałby dla niej znaczyć? Może jednak należało przyznać słusność mężowi?

Gdzie jednak Francis spędził noc? Nie w jej łóżu, to pewne. Za nic nie wolno jej było okazać Francisowi, że ma to dla niej znaczenie. Wstała z łóżka, szybko się ubrała i wyszła na dziedziniec. Nie zobaczyła tam nikogo, więc wspięła się na barbakan. Z tego punktu obserwacyjnego mogła dobrze zorientować się w sytuacji. U podstawy wyjątkowo grubych i mocnych wież podłożono ładunek próbny, aby sprawdzić siłę spojeń. Honoria widziała ze swojego stanowiska, jak mężczyźni odchodzą w pośpiechu, by na sygnał się skryć. Niewielka eksplozja zakłóciła ciszę poranka. Spłoszone gołębie wyfrunęły z gołębnika, a gawrony zaczęły krążyć nad zamkiem, przeraźliwie krząc. Pierwsze wysadzone w powietrze kamienie zamku Wigmore opadły na ziemię w pyle zaprawy.

Po chwili Honoria dostrzegła Francisa. Badał skutki wybuchu. Nagle usłyszała kroki. Zaraz potem stanął przy niej kapitan Davies.

- Zalażłam mu za skórę, prawda, kapitanie?
- Owszem.

- Dziękuję za szczerą odpowiedź. Proszę mnie nie oszczędzać. - Honorii nieco ulżyło, zdobyła się nawet na uśmiech. Przy kapitanie Dayiesie czuła się całkiem swobodnie i ufała jego szczeroci. Czasami miała wrażenie, że kapitan traktuje ją jak ojciec ulubioną córkę; stał się dla niej kimś, na czyje bezwarunkowe wsparcie można liczyć.

- Nie chcesz chyba, milady, żebym potwierdzał słuszność jego sądu? - Zabrzmiało to szorstko, lecz nie jak wyrzut.

- Nie. Domyślam się, że zrobiłby pan to samo, kapitanie.

- Naturalnie, bez wahania. Wigmore daje kontrolę nad drogą między Hereford a Ludlow. Nie możemy dopuścić do tego, by zamek wpadł w ręce nieprzyjaciela.

- Ale żeby niszczyć to wszystko... - Zwróciła się ku Priamowi z nadzieją na słowa pocieszenia.

- Nie wszystko, tylko umocnienia, mury i otoczenie warowni. - Na jego ogorzałej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. - Kiedy to się skończy, będziesz mogła, milady, ponownie zająć Wigmore i wciąż będzie można tu mieszkać, nawet wygodniej niż wcześniej. Powiększy się część mieszkalną, w dawnej fosie urządzi ogrody, a po resztkach murów będzie można spacerować. Powstanie siedziba godna de Bramptonów, jeśli tylko sobie tego zażyczysz.

- Myślałam, że i to chce zniszczyć. - Wskazała ręką malownicze zabudowania mieszkalne.

- Nie, o tym w ogóle nie myślał. Dokładnie wszystko zaplanowaliśmy w nocy. Długo to trwało, a z samego rana rozpoczęła się rozbiórka. Nie mieliśmy nawet czasu na sen.

Wyjaśniło się więc, gdzie Francis spędził noc.

- Niczego mi nie powiedział.

- Nie dałaś mu szansy, moja droga.

Honorina wbiła wzrok w dłoń, lecz po chwili ponownie spojrzała Priamowi w oczy.

-No tak, rzeczywiście. Powinam się z nim pogodzić, prawda?

- Naturalnie. - Roześmiał się, widząc zakłopotanie malujące się na jej twarzy. - On potrzebuje twojego wsparcia.

- Wątpię - odparła.

- Nie masz w co wątpić, dziecko. On się do ciebie nie zwróci, bo to nie leży w jego charakterze. Jako młodszy syn, nauczył się samodzielnie budować swoje życie, gromadzić pieniądze i dbać o nazwisko. To mu zostało, ale twojego wsparcia potrzebuje.

- Pan dobrze zna jego rodzinę, prawda, kapitanie?

- Tak, od wielu lat.

-I Katherine też pan znał? - Nie mogła się pohamować, chociaż wiedziała, że zgłębianie tego tematu może okazać się dla niej bolesne.

- Znałem. Jej rodzinny majątek graniczył z majątkiem Bramptonów w Suffolk.

- Była piękna.

- Bardzo. Było wiadomo, że się pobiorą.

- On, to znaczy Francis, musiał ją bardzo kochać.

- Tak. Przykro mi, moja droga.

- Przyjemnie mi wiedzieć, że miał kogoś, kogo bardzo kochał. Ja nigdy... - Urwała.

- I ty możesz mieć, Honorio, z czasem...

- Nie. Ja zresztą wcale tego nie oczekuję. Małżeństwo zawarliśmy z rozsądku. Mnie to nie przeszkadza.

- Jesteś piękną kobietą, każdy mężczyzna chciałby cię za żonę. Wiem, że również Francis docenia twoje zalety.

- Naturalnie. Jest dla mnie bardzo życzliwy. I tak jak pan mówi, kapitanie, muszę zawrzeć z nim pokój.

Francis dostrzegł żonę, gdy przedzierała się przez rumowisko. Po co, u diabła, przywiózł ją tutaj, w ten krajobraz zniszczenia? Odpowiedź nasuwała się sama - pragnął jej towarzystwa. Zajrzał do komnaty Honorii rankiem, gdy wreszcie wszystkie decyzje zostały podjęte. Miał nadzieję doprowadzić do zgody, jednak nie miał serca jej zbudzić.

Niedaleki wybuch przywrócił go do rzeczywistości. Wyłom w murze przy wartowni stopniowo się poszerzał, ludzie powiększali go łomami i szpadlami.

-Milordzie...

Odwrócił się w stronę, z której doszedł go głos.

- Przyszłam powiedzieć...

Słowa Honorii zagłuszył kolejny huk eksplozji. Spory kamień uderzył ją w ramię, drobniejsze wpadły we włosy. Francis zareagował odruchowo. Szarpnął ją za rękę, przejęty lękiem o jej bezpieczeństwo. Przez to jego słowa zabrzmiały znacznie bardziej szorstko, niżby chciał.

- To nie miejsce dla ciebie, pani.

- Ale chciałam powiedzieć...

- Później. Wracaj do swoich apartamentów.

Pchnął ją w stronę domu i nawet nie poczekał, żeby sprawdzić, czy go usłuchała.

Honorcia była bliska rozpacz. Francis jej tu nie chciał. Usta

miała pełne pyłu, a po policzkach płynęły jej łzy. Nie zdołała ich powstrzymać.

Pod koniec długiego dnia lord Mansell dał znak ludziom, że czas odłożyć narzędzia. Ze strumienia powyżej doprowadzono pod zamek wodę kamiennymi rynnami. Przyłączywszy się do żołnierzy, obmył ciało i włosy z pyłu, mimo że woda okazała się lodowata. Przeciągnął się, poruszył obolałymi ramionami i polecił Yattonowi wytoczyć dla zmęczonych ludzi beczkę piwa. Kusilo go, by zostać, ale i tak musiał stanąć twarzą w twarz z żoną. Wziął z ziemi koszulę, zbyt brudną, by ponownie ją włożyć, i poszedł się przebrać.

Zmierzch zapadał bardzo szybko i w zamku było mroczno, Francis jednak postanowił nie tracić czasu na szukanie świcy. Po ciemku wspiał się piętro wyżej i otworzył drzwi, za którymi spodziewał się zastać żonę.

Honorcia wstrzymała oddech. Nie mogła oderwać oczu od męża. Zapragnęła wsunąć mu palce we włosy, wciąż wilgotne, opadające na obnażone, muskularne ramiona.

Francis również wpatrywał się w żonę. Stała na tle okna, więc znikające za horyzontem słońce obrysowało jej postać złocistą aureolą. Twarzy nie widział wyraźnie, lecz chyba nie malowała się na niej wrogość. Bardzo chciał w tej chwili przytulić się do Honorii, znaleźć ukojenie w jej ramionach. Jednak powiedział:

- Przyszedłem po koszulę. Czemu tu jest tak zimno? - Odwrócił się w stronę źródła przeciągu. - Co...?

- Kazałam wymontować okna - wyjaśniła spokojnie Honorcia. - Są bardzo dobrej jakości, z witrażami.

Odebrało mu mowę.

- Nerozważnie byłoby je zostawić. Ktoś mógłby je zniszczyć albo ukraść.

- Szkło, naturalnie! - O tym nie pomyślał.

- Zabierzemy je do Brampton Percy. Kazałam wszystkie zapakować i załadować na wóz. Po wojnie będzie można z powrotem je wprawić.

- Oczywiście.

- Ufam, że nie masz nic przeciwko temu.

- Nie, skądże. - Tego się nie spodziewał. Co się stało z tego zagniewaną żoną? Wyjął ze skrzyni koszulę i zawrócił ku drzwiom. - Muszę...

- Muszę z tobą porozmawiać, milordzie.

-Priam chce...

- Francis! - Stanowczy ton Honorii zmusił go do zatrzymania się. - Chciałam tylko powiedzieć, że przepraszam za tę niepotrzebną wczorajszą krytykę. Nie patrz na mnie wilkiem.

- Nie wiedziałem, że tak patrzę.

- Owszem, właśnie tak. Pozwól się przeprosić, Francis. Zrozumiałam swój błąd.

Poczuł, że towarzyszące mu przez cały dzień napięcie ustępuje.

- Prace już się rozpoczęły.

Honorcia podeszła do męża z poważną miną.

- Wtedy nie wiedziałam, dlaczego tak zareagowałam. Miałam jednak czas pomyśleć, i teraz już wiem. Tutaj nie straszysz ducha Edwarda. - Słowa płynęły coraz bardziej gorączkowo. - Poczułam się, jakby zdjęto mi z ramion wielki ciężar, jakbym

wreszcie mogła bez przeszkód oddychać. Och, nie umiem tego dobrze wyjaśnić.

Francisa poruszyła szczerość żony.

- Powinienem był o tym pomyśleć.

Zaczęła ostrożnie przesuwac koniuszkami palców po zadrapaniach i skaleczeniach na jego przedramionach. Wreszcie ujęła jego dłonie.

- Jesteś ranny.

- Trochę się pokaleczyłem, kiedy wszedłem w drogę walącej się ścianie.

- I jesteś smutny.

- Nie czuję się z tym wszystkim dobrze. Jeden z wieśniaków, którzy przyszli zobaczyć, co się dzieje, oskarżył mnie o tchórzostwo, nazwał to, co robię, plamą na honorze rodziny. Twierdził, że powinienem bronić zamku tak, jak robiliby to moi dziadowie. - Gorzko się uśmiechnął. - I tak jak robiłaś to ty.

- Nie. To wcale nie jest tchórzostwo.

- Nieważne. - Wzruszył ramionami. - Bóg mi świadkiem, że nie widzę innego sposobu.

- Tchórzostwem byłoby nie dopuścić do siebie myśli o istnieniu problemu, póki jest na to czas. W ten sposób na pewno ocalisz niejedno ludzkie życie, a wsi na nic nie narazisz.

Podczas tej rozmowy Honoria zaprowadziła go do ławy przy kominku i lekko pchnęła, by usiadł, a potem wyjęła mu z ręki świeżą koszulę. Francis rozprostował nogi i jęknął, nagle poczuł bowiem, jaki jest obolały. Wypił kielich wina, podany mu przez Honorę.

- Minie co najmniej tydzień, może nawet dwa, zanim skoń-

czymy. Tego, co poprzedni panowie zamku mozolnie budowali, nie da się rozebrać w okamgnieniu.

- Chcesz coś zjeść?

Pokręcił głową przecząco.

- Spać?

- Nie. Jestem zmęczony, ale wątpię, czy mógłbym zasnąć.

- zaproponowałabym ci muzykę, ale tu nie ma żadnego instrumentu. - Usiadła obok niego.

- Lutnia? Klawesyn? - Gdy się do niej uśmiechał, oczy lśniły mu srebrzystym blaskiem.

- Wszystko jedno. Gram na obu.

- Zapomniałem, że odebrałaś przykładne wychowanie.

Pochylił się i musnął jej wargi. To było takie łatwe. Zdu miało go, że jego zmęczone ciało natychmiast się ożywiło. Spojrzał na łożo, skryte za skromnymi zasłonami.

- Sądzisz, że Edward tutaj spał?

- To możliwe, ale nie ze mną.

Uświadomił sobie nagle, jak bardzo się odprężył dzięki Honorii. Czy ona wiedziała, co robi? Pewnie tak.

- Może powinniśmy skorzystać z okazji. - Zerknął na nią pytająco. Nie zauważył, by jego pomysł wzbudził sprzeciw, więc jeszcze raz pocałował Honorię.

Wciąż drżała, gdy Francis jej dotykał, i odwracała twarz, kiedy patrzył na jej nagie ciało, ale już nie paraliżował jej obezwładniający lęk. Nie było nic złego w tym, że Francis rozwiązuje troczki stanika jej sukni ani że pomaga jej uwolnić się z licznych halek. Mogła wsunąć mu dłonie we włosy, cieszyć się dotykiem jego gładkiego, muskularnego ciała. I tylko na chwilę ogarnęła ją panika, kiedy rozwiązał tasiemki jej koszuli



i zsunęło się z niej ostatnie okrycie. Gdy jednak zaraz potem położył się obok niej w łóżu, myślała już tylko o przyjemności, jaką dało jej ich pierwsze intymne spotkanie.

Nie. Edwarda stanowczo w tym łóżu nie było.

Za to był Francis, który zawładnął jej duszą i ciałem.

## Rozdział dziewiąty

Francis pomógł Honorii wsiąść na konia, a potem dopasował popręg i strzemiona z dużą wprawą.

- Pilnuj jej, Priam. - Mansell spojrzał na kapitana spod ściągniętych brwi. - Polegam na tobie, że dowieziesz ją bezpiecznie na miejsce.

- Oczywiście. - Kapitan Davies poprawił się w siodle i gestem rozkazał czterem swoim żołnierzom, by jechali przed nim z dziedzińca do głównej bramy. Wóz z okiennym szkłem Honorii został już wyprowadzony na gościniec. Zaraz mieli go dogonić.

- Dojedziemy jeszcze za dnia. Nie przewiduję żadnych trudności. Jutro wrócę. - Priam ucisnął dłoń lorda Mansella, zasalutował i ruszył za swym małym oddziałem, pozostawiając Francisca sam na sam z Honorią.

- Jak długo? - spytała.

- Tydzień, najwyżej dwa powinny wystarczyć. Musimy zrobić tyle, by twierdza nie dała się utrzymać. Lepiej ci będzie w Brampton, z dala od tego hałasu i kurzu.

- Wołałabym zostać z tobą.

- A ja wołałbym, żebyś była bezpieczna, skoro to miejsce nie może nas dłużej chronić. Rozmawialiśmy już o tym, moja droga.

Istotnie, rozmawiali, kiedy obudził ją tego ranka pocałunkami. Honoria wiedziała, że go nie przekona. I nawet nie próbowała. Przyjęła to, co nieuniknione, wspominając z rozmarzeniem upojne przeżycia, których doświadczyła w ramionach męża.

Zadowolony, że poniechała oporu, poprawił jej płaszcz na ramionach, ściskając ją przy tym za rękę. Uśmiechnął się na widok jej miny. Serce zabiło jej mocniej. Uśmiech dodał ciepła jego oczom, złagodził surowe bruzdy wokół ust, podkreślił urodę męskich rysów. Mimowolnie uniosła rękę, żeby dotknąć blizny na jego czole.

- Niech cię Bóg zachowa - szepnęła.

- Ciebie też. Niedługo wrócę do Brampton Percy. Priam będzie tu jutro z powrotem, nie masz więc powodów do niepokoju.

- Co na to poradzę, że się niepokoję?

- Cieszę się, że trochę się o mnie martwisz.

- Tylko trochę. - Spróbowała zażartować, ale nie bardzo jej się to udało.

Podniósł jej dłoń do ust; bez zastanowienia wychyliła się z siodła i pocałowała go w policzek.

- Do widzenia, milordzie.

Pogładził ją lekko po włosach i policzku, jakby to miało mu pomóc utrwalić w pamięci jej obraz, a potem cofnął się, żeby mogła zawrócić konia i przejechać za Priamem pod uniesioną kratą.

Kiedy skręcali na północ, odwróciła się jeszcze raz i pomachała mu na pożegnanie. Potem już nie oglądała się za siebie, bo nie chciała patrzeć na pożałowania godny stan wspianego niegdyś zamku. Nie widziała więc, że Francis wspiął się na blanki i odprowadzał ją wzrokiem, póki nie zniknęła mu z oczu.

Honorina niechętnie wracała do Brampton Percy, ale musiała przyznać, że powitanie było serdeczne. Natychmiast pojawiła się Morrighan, by ufnie przywrzeć do nóg pani. Za nią przydreptał Setanta, rozszczekany, potykający się o własne łapy. Foxton i pani Morgan nadskakiwali jej, jakby wróciła po wielomiesięcznej, a nie parodniowej nieobecności. Honorie ujęła ich życzliwość. Oderwała się od zabawy ze szczeniakiem, zauważając poruszenie na schodach.

- Mary! Co ty tutaj robisz?

- No proszę! A ja myślałam, że się ucieszysz na mój widok. - Mary podeszła, jak zwykle kipiąca energią, żeby uściskać Honorie. - Wypuścili mnie na trochę. Tak długo dręczyłam ojca, aż w końcu pozwolił, by Josh mnie tu przywiózł, jest w drodze do Knighton, i zostawił na jakiś czas, a tymczasem okazało się, że ciebie nie ma.

Honorina roześmiała się w odpowiedzi na paplaninę Mary.

- Oczywiście, że się cieszę. Również z tego, że czekałaś na mój powrót. - Zaczęły razem wchodzić po schodach, przy każdym kroku uważając, żeby nie nastąpić na rozdokazywanego Setantę.

- Odnowiłaś znajomość z doktorostwem Wright?

- Owszem. Rozmawialiśmy trochę. - Mary zerknęła chytrze na przyjaciółkę. - Liczyłam na to, że zastanę jeszcze innego z twoich gości. Niestety, już wyjechał.

- Kogo?

- Pana Samuela More'a, ma się rozumieć. Jeśli pamiętasz, miałam przyjemność go poznać, kiedy poprzednio gościłam pod twoim dachem. - Mary zrobiła niewinną minkę, która ani na moment nie zwiódła Honorii.

- A więc to tak! A ja myślałam, że przyjechałaś tu dla mnie.

- Oczywiście, że dla ciebie. Po prostu miałam nadzieję lepiej poznać tego młodzieńca. Nie uważasz, że jest bardzo przystojny?

- Chodźmy do komnaty na wieży i porozmawiajmy.

- Z największą przyjemnością. Opowiesz mi o Francisie.

-Może.

- Miałaś okazję poczęstować go jeszcze jedną kulką? - Mary zachichotała, biorąc Honorię pod rękę i prowadząc ją do środka. - Wiedziałam, co robię, przyjeżdżając. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Na Honorię czekały trzy listy.

Usadowiła się wygodnie w komnacie, zadowolona, że wreszcie nie ma wokół siebie grubych warstw kurzu, nalała wina dla siebie i dla Mary, i przystąpiła do czytania.

Lady Scudamore, po uprzejmych zapytaniach o zdrowie Honorii i jej nowego męża, donosiła, że według pogłosek krążących na południu hrabstwa siły stronników parlamentu posuwają się na południowy wschód. Sir William Wal-

ler zamierzał dotrzeć do Gloucester, żeby wzmocnić tam wpływy parlamentu. Lady Scudamore nie potrafiła dokładnie określić, kiedy się go tam spodziewano, ale oddziały już były w drodze. Wśród rojalistów w Hereford wywołało to spory niepokój.

Honorja zrozumiała, że oblężenie Brampton Percy w zaistniałych okolicznościach było mało prawdopodobne. Podała list Mary.

Lady Croft, kobieta o znacznie weselszym usposobieniu, poświęciła dwa akapity na doniesienia o tym kto się narodził i kto umarł w rodzinie, by w końcu przejść do najważniejszego:

„Mój mąż kazał ci powiedzieć, że nasz gubernator Fitzwilliam Coningsby nadal ma zamiar zwrócić się przeciwko tobie w Brampton Percy. Nie podobało mu się, że odmówiłaś lordowi Hertfordowi, a porażka wyszkolonych oddziałów z Radnorshire jeszcze bardziej go rozżłościła. Jest niecierpliwym, próżnym człowiekiem, jak sama wiesz, i nie znosi sprzeciwu. Chyba nie muszę nic dodawać. Mój mąż mówi, że powinnaś na siebie uważać”.

- No tak. Najpierw dostajemy nadzieję... - Honorja podała przyjaciółce drugi list - ... a zaraz potem każą nam znów zamykać bramy. Oby generał Waller dotarł do Gloucester i przygwoździł rojalistów!

- Conningsby tylko się odgraża. - Mary szybko przebiegła wzrokiem drugi list i odłożyła wraz z pierwszym. - Będzie miał aż za dużo na głowie, a mój ojciec nie widzi potrzeby wysyłania oddziałów na północ hrabstwa. Według mnie będziemy mieli trochę wytchnienia.

- W przeciwnym razie będziesz musiała tu zostać na cały czas oblężenia.

Mary podała Honorii trzeci list.

- Może z tego dowiesz się więcej.

- Nie sądzę.

Honorcia umyślnie zostawiła ten list na koniec. Choć nie rozpoznała pisma na kopercie, odgadła, kto jest nadawcą: matka Francisca. Przeczytała go uważnie.

Pierwsze linijki ją uspokoiły. Stara dama może i była zaskoczona, ale ukryła to pod zgrabnie dobranymi, uprzejmymi słowami, którymi witała nową synową. Przyznawała, że zna Denhamów, choć nie pamiętała, by kiedykolwiek poznała Honorię. Miała nadzieję wkrótce ją zobaczyć, może w Londynie, kiedy pozwoli na to sytuacja.

„Z twojego listu wynika, że istniały ważne powody do pośpiesznego zawarcia ślubu. Wprawdzie nie są mi znane okoliczności, droga Honorio, ale jestem zadowolona, że Francis się ożenił. Potrzebuje kogoś bliskiego, żeby nie myśleć tylko o sobie. Modłę się, by wam się razem dobrze układało. Może wystarczy ci cierpliwości dla jego charakteru, coraz bardziej władczego. Zapewne wiesz, że ten rok nie był dla niego łatwy. Każdy z nas inaczej przeżywa śmierć ukochanych osób. Francis odzegnał się od współczucia i pociechy ze strony rodziny. Ufam, że pomożesz mu odzyskać równowagę”.

Honorię zaskoczył osobisty ton uwag teściowej; postanowiła przeczytać list jeszcze raz w zaciszu sypialni. A potem roześmiała się, rzuciwszy okiem na ostatnią stronę. Przewidywania jej męża okazały się bardziej trafne, niż przypuszczał.

„Dochodzą nas słuchy, że jego królewska mość po fiasku bitwy pod Edgehill zamierza znów podjąć inicjatywę. Jego bratanek książę Rupert poleca mu swoje usługi. Zgodnie z planem słynny książę poprowadzi armię na zachód, prawdopodobnie na Bristol, jako że król nie jest pewien lojalności tego wielkiego portowego miasta. Obawiam się, że nie będzie to dla was korzystne w Brampton Percy, jeśli rojaliści będą dysponować przeważającą siłą”.

-Jeśli książę Rupert rzeczywiście pojawi się u naszych bram, będziemy naprawdę zagrożone - zmartwiła się Honoria. - Spodoba ci się postscriptum. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Ned Parrish, którego wysłałam z listem, kiedy jego przydatność tutaj stała się wątpliwa, korzysta z uroków Londynu. Kiedy zaproponowano mu stałą posadę w domu Bramptonów, przyjął ją bez wahania. Lady Brampton twierdzi, że jest zachwycony.

Honoria odwróciła się, by zamknąć kasetkę na dokumenty, w której przechowywano listy; na dnie rozpoznała przesyłkę od pani James, nadal nierozpakowaną, z suszonymi kwiatami i nasionami. Podniosła ją ostrożnie, naciskając na wyrzuczenia koperty. Postanowiła porozmawiać z panią Brierly o tych ziołach, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę.

- Czy ja aby dobrze widzę? To się nie powinno dziać!

Honoria stała na blankach Brampton Percy i patrzyła na horyzont na wschodzie, gdzie główna droga z Hereford krzyżowała się z gościńcem z Ludlow do Radnorshire. Zbliżały się oddziały wojska.



- Przecież powinniśmy być bezpieczni. - Honoria wciąż nie mogła uwierzyć własnym oczom. - Armia Wallera powinna ich zatrzymać w Gloucester. Wiadomości od lady Scudamore były nieprawdziwe.

- Spory oddział, milady - zauważył Foxton.

- Musieli przejeżdżać obok Wigmore. - Honoria spojrzała na Mary oczami rozszerzonymi lękiem. Przebywała w Brampton Percy od trzech dni; przez ten czas rozbiórka Wigmore powinna się znacznie posunąć. - Co się stało z Franciszem i z kapitanem Priamem?

- Wątpię, żeby tracili czas na zdobywanie zamku. - Mary próbowała pocieszyć Honorię. - Przypuszczam, że ty jesteś głównym celem.

- Może zdobyli zamek, trzymają Francisa jako więźnia... - Honoria przycisnęła dłoń do ust, jednocześnie ścisząc głos do szeptu.

Spojrzały jeszcze raz na nadciągające wojska. Nie było wątpliwości, że zanosi się na poważne oblężenie.

- Minie dobrych parę godzin, zanim tu dotrą, panie Foxton. - Honoria za wszelką cenę starała się opanować. Żałowała, że pozwoliła sobie na publiczne okazanie uczuć. - Wykorzystajmy ten czas.

Wieśniacy szukający schronienia zostali wpuszczeni na zamek i rozlokowani wraz z dziećmi i dobytkiem, który zdołali zabrać. Pani Morgan popędzała służbę. Zapasy nie były duże, ale przy oszczędnym gospodarowaniu musiały wystarczyć.

Doktor Wright zaczął przygotowywać skromne zasoby

środków medycznych na wypadek ataku. Prześcieradła zostały podarte na bandażu.

Wielebny Stanley Gower odmówił schronienia się wewnątrz zamku. Postanowił zostać w kościele, uznając, że żaden rojalista nie zaatakuje bożego domu.

W południe Honoria znów była na blankach, wiedząc już, że sierżant Drew rozstawił nieliczny garnizon w strategicznych punktach wokół murów. Nadal trudno jej było uwierzyć w to, co się dzieje, lecz potrzeba działania pomagała stłumić panikę. Przedpole zamku od południa i wschodu roilo się od żołnierzy na koniach, podczas gdy piechota zbliżała się powoli, wciąż rozciągnięta na dużej odległości. Powietrze drżało od stukotu kopyt, wykrzykiwanych rozkazów i ogólnej wrzawy przemieszczającego się wojska.

- Ilu wystali przeciwko nam?

- Dwa lub trzy oddziały konnych i parę setek piechoty - ocenił sierżant Drew, rozejrzawszy się po siłach nieprzyjaciela. - Z pewnością więcej niż pięciuset. Są gotowi zająć zamek, milady.

- Żałuję, że nie ma milorda Mansella.

- Proszę się nie obawiać, milady. Nie wpuścimy ich. Bramptonowie nie stracą Brampton Percy, nawet gdyby sam król tego chciał. Nie widzę ciężkich dział.

Honoria uśmiechnęła się z wdzięcznością za tę próbę podniesienia jej na duchu.

- Co teraz zrobisz? - Mary dołączyła do niej po wyczerpującej godzinie szukania pogubionych w zamieszaniu rzeźcy i dzieci.

- Odmówię im wstępu. Jeśli chcą zamku, będą musieli

nas zagłodzić. - Honoria nagle sobie uświadomiła, że podjęcie tej decyzji wcale nie było trudne. Trochę ją to uspokoiło. Jeśli... kiedy Francis wróci, zamek nie będzie w rękach rojalistów.

Przed pierwszą oddziały dotarły na miejsce, jeźdźcy zsiadli z koni, żołnierze piechoty stali w pozycji na spoczynku. Widok byłby zaiste imponujący, gdyby nie groza sytuacji. Honoria nigdy wcześniej nie widziała armii w gotowości bojowej; sztandary powiewały na wietrze, konie przebierały nogami, gryząc wędzidła, słońce odbijało się w zbrojach.

Przed zwodzonym mostem stanęła niewielka grupa jeźdźców. Oficjalne poselstwo.

- To nie jest sir William Croft.

- Nie. Ani lord Herbert, ani markiz Hertford. Widzę tarczę herbową Scudamore'ów i jest tam Henry Lingen. Ale kto nimi dowodzi?

Mary pokręciła głową.

- Znasz elitę Herefordshire lepiej niż ja.

Tak jak poprzednio, trębacz w asyście herolda, jeden i drugi odziany w liberię, wysunęli się na czoło grupy. Herold rozwinął zwój pergaminu, przy akompaniamencie głośniego, przenikliwego dźwięku trąbki. Honoria wysłuchiwała słów odczytanych głosem tak donośnym, że bez trudu dotarł na mury.

Poproszono lady Mansell, aby pod nieobecność męża oddała zamek Brampton Percy w ręce namiestnika Hereford, występującego w imieniu jego królewskiej mości Karola I.

- Panie Drew - Honoria zwróciła się sierzanta - ma pan donośny głos. Zechce pan im odpowiedzieć w moim imieniu?

- Tak, milady. Co mam powiedzieć?

- Lady Mansell odmawia poddania zamku.

- Tylko tyle, milady?

- Owszem, tylko tyle.

Drew wychylił się przez mur. Odpowiedź zabrzmiała głośno i wyraźnie.

Grupa na dole odbyła krótką naradę. Herold jeszcze raz wystąpił naprzód, żeby ogłosić jej wynik.

- Lord Vavasour, królewski dowódca, domaga się widzenia z lady Mansell.

- Odpowiedz, że chętnie się spotkam z jego lordowską mością, ale nie otworzę bramy ani jemu, ani nikomu innemu - poleciła Honoria sierzantowi.

- Lord Vavasour uważa, że nie przystoi, by pertraktacje odbywały się w taki sposób - brzmiała odpowiedź.

- Powiedz mu, że się z nim zgadzam. Jednak bram nie otworzę.

Sierzant Drew, nie kryjąc zadowolenia, przekazał, co mu kazano.

Na dole zapanowała konsternacja.

- Jak sądzisz, milady, co teraz zrobią?

- Nie wydaje mi się... Spójrzcie. - Foxtton wskazał na podnóże muru.

- Sznurowa drabina? - Honoria roześmiała się trochę histerycznie, zaskoczona rozwojem wypadków.

- Czyżby lord Vavasour zamierzał wspinać się na mury? -

Mary wychyliła się ostrożnie, żeby zobaczyć więcej. - Wątpię, żeby dał radę przy swojej figurze i wieku.

- Kto zatem będzie koźłem ofiarnym? Widzisz ze swojego miejsca?

Mary zaprzeczyła ruchem głowy. Wyciągniętą z jednego z wozów bagażowych drabinę rozłożono na ziemi.

- Pozwolimy na to, milady? - W oczach Foxtona zabłyśły iskierki humoru.

- Chyba tak. Zechce pan być tak uprzejmy i opuścić liny, sierżancie Drew, żeby mogli zaczepić drabinę, to ją wciągniemy.

Po niedługiej chwili sznurowa drabina, mocno zaczepiona o blanki, zwisała na murze, sięgając do ziemi. Na dole tymczasem trwało wybieranie kandydata do wspinaczki.

John, wicehrabia Scudamore, zsiadł z konia, zrzucił płaszcz i kapelusz z eleganckim piórem," odpiął szpadę i zbliżył się do muru. Z daleka trudno było dostrzec wyraz jego twarzy, ale niepewne ruchy ciała mówiły same za siebie.

- Biedak - mruknęła współczująco Honorii. - W dodatku wszystkie jego wysiłki pójdą na marne.

Wejście po drabinie nie przekraczało możliwości młodego i zręcznego wicehrabiego, lecz wymagało sporo wysiłku, nic więc dziwnego, że padł zdyszany u stóp Honorii. Zaraz jednak pozbierał się na nogi, otrzepał ubranie z kurzu, wygładził koronkę przy mankietach i skłonił się z fantazją.

- Lady Mansell. Panno Hopton. Rozumiem, że nie jestem tu mile widziany.

- Sir Johnie, witamy - odpowiedziała Honorii z grzecznym dygnięciem. - Nie spodziewałam się, że nas dziś odwiedzisz.

Przynajmniej nie tą drogą. Mam nadzieję, że nic ci się nie stało?

Wicehrabia Scudamore, długoletni przyjaciel i krewny rodziny Bramptonów, roześmiał się głośno.

- Miewałem się już lepiej. Najbardziej ucierpiała moja godność. A wszystko przez ciebie, milady, bo postawiłaś mnie w niefortunnym położeniu. - Skrzywił się, prostując ramiona. - Jako najmłodszy i najsprawniejszy, wyciągnąłem najkrótszą słomkę. Czy mogę prosić o kufel piwa, który by mi osłodził trudy tej eskapady? A potem - dodał już poważnie - musimy omówić mniej przyjemne aspekty mojej wizyty.

- Ta rozmowa niczego nie zmieni, prawda? - Z kuflem w dłoni, nad półmiskiem z chlebem i serem, lord John przyglądał się lady Mansell.

- Nie zmieni.

- Tak właśnie myślałem. Jednak Vavasour lubi się sztywno trzymać protokołu i uparł się, że musisz wiedzieć, co ci grozi, zanim odpowiesz na oficjalne wezwanie, pani.

- Sir William Croft i markiz Hertford już wykonali to zadanie. - Honoria nachyliła się, by dopełnić kufel gościa. - Jeśli poddam zamek, ja i wszyscy tu zgromadzeni możemy go opuścić, nie ponosząc żadnej szkody ani kary. Jeśli natomiast nie poddam zamku, to jako zdrajczynie zostaną surowo ukarane. Czyż nie o to chodzi?

- Dokładnie o to. I jak brzmi twoja odpowiedź?

-Nie.

- Mam coś jeszcze przekazać jego lordowskiej mości?

- Nie poddam zamku. Będę go bronić w imieniu męża pod jego nieobecność. Czyniąc to, nie zdradzam ani króla, ani kraju. Wystarczy?

- Jesteś dzielną kobietą, Honorio. - Scudamore uniósł kufel w geście toastu.

- Obawiam się, że nie, ale nie mam wyboru. Nie mogę zawieść męża.

- Nie możesz. - Sir John dopił piwo i przyjrzał się z uwagą lady Mansell. - Zdajesz sobie sprawę, że to może przemawiać na twoją korzyść, pani?

- Co?

- To, że jako przedstawicielka pięknej i uważanej za słabą płci podejmujesz się obrony zamku pod nieobecność męża. Nie będą chcieli zbyt mocno napierać. To kwestia rycerskiej godności.

- Być może. Jeśli tak, to muszę zagrać tą kartą najlepiej, jak się da.

- Muszę jednak przyznać, że nie wiem, jak długo potrwa ta pobłażliwość. - Groźba zabrzmiała wyraźnie mimo współczującego tonu Scudamore'a.

- Niech i tak będzie. Cenię sobie twoją radę, milordzie, ale nasza rozmowa chyba dobiegła końca.

- Przekażę twoją odpowiedź, pani. Dzięki za posiłek i piwo. Czy mogę powiedzieć, nie dopuszczając się zdrady, że ubolewam nad zaistniałą sytuacją? Gdyby to ode mnie zależało, nigdy bym nie dopuścił do rozdźwięku między naszymi rodzinami.

- Ani ja. - Honorio odprowadziła go na blanki. Spojrzała z góry na oczekujących jego powrotu zwierzchników. Konie

parskały, zniecierpliwione wymuszoną beczynnością. - Nie spodoba im się to, co usłyszą.

-I ja nie sądzę, żeby im się spodobało. Ale mnie też się nie podoba, że oddziały najeźdźców obozują w moim parku i ogrodzie.

Scudamore skłonił się zamasyście i ucałował dłoń Honorii.

- Budzisz, pani, mój najwyższy podziw. Przekażę twoje słowa lordowi Vavasourowi jak najpilniej. - Pochwycił linę i zaczął opuszczać się po murze do pierwszego stopnia drabiny.

- Zanim odejdiesz, milordzie... - Honoria wychyliła się przez mur.

Scudamore zawisł na moment nieruchomo, patrząc na nią spod uniesionych brwi

- Powiedz jego lordowskiej mości, że zatrzymamy drabinę. Nie życzę sobie, żeby nas zaskoczono.

Odpowiedział uśmiechem i zniknął jej z oczu.

Stojąc na częściowo rozebranych murach zamku Wigmore, Francis z Priamem obserwowali, jak oblężnicze wojska ciągną na północ. Mary miała rację. Nie marnowali czasu i sił na zdobywanie Wigmore. Ich celem był Brampton Percy.

- Będzie tam bezpieczna. - Priam nie musiał patrzeć na kuzyna, by wiedzieć, co go trapi, co każe mu niespokojnie chodzić tam i z powrotem. - Na sierżancie Drew można polegać.

- Muszę tam wrócić. Nie mogę pozwolić, by sama stawiała czoło zagrożeniu.

- Niewiele możesz zrobić, chłopcze. Nie martw się, nic jej nie będzie.



- Moim obowiązkiem jest tam pojechać.  
- Oczywiście. Obowiązek rzecz święta. - Priam skrył uśmiech. Podejrzewał, że nie tylko poczucie obowiązku ciągnęło Francisa do żony.

Musiał wrócić do Brampton Percy.

Wojska rojalistów rozpoczęły oblężenie zamku. Oddziały zostały rozlokowane, konie zaopatrzone w wodę i obrok, dla żołnierzy rozbito namioty. Piękne buki z parku porąbano na opał. Lord Vavasour i jego oficerowie zamieszkali w zajęzdzie i opuszczonych pośpiesznie przez wieśniaków domach.

Mieszkańcy Brampton Percy, chronieni przez grube mury zamku, czekali na rozwój wydarzeń.

- Myślałam, że od razu zaatakują, użyją dział do skruszenia murów albo będą próbowali wdrzeć się górą, przy użyciu drabin. - Honoria codziennie z blanków obserwowała życie toczące się w obozie. - Nie spodziewałam się, że będziemy siedzieć i czekać. Miną całe miesiące, nim dokuczy nam głód, oni muszą o tym wiedzieć.

- Wcześniej możemy umrzeć z nudów - orzekła Mary.

Podkomendni sierżanta Drew regularnie patrolowali mury.

Krata pozostawała opuszczona, a brama zamknięta na cztery spusty. Nikt nie mógł wejść ani wyjść. Wieśniacy, z konieczności uwięzieni w zamku, niepokoiili się o domostwa. Znudzone dzieci biegały i dokazywały, płacząc się dorosłym pod nogami.

- Jak długo jesteśmy w stanie ich wszystkich żywić, pani Morgan?

- Pani Brierly mówi, że mąka wkrótce się skończy. Mamy

ziarno. Będziemy je mieć ręcznie. Praca ciężka, ale rezultat ten sam.

- Skoro trzeba... Pani Morgan, proszę robić, co tylko możliwe. Módlmy się, żeby to nie trwało długo.

Po czterech dniach Honoria miała nerwy napięte jak postronki.

- Ani przez chwilę nie sądziłam, że wojna może tak wyglądać - powiedziała, odpoczywając w komnacie na wieży; już nie pamiętała, kiedy ostatni raz jej się to zdarzyło.

- Okazuje się, że lord Scudamore miał rację. - Foxton odnalazł milady i zaniepokoił się jej bledością. Próbował dodać jej otuchy. - Zwlekają z otwartym atakiem na kobietę, bo tak naprawdę nie chcą ci, pani, wyrządzić krzywdy. Nie wiedzieliby, co z tobą zrobić, gdyby im się powiodło. Darzą cię wielkim szacunkiem.

- Sprowadzili działa.. - Honoria zabębniła nerwowo palcami o poręcz krzesła.

- Owszem, milady, ale ich nie używają. Gdyby milord tu był, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Już dawno by się zaczął ostrzał murów.

- Zatem to dobrze, że go nie ma?

Nie miała od Francisa żadnych wiadomości. Gdyby wiedziała, że jest bezpieczny, że wróci do niej z Wigmore cały i zdrowy... Jedno było pewne: musi za wszelką cenę utrzymać zamek.

Dołączyła do nich Mary.

- Sierżant Drew kazał ci powiedzieć, że nie mamy już krów

i owiec, które były w zagrodzie w parku - poinformowała Honorię.

- Chcesz powiedzieć, że rojaliście je sobie pożyczyli!

- Podoba mi się słowo „pożyczyli”. Prawdopodobnie już zostały upieczone.

- Można było tego się spodziewać. Nie mieliśmy dość miejsca, żeby je trzymać w obrębie murów. Mam nadzieję, że Vavasour udławi się tym mięsem - dodała z niespotykaną u niej złośliwością. - Jakie mają prawo do tego, by kraść moją własność?

-I...

-Tak?

- Twój park nie zaprezentuje już pięknych widoków tym, którzy chcieliby po nim spacerować.

- Pójdę zobaczyć. - Mimo zmęczenia Honorcia poderwała się na nogi.

Stojąc na blankach, odkryła, że w parku trwają prace ziemne; budowano okopy. Tam, gdzie dawniej rozciągały się wypielęgnowane trawniki i alejki, leżały naprędce usypane sterty rdzawej ziemi.

- Park wygląda jak po inwazji milionowej armii kretów - odezwała się Mary, która stanęła obok Honorii.

- Park był jedyną częścią tej posiadłości, którą naprawdę lubiłam - wyznała cicho Honorcia. - Przyjemnie było wędrować alejkami i rozmyślać. Widzę, że drzewa zamieniają się w polana na opał. - Odwróciła się, żeby nie patrzeć na obraz zniszczenia. - Francis będzie musiał pogodzić się z tym, że wprawdzie broniłam zamku w jego imieniu, ale tereny wokół są nie do uratowania. Nic na to nie poradzę, niezależnie od moich sympatii politycznych.

Mary nie do końca zrozumiała ostatnią uwagę, ale Honoria nie miała zamiaru niczego jej wyjaśniać.

- Jest tu Sollers i chce się z tobą widzieć, milady. Nie ma wiadomości od milorda, ale są inne wieści - powiadomił Foxtan.

Koniuszy Mansella, zarządzający stajniami w Brampton Percy, miał z sobą przykryty wiklinowy koszyk. Postawił go u stóp Honorii i zadowolony z siebie z uśmiechem uniósł przykrywkę.

- Jestem pewien, że to się przyda, milady.

Honoria zobaczyła błyszczące pióra bażanta i przepiórki oraz zajęcze futro.

- Dziczyna - ucieszyła się. - Skąd ją masz? Myślałam, że łowczemu zakazano dalszych polowań pod groźbą aresztowania. Jak ją przemyciłeś przez posterunki straży?

-Wszystko można przesznuć, zachowując ostrożność. W północnej ścianie jest furka, prawie całkiem zarosnięta krzewami jeżyn. Hedges ją dobrze zna.

-Nie wiedziałam o niej. A straż rojalistów?

Sollers prychnął z pogardą.

- Nie bardzo przykładają się do obowiązków, a ich dowódcy przesiadują w gospodzie. Ciemną nocą, kiedy pojedzą i popiją, nietrudno się przekraść do furki.

- Zdecydowanie wolę, żebyśmy my to zjedli niż jego lordowskie moście. Ostatnio i tak za dobrze się żywią naszym kosztem.

-Racja. Mam też ciekawą nowinę, milady. Parlamentarzyści pod wodzą sir Williama Breretona odnieśli zwycię-

stwo w Gloucestershire. Waller szybko posuwa się w kierunku Gloucester, tak przynajmniej mówią.

- Waller! Gdzie on jest? Hedges nie mówił?

- Mówił, że w Gloucestershire, milady. Według niego część wojsk rojalistów już zaczęła się wycofywać na południe. Widziano oddziały piechoty zmierzające w stronę Adforton.

- Milady, coś się dzieje w parku. - Sierżant Drew znalazł Honorię w wielkiej sali. Uderzył kapeluszem o udo, strzeżując krople deszczu. Biegł całą drogę z zachodniego barbakanu.

- Niech pan odsapnie, sierżancie. Czyżby zamierzali w końcu użyć dział? Nie, oczywiście, że tego nie zrobią. - Honoria pokręciła głową nad własną głupotą. Było ciemno i padał deszcz, pora nie nadawała się do prowadzenia ostrzału.

- Nie jestem pewien. Coś się dzieje po zachodniej stronie. Jest za ciemno, żeby dokładnie widzieć, ale są jakieś ruchy za okopami, które usypali. Wydaje mi się, że mają tam konie.

Nie tracąc czasu na zastanowienie, Honoria porwała płaszcz i pobiegła na zachodnią część muru. Wyrzała ostrożnie zza blanka.

- Nic nie widzę.

- Tam - szepnął Drew, wskazując we właściwym kierunku.

- Przy narożniku muru.

- Co teraz zrobimy, milady? - Aż podskoczyła, słysząc głos zarządcy niemal tuż przy uchu. Foxton wyłonił się z cienia.

- Obserwujcie uważnie na wypadek, gdyby chcieli podko-

pać się pod murami. Może będziemy musieli zaryzykować wypad, żeby ich powstrzymać, ale do tego czasu...

- A jeśli to lord Mansell powrócił i nie może dostać się do zamku?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- A jeśli to podstęp, żeby nas skłonić do otwarcia bramy?  
- podsunął trzeźwo sierżant Drew. - Udają atak, my wychodzimy, żeby ich powstrzymać, i wtedy wdzierają się do środka. Nie możemy ryzykować.

W ciemności nagle rozbłysła lampa. Natychmiast zgasła, po czym rozbłysła jeszcze raz.

- Czy to jakiś sygnał? A jeśli tak, co może oznaczać? - zastanawiał się głośno Foxtan.

- Lord Mansell wie o ukrytej furtce - stwierdził Drew. - Zadbał o to, żeby poznać każdy zakamarek w zamku, kiedy tu przybył po raz pierwszy. Gdyby chodziło o mnie, przekradłbym się do północnej strony, gdzie drzewa rosną bliżej muru, i liczyłbym na to, że w taką noc rojalistom nie chce się moknąć na warcie. Staralbym się trzymać blisko ziemi, żeby zarośła zasłaniała moje ruchy. Lord Mansell zrobiłby to samo, jestem tego pewny.

Odbyła się pośpieszna narada. Dwaj żołnierze mieli wyjść przez furtkę na przespiegi. Drew poszedł wydać stosowne rozkazy, a Honoria z Foxtanem przeszli pod furtkę i czekali w milczeniu. Deszcz wciąż padał; Honoria czuła, jak przemakają jej trzewiki, cała trzęsła się z zimna.

Nagle furka uchyliła się bezszelestnie - Honoria pomyślała, że ktoś musiał naoliwić wcześniej zawiasy - i coś się za nią poruszyło. Potem otwarła się nieco szerzej, na tyle, by

w przejściu zmieścił się człowiek. Prawdopodobnie właśnie w ten sposób poprzedniego wieczoru dotarł do zamku łowczy z dziczyzną.

Przez furtkę przeszedł jakiś człowiek... i napięcie opadło. Rozpoznała żołnierza z zamkowego garnizonu. Potem następny, a za nim jeszcze dwóch; nie pamiętała ich twarzy, ale zostali powitani jak przyjaciele.

Honorii wcale nie zrobiło się lżej na sercu. Gdyby Francis był na wolności, po co miałby wracać do oblężonego zamku? To by urągało logice, a Francisowi przecież nie brakowało rozumu.

I nagle... Przycisnęła dłoń do ust, żeby stłumić okrzyk ciskający jej się na usta. Przez furtkę, schylając się pod niską framugą, wszedł Francis odziany w ciężki płaszcz, z kapeluszem zsuniętym na czoło, by nie zdradzić się ukazaniem twarzy w świetle księżyca.

Jej mąż był cały i zdrowy... i wrócił do niej.

## Rozdział dziesiąty

Jeśli nawet lord Mansell był zdziwiony na widok komitetu powitalnego, czekającego nań w ciemności i ulewie, tego nie okazał. Udało mu się przedrzeć przez siły wroga do zamku, nie zwracając niczyjej uwagi. O czujności strażników wyrażał się z lekceważącą pogardą, a co do oficerów, to w ogóle ich nie napotkał, mijając namioty i zagrody dla koni. Prawdopodobnie Vavasourowi nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby próbować dostać się do Brampton Percy. Należało jednak zadbać o odpowiednie zabezpieczenia, więc furtka w murze została zamknięta na klucz i dodatkowo wzmocniona sztabą, a obok ustawiono na warcie żołnierza z zamkowego garnizonu. Dopiero wówczas Francis mógł się przywitać z Honorią, która stała z boku, oświetlona latarnią trzymaną przez sierżanta Drew.

- Honorio. - Chwyć ją za rękę. - Co ty tu robisz? To nie miejsce dla ciebie. Pewnie przemokłaś do nitki.

- Obawialiśmy się, że rojaliści planują atak, i przyszliśmy sprawdzić, na co się zanosi - poinformowała Francisca rzeczowym tonem. - Dostrzegliśmy światło lampy.



- Chwała Bogu. Nie miałbym ochoty zostać więźniem rojalistów na progu własnego domu. Dobrze się czujesz?

- Tak. A kapitan Priam ma się dobrze?

- Owszem, ale został w Wigmore. Oczekuję jego przyjazdu za kilka dni. Foxton, cholernie się cieszę, że was widzę.

- Martwiliśmy się o milorda.

- Przesłałem wiadomość przez jednego z ludzi Priama. Nie dotarł tu?

- Nie, milordzie.

- Miałem nadzieję, że uda mu się ominąć strażę, zanim okopią się do oblężenia.

- Możliwe, że trzymają go jako więźnia w obozie.

- Albo wycofał się ze strachu przed tak wielką siłą wroga. - Mansell zwrócił się do milczącej żony: - Wybacz mi, Honorio. Nie trzymałbym cię w niepewności co do naszego bezpieczeństwa w Wigmore. Zwłaszcza po historii z Leintwardine. - Delikatnie dotknął jej policzka. - Zabierajmy się z tego deszczu.

Ruszyli w stronę zamku. Mansell zaczął wypytywać sierżanta o sytuację za murami i stan zabezpieczeń przed wrogiem.

- Dokonali zniszczeń?

- Nie, milordzie. Wszystko jest, jak było.

- A zapasy?

- Wystarczające, żeby przetrzymać oblężenie, moim zdaniem.

Mansell pokiwał głową, zadowolony z oceny sierżanta Drew.

- Myślał pan o tym, żeby użyć starych dział na zewnątrz-

nym dziedzincu? Ile ich tam jest? Trzy albo cztery, jak mi się zdaje?

- Cztery, milordzie. Nie, nie odpalaliśmy ich. Obawialiśmy się rezultatu. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio ich używano. Mogą pęknąć i sprawić więcej szkód nam niż tym łobuzom lorda Vavasoura.

- To możliwe, ale i tak je wypróbujemy. Kilka ostrzegawczych wystrzałów może zniechęcić Vavasoura do podchodzenia zbyt blisko. Wyprowadził pan żołnierzy na zewnątrz?

- Nie, milordzie.

- Zatem jutro omówimy ewentualną wycieczkę. Wojsko jest rozleniwione, brakuje im dyscypliny. Proszę się do mnie zgłosić...

Honorcia westchnęła. Mąż wrócił i od razu miał pełne ręce roboty.

Honorcia zaczęła Foxtona, zanim udał się do kuchni.

- Milord będzie potrzebował jedzenia i piwa, kiedy już przebierze się w suche ubranie.

Francis zniknął w swoim pokoju, zatrzymując się jedynie, by pogłaskać witającego go żywiołowo Setantę.

- Oczywiście, milady. - Zarządca zauważył, że lady Mansell jest bledsza i poważniejsza niż zwykle. - Czas na odpoczynek. Pan zamku jest już na miejscu i przejmie obowiązki.

- Muszę porozmawiać z panem na osobności, panie Foxton.

- Słucham, milady?

- Proszę tu ze mną wejść.

Znaleźli się w pustym przedsionku. Honorcia popatrzyła

z napięciem na zarządcę. Czy mogła mu zaufać? I czy miała wybór?

- Panie Foxton, czy nie byłoby lepiej, żeby rojaliści nie wiedzieli o powrocie mojego męża?

- Nie rozumiem, milady.

- Jeśli nie będą wiedzieli, mogą się wycofać. Zostawią nas w spokoju.

-W istocie, ale...

- Jeśli się dowiedzą, że wrócił... Jeśli rozpocznie ofensywę przy użyciu dział... Co wtedy się stanie? Mogą rzucić wszystkie siły przeciwko zamkowi. Mam złe przeczucia.

- O czym mówisz, pani? - odezwał się Foxton szeptem, jakby się bał, że zostanie podsłuchany.

Plan nabrał ostatecznych kształtów. Tylko czy miała dość odwagi, by go zrealizować? Oczywiście, że starczy jej odwagi, jeśli dzięki temu uratuje ludzkie życie i zapewni bezpieczeństwo Francisowi. Nie pochwali jej za to, ale jest gotowa znieść jego gniew dla wyższych celów.

- Mówię, że lord Mansell nie powinien kierować obroną zamku.

- Rozumiem, co mówisz, milady, ale nie sądzę, żeby milord zgodził się na twój plan.

- Oczywiście, że się nie zgodzi. Duma i honor mu na to nie pozwolą. Obrona Brampton Percy jest jego obowiązkiem i wrócił tu po to, by ten obowiązek wypełnić. Moglibyśmy go przed tym powstrzymać. - Czekwała na odpowiedź Foxtona, spodziewając się, że będzie wstrząśnięty jej pomysłem. Nie rozczarowała się.

- Powstrzymać? Milord nigdy się nie zgodzi...

- Nie mówię o zgodzie, panie Foxton.
- Na miłość boską, co masz na myśli, milady?
- Żebyśmy go zamknęli w pokoju najwyżej na dwa dni, by dać rojalistom szansę odwrotu. Jak tylko ich siły odpowiednio osłabną, wypuścimy milorda.

Foxton oniemiał. Nie mógł uwierzyć, że lady Mansell rzeczywiście jest gotowa dopuścić się czegoś podobnego. Znał jednak swoją panią na tyle, by wiedzieć, że jest do tego zdolna.

- Pomoże mi pan, Foxton? Pomoże mi pan obronić zamek i wszystkich jego mieszkańców? I milorda?

- Nie ośmielę się, milady.
- Jeśli milord ich zaatakuje, z pewnością się zemścą. Będą prowadzić oblężenie, dopóki nas nie pokonają, a potem zrównają zamek z ziemią.

Argument był poważny.

- Jak mielibyśmy to zrobić?
- To bardzo proste. Wszystko wyjaśnię, ale musimy się śpieszyć. Potrzebuję sprzymierzeńca, panie Foxton.

Przez długą chwilę się wahał. Stali naprzeciw siebie w ciemnym pomieszczeniu, oświetlonym tylko jedną świecą, pani zamku i jej sługa, zjednoczeni w spisku.

- Jeśli pan się nie zgodzi, Foxton, będę musiała działać sama. Ale i tak to zrobię. - Honoria jako pierwsza prze-rwała milczenie.

- Lord Mansell bez wątpienia surowo mnie za to ukarze - Foxton pogodził się w myślach z natychmiastową odprawą w najlepszym wypadku - ale pomogę ci, pani.

- Dziękuję, Foxton. - Uścisnęła mu dłoń w wyrazie wdzięcz-

ności. - Myślę, że to nie potrwa długo. Wezmę na siebie całą winę. Obiecuję, że pan z tego powodu nie ucierpi.

- Gdzie, pani zdaniem, mielibyśmy... uwięzić jego lordowską mość?

- Wykorzystamy do tego celu starą kaplicę. Jest bezpieczna. Drzwi są mocne i dadzą się zamknąć na klucz. Panuje tam wprawdzie chłód, ale coś na to poradzimy, milord nie umrze z zimna. Zwabimy go do kaplicy pod jakimś pozorem. Przez kamienne ściany nie wydostanie się żaden dźwięk. Powiemy wszystkim w zamku, że milord zaniemógł, ma gorączkę po eskapadzie z Wigmore i musi pozostać w łóżku. Będzie pan w stanie odegrać swoją rolę, Foxton?

- Skoro pani może to zrobić, ja także muszę. I niech Bóg ma nas oboje w opiece, kiedy wypuścimy milorda.

Plan doskonale się sprawdził. Jego prostota zapierała Honorii dech w piersi, ale konsekwencje ją przerażały.

Przebrawszy się pośpiesznie w suche odzienie, spragniony wiadomości o stanie rzeczy w zamku i kondycji jego liczniejszych niż zazwyczaj mieszkańców, lord Mansell zgodził się pójść z zarządcą do starej kaplicy, by obejrzeć jej rzekomo nadwerżoną kamieniarkę. Na ścianie pojawiły się pęknięcia, a jeden z podtrzymujących sklepienie łuków nieco się osunął, więc, być może, należało go podeprzeć drewnianymi belkami do czasu gruntownej naprawy.

Mansell nie zauważył, że zarządca w drodze do kaplicy unika jego wzroku, ponieważ rozmyślał nad sprawą, którą pilnie musiał się zająć. Nieco większą niż zwykle sztywność Foxtona przypisał całkiem zrozumiałemu wyczerpaniu. Fakt,

że żona nie znalazła czasu, by wypytać go o zdrowie i sytuację w Wigmore, tłumaczył sobie nadmiarem obowiązków, jakie nagłe na nią spadły. Niemniej jednak...

Mansell wszedł do kaplicy, lekko zniecierpliwiony tym, że musi w środku nocy oglądać jakąś ruinę, zamiast zjeść gorący posiłek, napić się piwa i odpocząć parę godzin w wygodnym łóżku.

- Foxton, gdzie te uszkodzenia?

W tym momencie drzwi się zamknęły. Usłyszał wyraźnie zgrzyt metalu o metal, kiedy klucz obrócił się w zamku.

Ktoś zamknął go przez pomyłkę? Przecież zatrzasnął drzwi? Ale przeciągi nie przekręcały kluczy w zamkach. Był uwięziony. Załomotał pięścią w drzwi. Zawołał Foxtona po nazwisku.

- Słyszę cię, milordzie. - Głos zarządcy brzmiał słabo, tłumiony przez warstwę grubych wiązowych desek, ale całkiem wyraźnie.

- Otwórz drzwi, Foxton!

- Nie mogę. Pani wszystko wytłumaczy.

- Otwieraj! - ryknął Mansell.

- Nie, milordzie.

Odpowiedź była dokładnie taka, jakiej się można było spodziewać; do uszu zarządcy dotarła wiązanka soczystych przekleństw. Nie zwlekając, Foxton wycofał się do miejsca, gdzie czekała Honoria.

- Załatwione, milady.

- Muszę z nim pomówić.

- Z całym szacunkiem, ale na twoim miejscu chwilę bym odczekał, milady. Jego lordowska mość nie jest zadowolony.

- Ostro przeklina, tak?
- Używając żołnierskiego języka, milady.
- Niech pan idzie spać, Foxton. Zrobił pan dziś wieczorem więcej, niż należało do pańskich obowiązków.

Zarządca skłonił się i bez słowa rozplynął się w mroku. Nie miał najmniejszej ochoty być świadkiem rozmowy, do której niebawem dojdzie.

Lord Mansell nie potrzebował dużo czasu, by odgadnąć, że dał się wciągnąć w pułapkę. Jego gniew jeszcze się wzmógł, kiedy się zorientował, że wszystko zostało wcześniej ukartowane: na skrzyni przy ołtarzu leżał chleb, ser i mięso, owinięte w płótno. Obok stała misa pełna jabłek z jesiennych zbiorów. Nie zabrakło również piwa i butelki dobrego wina. Sterty koców do ochrony przed chłodem. Świece i krzesiwo, wiadra... Ktoś był bardzo zapobiegliwy!

Światło wpadało jedynie przez wąskie szczeliny w grubych ścianach. Krzyki i walenie w drzwi na nic by się zdały, a ucieczka przez okno nie wchodziła w rachubę. Mansell wiedział, że nie ma wyboru, musi się pogodzić z uwięzieniem, dopóki ktoś go nie wypuści. Nie miał wątpliwości, kto to będzie!

Pozostawało mu czekać. Co Honorii strzeliło do głowy, by zrobić coś tak głupiego?! Chyba chciała, żeby wrócił i zdjął z jej wątych barków ciężar obrony zamku? Żeby znów zagościł w jej łóżu?

Tymczasem Honoria udała się do komnaty na wieży, żeby się trochę uspokoić i zebrać resztki odwagi. I żeby dać Francisowi czas na ochłonięcie.

W końcu uznała, że nie może dłużej zwlekać. Musiała pójść do kaplicy i, stojąc w przedsionku, przez zamknięte drzwi wytłumaczyć mężowi, dlaczego tak postąpiła. Postanowiła zabrać z sobą Morrighan, by czuć się pewniej.

Stała przed drzwiami kaplicy. Płomień świecy wydobywał z mroku misterne rysunki na kamiennych ścianach, wykonane przez rzemieślnika-artystę sprzed wieków.

- Francis. - Za cicho, nie mógł jej usłyszeć. Odetchnęła głęboko. - Francis!

-Honor. - Odpowiedź padła natychmiast. - Co to wszystko, u diabła, ma znaczyć? Otwórz drzwi.

- Musisz mnie wysłuchać. - Pochyliła głowę, niemal dotykając czołem desek.

- Nie będę słuchał wyjaśnień przez zamknięte drzwi.

- Mam powód, żeby ich nie otwierać.

- Nie wątpię!

- Nie byłoby rozsądne atakować rojalistów tak od razu. leżeli...

- Nie musisz nic więcej mówić. Może cię to zdziwi, ale doskonale cię rozumiem. Jak zamierzasz przeprowadzić swój plan? Trzymać mnie tu do czasu, aż będziesz mnie mogła oddać wraz z zamkiem w ręce Vavasoura? Tak, żeby miał zaszczyt przejąć w imieniu króla nie tylko Brampton Percy, ale też jego właściciela. Pewnie już zaciera ręce na myśl o tej gratce.

- Nigdy tego nie zrobię. - Oskarżenie tak ją dotknęło, że zabrakło jej słów.

- A co ty będziesz z tego miała, droga żono? - Drwiący ton



Francisa boleśnie ranił jej duszę. - Robisz to dla zasady? Czy może obiecano ci nagrodę za wysiłki dla sprawy?

-Francis...

- Ostrzegam, nie pójdzie ci łatwo. Będziesz musiała mnie najpierw obezwładnić. Jak zamierzasz to zrobić? Kogo przekupiłaś, żeby osiągnąć cel?

- Nikogo nie przekupiłam.

- Domyślam się, że Foxtona. Nie da mi rady, będziesz potrzebowała innych pomocników. Chyba o tym wiesz. - Pogardliwy śmiech odbił się echem od kamiennych ścian.

-Nie zamierzam...

Nie chciał jej słuchać. Dał upust goryczy i złości:

- Nigdy nie przypuszczałem, że mnie zdradzisz, Honorio. Świadomość, jak bardzo się myliłem, jest druzgocąca. Jeśli chciałaś mnie upokorzyć, to udało ci się nadzwyczajnie.

- Nie chciałam...

- Odejdź, Honorio. Nie chcę słuchać dalszych wymówek. I tak postawisz na swoim.

Uciekła.

Mary znalazła ją w komnacie na wieży, klęczącą, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Co się stało? Wyglądasz okropnie. - Mary uklęka obok przyjaciółki.

- Nie mogę powiedzieć.

- Musisz. Nie ufasz mi po tym wszystkim, co razem przeszliśmy?

Czując się ogromnie samotna, Honoria uległa potrzebie podzielenia się kłopotami.

- Francis uważa, że trzymam go pod kluczem, by oddać go wraz z zamkiem Vavasourowi.

- Właściwie trudno mu się dziwić - powiedziała ostrożnie Mary.

- Gdyby choć trochę wierzył w moją lojalność, nie przyszło by mu to do głowy. Jak może tak o mnie myśleć?

- Nie sądzę, żeby myślał o lojalności, kiedy siedzi zamknięty przez własną żonę.

- No tak, masz rację.

- Zamierzasz to ciągnąć?

- Chyba muszę. - Honoria podniosła się z podłogi. - Mam nadzieję, że kiedy wojska rojalistów odstąpią i uratujemy ten przeklęty zamek, wdzięczność milorda przeważy nad jego gniewem.

- Chciałabym, żeby tak było, droga Honorio, ale to raczej niemożliwe.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

## Rozdział jedenasty

- Wynoszą się, naprawdę. Spójrz na wozy bagażowe i na tamten oddział konnych.

- To musi być odwrot.

Honorcia i Mary obserwowały scenę rozgrywającą się w dole pod murami. Było jeszcze wcześnie, ale w obozie panowało większe poruszenie niż zazwyczaj o tej porze. Część oddziałów piechoty zajęła inne pozycje, a kawaleria wycofywała się z pierwszej linii. Między żołnierzami widać było wydających rozkazy oficerów.

- Jestem pewna, że jest ich mniej niż wczoraj - powiedziała Honorcia, otulając się peleryną.

Obie z Mary pozwoliły sobie na westchnienie ulgi.

W kaplicy panowała cisza. Honorcia nie próbowała się kontaktować z Francisem od czasu, gdy go uwięziła. Uznała, że nic się nie stanie, jak zostawi go w zamknięciu jeszcze przez jeden dzień. Miała świadomość, że jest mu niewygodnie i że

jest na nią wściekły. Jednak najważniejsze było ocalenie zamku i jego mieszkańców.

Późnym popołudniem sierżant Drew zameldował, że jeden z oddziałów kawalerii odjechał na południe.

- Może generał Waller z wojskami parlamentu rzeczywiście zaatakował Gloucester. Może rzeczywiście oblężenie dobiega końca.

Honorcia i Mary spojrzały po sobie z nadzieją, że ich modlitwy zostały wysłuchane.

- Według mnie doszli do wniosku, że atakowanie wysoko urodzonej kobiety byłoby niepolityczne - oznajmiła Mary.

- Tak. Do jutra nie będzie po nich śladu. - Honorcia nie chciała odbierać przyjaciółce złudzeń. - Jutro wypuszczę milorda.

Niestety, następnego dnia o świcie nadzieje Honorcii się rozwiały.

Obudził ją huk wybuchu, po którym nastąpił wstrząs i łoskot kamieni uderzających o kamienie.

- Przywieźli moździerz, milady. - Sierżant Drew dogonił Honorcię, kiedy pędziła na mury. - Dwa. Ogromne. Musieli je wciągnąć na pozycje pod osłoną nocy. Teraz próbują wymierzyć właściwą odległość.

Drew był przerażająco rzeczowy. Honorcia przyjrzała się z góry dwóm potężnym działom ustawionym na płaskim terenie przed zamkiem. Kawaleria może i odjechała, ale wciąż pozostawał oddział piechoty. Przy moździerzach piętrzyły się sterty kamieni, przeznaczonych do rozbijania murów i zabu-

dowań zamku. Były tam też kolubryny, które miały powiększać zniszczenia dokonane przez moździerze.

- Proszę spojrzeć, milady. Będą strzelać kamieniami ponad murem, żeby zburzyć wewnętrzne zabudowania. A kolubryny posłużą do rozwalania zewnętrznych murów. Niewiele możemy na to poradzić. Chyba że wróci kapitan Davies. Tylko on mógłby tu pomóc. - Sierżant przejechał dłonią po karku, wyraźnie zaniepokojony.

- Milord oczekuje powrotu kapitana lada moment. Miejmy nadzieję, że tu dotrze, zanim nas zetrą w proch. - Honoria starała się nie okazywać zdenerwowania, ale nie bardzo jej się to udawało.

Rojaliści przystąpili do zdobywania zamku. Żołnierze zwiłali się jak w ukropie, ładując moździerze ciężkimi kamieniami. Kiedy pierwszy pocisk dotarł do celu, odłupując z muru grad odłamków, Honoria uświadomiła sobie, jak bardzo się myliła, wierząc, że nic poważnego im nie grozi. W ciągu godziny wszystko się zmieniło.

Muszę zachować spokój, powtarzała sobie w duchu Honoria. Mury są mocne, wytrzymają. Może przekonają się o daremności wysiłków i zostawią nas w spokoju. Uchyliła się przed skalnym odpryskiem, kiedy kamień uderzył w mur twierdzy po jej prawej stronie. Przypomniała sobie, że Francis wspominał o użyciu starych dział. Sierżant Drew powinien wiedzieć, czy mogłyby się na coś przydać. Musiała z nim rozmówić. Strażnicy powinni być wyjątkowo czujni na wypadek, gdyby najeźdźcy zechcieli użyć pocisków zapalających. Wolała nie myśleć, co by się wówczas stało.

Honorcia wprawdzie nie lubiła Brampton Percy, ale nie mogła przecież pozwolić, żeby zburzono jej dom. Wiedziała, co musi zrobić. Nie miała wyboru.

-Mary, myślę...

- Milady... - przerwał jej głos dobiegający z tyłu.

- Pani Brierly. W kuchniach wszystko w porządku? Nie sądziłam, że może wam tam coś grozić.

- Nic się nie stało, milady - zapewniła pani Brierly, otrzepując kurz z rękawów. - Podkuchenna wypuściła z rąk kilka talerzy, kiedy pierwszy raz huknęło o mur. Okropnie się przestraszyła, ale już dochodzi do siebie. Czy mam...

Po lewej stronie rozległ się strzał z muszkietu, ostry i wyraźny na tle dudniącej kanonady.

Pani Brierly krzyknęła i bez słowa osunęła się na ziemię.

- Pani Brierly? - Honorcia opadła na kolana przy ciele kucharki. Ujrzała krew, poczuła lepkość na palcach.

Kolejna kula z muszkietu trafiła w ścianę za ich plecami, odłamki rozprysły się na wszystkie strony. Obie jednocześnie przypadły do ziemi, próbując się zorientować, skąd padają strzały.

Mary wskazała na kościół; wysoko na płaskim dachu kościelnej wieży zajęli pozycje snajperzy rojalistów. Mieli stamtąd doskonały widok na wewnętrzne zabudowania zamku.

Następne kule uderzyły o mury i ziemię w pobliżu.

Podbiegli do nich sierżant Drew z dwoma żołnierzami oraz doktor Wright. Doktor natychmiast zajął się panią Brierly. Sierżant Drew chwycił Honorię za ramię i pomógł jej wstać. Jego twarz wyrażała przestach.

- Wielebny Gower musiał ich wpuścić do kościoła. Niech go diabli! Musisz się schować, milady. Tu ryzykujesz życie.

- Dobrze, ale najpierw musi pan zabrać panią Brierly do środka. Została trafiona i potrzebuje pomocy. - Odwróciła się do doktora Wrighta, pochylonego nad nieruchomym ciałem kucharki. Kiedy podniósł głowę, jego posepna mina mówiła sama za siebie.

- To już nie ma znaczenia, milady. Pani Brierly nie żyje.

Ostrzał trwał przez cały dzień, ustał dopiero o zmroku.

- Mury wytrzymują ataki kolubryn, milady. - Sierżant Drew stał przed Honorią wyprostowany, ale w jego głosie pobrzmiwała troska. - Wewnętrzne zabudowania ucierpiały od moździerzy, niestety. Stajnie zostały prawie całkiem zburzone, rozbita jest też południowa ściana starej twierdzy, ale nie na wylot. Są też zniszczenia we wschodnim skrzydle. Zewnętrznych schodów z dziedzińca można używać, zachowując najwyższą ostrożność. Jeśli rojaliści zdecydują się wtoczyć mniejszą kolubrynę do wieży kościelnej, znajdziemy się w opałach.

- Dziękuję, sierżancie Drew. Jesteśmy wdzięczni za pańskie starania.

- Milady... Czy lord Mansell wrócił już do zdrowia? Jest nam bardzo potrzebny.

Unikając wzroku sierżanta, Honoria zerknęła na Foxtona.

- Rzeczywiście jest potrzebny. Pomówię z nim.

Zostawszy tylko z Mary i Foxtonem, Honoria westchnęła ciężko.

- Oto cały pożytek z mojego planu. Taki jak z zapowiadanej

rycerskości rojalistów wobec samotnej kobiety - dodała z goryczą. - Nic nie zyskałam, a pani Brierly straciła życie.

- Plan mógł się powieść. Mógł ocalić życie wielu ludzi. - Mary współczująco uściśnęła przyjaciółkę.

- Być może.

- Nic nie mogło zapobiec śmierci pani Brierly, milady - włączył się Foxton. - Rojaliści zdołali opanować kościelną wieżę; ani my, ani milord nic byśmy na to nie poradzili.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Foxton. Chciałabym panu wierzyć.

- Zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy, milady, ale teraz potrzebny jest lord Mansell. Mam go wypuścić?

- Jest pan nie tylko uprzejmy, ale też odważny. - Honoria zdobyła się na żartobliwy ton, choć daleko jej było do wesołości. - Sama muszę uwolnić milorda i błagać go o przebaczenie.

- Zrozumie - pocieszyła ją Mary bez przekonania.

Honoria przyjęła jej słowa z wymuszonym śmiechem.

- Nie zrozumie. Prawdę mówiąc nie mogę go za to winić.

- I co?

Patrzył na nią zimno, z trudem powściągając furję. Leżał wyciągnięty na twardej kościelnej ławce; nie podniósł się na widok żony, tylko zmierzył ją od stóp do głów niechętnym wzrokiem. W jego oczach nie znalazła szacunku ani przychylności, ale ostatecznie czegoś się mogła spodziewać...

Stała przed nim sztywno wyprostowana, z Morrighan przy nodze.

- Pomyliłam się. Plan się nie powiódł.

- I?



Honorcia zwilżyła językiem zaschnięte wargi. Najwyraźniej Francis nie miał ochoty jako pierwszy przerywać milczenia.

- Sprowadzili moździerz. Dwa.

- Słyszałem.

- Jesteś nam potrzebny. Nie wiemy, co robić...

Brakowało jej sów. A on tylko patrzył na nią pogardliwie.

- I? - Nie zmienił niedbałej pozy. - Rozumiem, że postanowiłaś jednak nie dawać mnie Vavasourowi w charakterze wojennego trofeum... przynajmniej nie teraz. Ciekawi mnie, jak zamierzałaś to zrobić. I co ci kazało nagle zmienić zdanie. Czyżby cena cię nie zadowalała?

-Ja nigdy...

Mansell poderwał się na nogi tak gwałtownie, że Honorcia aż się cofnęła.

- Nie martw się. - Chwycił ją za nadgarstek. - Nie toczę wojen z kobietami. Nie zamierzam cię uderzyć, ale nie chcę słuchać usprawiedliwień. Chyba się ze mną zgodzisz, że mam ważniejsze sprawy do załatwienia. - Puścił ją, jakby sam dotyk sprawiał mu przykrość. - Byłbym zadowolony, gdybyś na pewien czas zesła mi z oczu. Źle ci wybrano imię, milady. Twoje poczynania doprawdy trudno uznać za honorowe.

Francis wyminął żonę i wyszedł. Została w zimnej kaplicy sam na sam ze swoją rozpaczą. W tym momencie nie widziała żadnych możliwości naprawienia stosunków z mężem.

Przez godzinę lord Mansell zdążył dokonać pełnej inspekcji Brampton Percy i zaczął układać plan obrony zamku. Przed świtem, kiedy strażnicy rojalistów będą najmniej czuj-

ni, zamierzał wysłać dwóch posłańców do Wigmore z bardzo szczegółowymi instrukcjami dla Priama Daviesa.

O świcie, tak jak się można było spodziewać, wznowiono ostrzał moździerzami. Na razie Mansell niewiele mógł zrobić, żeby mu zapobiec; należało po prostu wytrzymać hałas i wstrząsy, starając się ograniczyć zniszczenia.

Znacznie poważniejsze zagrożenie stanowiła dzwonnica kościoła Świętego Barnaby. Każdy mieszkaniec zamku wypuszczający się poza obręb zabudowań mógł stanowić cel dla rojalistów, którzy czaili się tam z muszkietami.

- Mają nad nami przewagę, milordzie - stwierdził ponuro sierżant Drew i usłyszał mrukliwe przytaknięcie.

- Dlatego musimy ich powstrzymać.

- Nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić, milordzie. Nasi łowczy są dobrymi strzelcami, ale nie mogą zająć dogodnych pozycji. Tymczasem oni widzą nas jak na dłoni i mogą strzelać jak do kaczek.

- Musimy wypróbować te stare działa. - Mansell spojrział krytycznie na antyczny sprzęt, stojący co najmniej od stu lat pod murem. - Rozpocznemy ostrzał, żeby na chwilę musieli opuścić głowy, dlatego trzeba postawić kilku muszkietierów na wieży po lewej stronie bramy. Wykorzystamy ten czas na przesunięcie dział na dziedziniec i ustawienie ich na linii wieży. Możemy tam też przeciągnąć wóz dla zapewnienia sobie osłony. Wtedy zobaczymy, co się da zrobić.

- Będziesz strzelał w kościelną dzwonnice, milordzie? - W głosie sierżanta słychać było niedowierzanie.

- Owszem, będę. Zniszczymy ją, żeby nie mogła być wykorzystywana przeciwko nam.

Drew i Foxton odpowiedzieli milczeniem.

- Wiem, że to dom boży, zresztą przeze mnie utrzymywany, ale został użyty do celów wojennych. Rojaliści nie mieli w tym względzie żadnych skrupułów. Dlatego zostanie zburzony. Jeśli tego nie zrobimy, wystrzelają nas z łatwością.

Argument był nie do odparcia.

Szybko wydano rozkazy. Muszkietierowie, umieszczeni na odpowiednich pozycjach przez sierżanta Drew, rozpoczęli ostrzeliwanie dzwonnicy, skutecznie uciszając ukrytych tam rojalistów. Działa zostały przeciągnięte na dziedziniec, osłonięte wozem, naładowane i przygotowane do odpalenia.

Mansell z sierżantem przykucnęli za kołem wozu.

- Nie podoba mi się ich wygląd, milordzie. Na moje oko nie były używane od czasów, gdy rządili tu Mortimerowie. Mogą się rozpaść przy pierwszym strzale, powodując niewyobrażalne szkody.

- Chyba już ustaliliśmy, że nie mamy wyboru. Musimy zaryzykować. Opuśćcie głowę, sierżancie. Ja odpalę pierwszy lont.

-Ale milordzie...

- Każ wszystkim się schować. - Ponaglił ociągającego się sierżanta, popychając go za ramię. - Jeśli wystrzeli, wszędzie polecą odłamki. Użyję długiego lontu, żeby zdążyć uciec. I niech muszkietierowie nie przestają strzelać. Nie chcę zginąć od kuli rojalisty, zanim własne działo rozgniecie mnie o mur.

Honoria obserwowała poczynania męża przez okno komnaty na wieży. Rozumiała, do czego zmierza, choć nie znała

jego planów. Wiedziała, że działo może zabić Francisa tak samo skutecznie, jak kula snajpera z dzwonnicy. Mignął płomień, kiedy zapalał lont. Francis uciekł za wóz i położył się płasko na ziemi. Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza, przzerwana pojedynczym wystrzałem moździerza, po czym w zięjącym wylocie lufy błysnął ogień, a w powietrzu rozniósł się cierpki zapach prochu. A potem kula uderzyła w narożnik dzwonnicy, nieco poniżej stanowiska rojalistów, lecz na tyle celnie, by uszkodzić kamienną podporę budowli.

Honia nie ruszała się z miejsca. Gdyby mąż został ranny, cierpiałaby razem z nim. Gdyby zginął rozerwany na kawałki, to ona ponosiłaby za to winę i musiałaby dźwigać jej brzemień do końca swoich dni. Wyznaczyła sobie ciężką pokutę, ale nie zamierzała się przed nią uchylać.

- Nadal jest sprawne, milordzie. Nigdy bym nie pomyślał.  
- Sierżant Drew uśmiechnął się z uznaniem.

- Ja też nie. - Mansell odwzajemnił uśmiech. - Musimy je umiejętnie wykorzystać. Spróbujmy lepiej wymierzyć i strącić rojalistów.

Przed końcem dnia na dziedzińcu kłębił się gryzący dym, a mieszkańcy zamku byli głusi od częstych wybuchów. Działo się nie rozpadło. Mansell z sierżantem Drew, brudni, zmęczeni i okopceni dymem, uznali, że zrobili wszystko, co się dało. Honoria nerwowo krzątała się w kuchni, gdzie nie musiała patrzeć na bezustanny pojedynek ze śmiercią. Przejęła na jakiś czas obowiązki pani Brierly.

Plan Mansella, o dziwo, okazał się skuteczny. Górna część dzwonnicy kościoła Świętego Branaby legła w ruinie. Resztki

spiralnych schodów prowadziły donikąd, a u ich stóp wałały się potłuczone kamienie.

- Co robisz? - Francis stał w drzwiach kuchni i przyglądał się żonie.

- Nasze zapasy mąki są na ukończeniu, ale w piwnicach mamy ziarno. Musimy je mleć ręcznie w żarnach, lecz chleba powinno wystarczyć dla wszystkich.

Była to ciężka, mozolna praca; Honoria zarządziła, by podkuchenne wykonywały ją na zmianę. Jednak widząc że Mol, najmłodsza z dziewcząt służących w kuchni, prawie jeszcze dziecko, ledwo trzyma się na nogach, Honoria odesłała ją do składania pościeli, a sama zajęła się mieleniem. Francis zastał ją z podwiniętymi rękawami, w fartuchu, ze smugami mąki na twarzy.

- Ale dlaczego sama to robisz?

- Jestem tu potrzebna.

- Po co? Nie mamy dość służby? Musisz sama mleć ziarno?

- Pewnie nie. Pani Brierly wczoraj zginęła... trafiona kulą z muszkietu.

- Nie wiedziałem, przykro mi. - Rozzłościło go, że nikt mu o tym nie powiedział.

- To był pierwszy strzał, zanim się spostrześliśmy, że rojaliści zajęli pozycje na dzwonnicy. Stałyśmy na dziedzińcu i nagle pani Brierly upadła. Doktor Wright nie mógł jej pomóc.

Mansell uświadomił sobie, że złość go opuściła na myśl, że ofiarą strzału mogła być jego żona.

- Jutro o świcie atakujemy mózdzierze. Trzeba wcześniej na-

karmić ludzi, zanim zrobi się jasno. Doktor Wright musi się przygotować. Prawdopodobnie będą ofiary.

- Dobrze.

Popatrzył na Honorię i kiedy już jej się zdawało, że coś powie, obrócił się na pięcie.

- Francis...

Przystanął, ale pozostał odwrócony do niej plecami.

- Francis, przepraszam.

- Porozmawiamy o tym, jak skończy się to zamieszanie. - W jego głosie nie było zrozumienia.

- Dobrze.

- Jeśli możesz, dopilnuj, żeby rano ludzie dostali chleb i piwo.

- Oczywiście.

W drodze do wielkiej sali lorda Mansella zatrzymała Mary Hopton.

- Honorię przygniata poczucie winy, dlatego nie będzie sama walczyć o swoje - oznajmiła - ale ja to zrobię za nią. Chciała jak najlepiej. Nigdy by cię nie zdradziła i okrucieństwem jest oskarżać ją o to. Rojaliści byli bliscy odwrotu z powodu ataku parlamentarzystów na Gloucester, a do tego Vavasour nie był skłonny do prowadzenia wojny z bezbronną kobietą.

- To nie twoja sprawa.

- Jasne, że nie moja! Nie potrafię jednak tolerować niesprawiedliwości.

- Panno Hopton, możesz z czystym sumieniem uznać, że wypełniłaś obowiązek wobec mojej żony najlepiej, jak się dało.

- Czuję się zobowiązana wobec was obojga. Nie sądziłam, że nie zechcesz słuchać głosu rozsądku, milordzie.

Francis skłonił się i odszedł, starając się zapamiętać gorzkie słowa Mary.

O świcie uniesiono podwójną kratę i otwarto bramę, żeby wypuścić niewielką gromadę konnych. W obozie rojalistów, nieco mniej licznym, lecz wciąż dysponującym moździerzami i kolubrynami, panował spokój. Zanim straż zorientowała się, że coś się dzieje, zaatakowali je ludzie Mansella.

Oddział był nieduży, składał się z żołnierzy przebywających w Brampton, którzy byli w stanie dosiąść konia i skutecznie posługiwać się bronią. Musiał wystarczyć do wykonania pewnego bardzo szczególnego zadania.

Do pierwszego starcia na szpady i pistolety doszło wtedy, kiedy obudzili się żołnierze piechoty. Pod osłoną ognia dwóch żołnierzy Mansella zsiadło z koni, załadowało jeden z moździerzy prochem i rozwinęło lont, podczas gdy do podstawy drugiego przywiązano liny. Na kolubryny nic nie mogli poradzić, ale moździerze musiały ucichnąć.

Liczyła się każda minuta. Mieli świadomość, że kiedy minie moment zaskoczenia, będą narażeni na wielkie niebezpieczeństwo. Mansell bez zastanowienia dźgnął śmiertelnie w szyję człowieka, który chciał go ściągnąć z konia. Wiedzieli, że kiedy muszkietierowie rojalistów naładują broń i zajmą odpowiednie pozycje, spadnie na nich grad kul.

Lont został odpalony. Ludzie z Brampton znów wsiedli na konie, chwycili liny i pośród głośnych okrzyków i przekleństw zaczęli ciągnąć drugi moździerz w stronę zamkowej bramy.

Mogli oba zniszczyć, oczywiście, ale przejęcie choćby jednego było bardzo cenne. Mansell puścił linę, wpatrując się w coraz liczniejszą, w pełni uzbrojoną grupę rojalistów, którzy biegli bronić swojej własności. Miał świadomość, że na tle blednącego nieba on i jego ludzie są wyraźnie widocznym celem.

- Zbieramy się! - To były pierwsze wypowiedziane na głos słowa. - Nie zatrzymujcie się, zawracamy.

W tym momencie usłyszeli tętent kopyt i okrzyki, zwiastujące przybycie oddziału konnych, który zaatakował rojalistów od tyłu i spowodował ich rozproszenie. Zaskoczeni, niezdolni do przegrupowania sił ludzie Vavasoura rozpierzchli się, tak że móżdziej mógł bez przeszkód potoczyć się w stronę otwartej bramy zamku.

To z Wigmore przybył Priam Davies.

- Nie próżnujcie - rzucił, podjeżdżając do Mansella.

- Priam, dobrze, że jesteś. Wnoszę z tego, że mój posłaniec dotarł na miejsce.

- Owszem. Przybyłem z posiłkami. Chyba w dobrym momencie.

- Można tak powiedzieć. Czy to Josh Hopton?

- We własnej osobie. Dołączył do nas w Wigmore. Zrećnie władza szpadą, więc bardzo się przydał.

- Każ swoim ludziom zmierzać w stronę bramy. Ten móżdziej lada chwila wybuchnie. - Mansell zaklął, uchylając się przez gradem kamieni. Zaraz potem strumienie gorącego żużlu, żarzącego się czerwono, popłynęły na głowy zbliżających się rojalistów.

-Co...?

Priam zadarł głowę i rozpromienił się w uśmiechu.



- Wygląda na to, że milady nie próżnuje.

Mansell ujrzał rząd kobiecych głów wystających ponad blanki; służące ciskały kamienie i wyrzucały z wiader rozpalony żużel z nieukrywaniem entuzjazmem i całkiem niezłą celnością. Ze zdumieniem dostrzegł pośród nich Honorię.

- Mam nadzieję, że będą dobrze mierzyć, bo inaczej znajdziemy się w opałach nie gorszych niż rojaliści - orzekł, kiedy koń szarpnął się, przestraszony spadającymi blisko kamieniami.

- To powinno wystarczająco osłonić nasz odwrot.

- Zatem wciągnijmy ten moździerz przez bramę i będę mógł cię zaprosić na śniadanie.

Dalszą rozmowę zagłuszył huk eksplozji, która rozerwała moździerz. Korzystając z osłony kurzu i dymu oraz tego, że na głowy rojalistów wciąż spadały z murów kamienie i żużel, wrócili do zamku, ciągnąc ze sobą zdobyte na wrogu trofeum.

- Owocny poranek. - Priam Davies otworzył z czoła pot i kurz. - Gdzie to piwo?

Honorcia przywitała się z Priamem i Joshua, a potem za dbała, by poczęstowano piwem wszystkich uczestników zwycięskiej wyprawy.

-Widzę, że nieźle opanowałaś sztukę obrony, milady, i wzbogaciłaś ją nawet. A twoje dziewczyny mają dobre oko, chyba nawet nie musnęły żadnego z moich żołnierzy.

- Dziękuję, kapitanie.

- Czyżbym widział przy tobie moją siostrę ciskającą ka-

mienie ze śmiercionośną celnością? - włączył się do rozmowy Joshua Hopton.

- Nie inaczej. Ma dobre oko. Powinieneś o tym pamiętać, Josh, kiedy przyjdzie ci ochota potraktować ją z braterską wyższością.

- To oznacza, że już zawsze będzie stawiać na swoim.

- Oczywiście.

Po tej wymianie zdań Honoria zamierzała się oddalić, żeby sprawdzić, jak się miewają pozostałe uczestniczki batalii. Lord Mansell zastąpił jej drogę.

- Dobra robota, milady - rzucił szorstko. - Jestem ci zobowiązany.

- Ale i zaskoczony. Widzę to po twojej minie.

- Nigdy nie wątpiłem w twoją odwagę.

- Oczywiście. Jedynie w moją lojalność.

- Nie powinienem był tego mówić.

- Nie, ale powiedziałaś. - Wyminęła go i oddaliła się z szelstem spódnic.

- Kłopoty małżeńskie, chłopcze? - Priam położył Franciso-  
wi dłoń na ramieniu.

- Nie. - Francis wciąż nie odrywał oczu od żony. - Tylko różnica poglądów.

- Możesz sobie mówić, co chcesz, ale już ja wiem, kiedy kobieta się gniewa. Współczuję.

- Nie jestem pewien, czy słusznie. - Zrezygnowany pokręcił głową, po czym zwrócił się do kapitana innym tonem: - Jeszcze nigdy nie cieszyłem się na niczyj widok tak jak na twój dziś rano, Priam. - Mansell uniósł kufel w geście toastu. - I na

twój także, Josh. Mary nie wiedziała, gdzie jesteś. Myślała, że może wróciłeś do Ludlow.

- Nie. - Joshua rozprostował zdętwiałe ramiona. - Jadąc z Knighton do Wigmore, odkryłem, że zamek jest oblężony i przyłączyłem się do Priama. W samą porę.

- Odebraliśmy im jeden mózdzierz i zniszczyliśmy drugi. To na jakiś czas osłabi ich siłę. Jak widzisz, ucierpieliśmy trochę. - Francis zatoczył ramieniem, wskazując na poszarpane w wielu miejscach mury.

We trójkę skierowali się w stronę wielkiej sali.

- Mamy wieści od rojalistów, którzy mijali Wigmore - powiedział sir Joshua. - Namówiliśmy dwóch żołnierzy z ich piechoty, stosując łagodną perswazję, by wyjawili szczegóły ich planów. Plądrowali okolicę, ale w pogoni za jeleniem zapędzili się trochę za blisko naszych murów, więc zaprosiliśmy ich do środka. Powiedzieli, że Vavasour zamierzał odstąpić od oblężenia, ponieważ angażowało zbyt wielu żołnierzy w momencie, gdy generał Waller stał u bram Gloucester i istniała możliwość, że wyruszy na Hereford.

- Dzięki Bogu za Wallera.

- Nawet bez jego interwencji - włączył się Davies - Vavasour nie miał ochoty tkwić pod Brampton Percy. Prawdę mówiąc, nie miał w ogóle ochoty rozpocząć tego oblężenia. Nieswojo im było zwracać się przeciwko kobiecie. Nie wiedzieli, że wróciłeś.

Mansell znieruchomiał z kuflem uniesionym do ust.

- Co? - Priam także się zatrzymał.

- Dlaczego więc użyli mózdzierzy?

- Za sprawą Fitzwilliama Coningsby'ego - wyjaśnił Joshua.

- Rozkazał małemu oddziałowi pozostać tu i użyć moździerzy z Worcester. Vavasour by się na to nie zgodził, dlatego Coningsby rozkazał Henry'emu Lingenowi podjąć atak. Lingenowie są z tobą spokrewnieni, ale ten najwyraźniej nie miał skrupułów i gotów był wysadzić w powietrze kobietę w jej własnym domu. Wyobrażam sobie, że Vavasour powiedział im obu parę słów do słuchu na ten temat.

- Masz w Coningsbym zacieklego wroga, chłopcze - orzekł Priam.

- Na to wygląda. Odziedziczyłem go po lordzie Edwardzie. Nie znam tego człowieka. - Weszli do wielkiej sali i zasiedli przy stole zastawionym misami z chlebem i mięsem. Francis sięgnął po dzbanek, żeby od nowa napełnić kufle.

- Chce cię ograbić z władzy i majątku, Francisie. - Joshua poparł opinię Priama. - Niesnaski pomiędzy rodzinami Coningsby i Brampton nie umarły wraz z odejściem lorda Edwarda. Namiestnikowi było bardzo na rękę, że opowiedział się po stronie parlamentu, bo dzięki temu miał najlepsze usprawiedliwienie dla wytoczenia ci wojny. Musisz się mieć na baczności.

- Ano muszę.

Francis uniósł kufel, żeby splukać trudy porannej wyprawy. Słowa przyjaciół dały mu do myślenia i rzuciły nowe światło na poczynania Honorii, które wcale nie musiały być zdradzieckim spiskiem.

## Rozdział dwudziesty

O zmroku nakarmieni mieszkańcy oblężonego zamku rozsiadli się przy ogniskach, żeby omówić wydarzenia minionego dnia i wyrazić troskę o przyszłość. Mary i Dorothy Wright przejęły zwierzchnictwo nad kuchnią, a doktor zbadał po kolei wszystkich rannych. Na szczęście nie było poważnych obrażeń, a tylko parę powierzchownych cięć od szpady i jeden złamany obojczyk.

Mansell, kapitan Davies i sir Joshua udali się do kancelarii, żeby omówić sytuację w kraju i plany taktyczne dotyczące dalszej obrony zamku.

Próbując uwolnić się od natrętnych myśli, Honoria, wraz z panią Morgan, przejrzała stan zapasów w piwnicach i spiżarniach.

- Nie obawiaj się, milady. Poradzimy sobie. - Pani Morgan wróciła już do siebie po wstrząsie, jakim była dla niej śmierć długoletniej przyjaciółki, pani Brierly. - Zamek utrzyma się do czasu, aż wojna się skończy. Idź lepiej odpocząć, milady. I niech nasz doktor opatrzy ci to oparzenie na nadgarstku.

Dzielnie się dziś rano spisalaś, pani. Przyjemnie było patrzeć na uciekających rojalistów.

- Owszem - przyznała Honoria, uśmiechając się na to wspomnienie.

- Szkoda, że nie uciekli aż do Hereford. Dobrej nocy, milady.

Odeszła do kuchni, dźwigając wielką szynkę, którą odkryły w zapomnianym kącie spiżarni.

- Honorio.

Wzdrygnęła się, słysząc głos męża.

- Milordzie.

- Musimy porozmawiać.

-Tak.

- Ale może nie tutaj. - Rozejrzał się po wielkiej sali; na kominku nie palił się ogień.

- To miejsce jest tak samo dobre, jak każde inne, milordzie.

- Musiała stawić mu czoło, wytłumaczyć, dlaczego trzymała go pod kluczem, kiedy wroga armia stała u bram. Wołała to zrobić w tej mrocznej, nieprzytulnej sali niż w zaciszu komnaty na wieży czy sypialni.

- Jak sobie życzysz. - Dostrzegł ranę na jej dłoni i nadgarstku.

- Twoje ręce... - Odruchowo chciał jej dotknąć, ale szybko się cofnęła, ukrywając oparzoną rękę w fałdach spódnicy.

- To nic poważnego.

-Boli?

-Nie.

Nie uwierzył jej, ale nie chciał wszczynać sporu. Wolał przejść od razu do rzeczy.

- Powinienem ci powiedzieć, że teraz już rozumiem, dlaczego mnie zamknęłaś. Żałuję, że cię oskarżyłem.

- Zatem rozmawiałeś z Foxtone.

Nie uszło jego uwagi, że zignorowała przeprosiny.

- Nie, Foxton cię nie wydał. Priam i Joshua przywieźli wieści o planowanym odwołaniu Vavasoura... i od Mary też usłyszałem co nieco.

- Rozumiem.

- Może uważałaś, że tak będzie najlepiej - rzekł wyraźnie ugodowym tonem.

- Tak uważałam. To była moja decyzja i obciąża tylko moje sumienie.

Nawet nie próbowała się usprawiedliwić, co z powrotem wzbudziło gniew Francisa, mimo że starał się nad sobą panować.

- Jeśli jeszcze raz dopuścisz się czegoś podobnego, Honorio, to...

- To co zrobisz? Uderzysz mnie? Każesz mi zamieszkać w zrujnowanym Wigmore? A może zamkniesz mnie w kaplicy? To chyba byłaby najodpowiedniejsza kara.

- Każda z nich byłaby właściwa. Co, u licha, kazało ci sądzić, że Vavasour się wycofa?

- Lady Scudamore powiadomiła mnie w liście, że generał Waller maszeruje na Gloucester. A Hedges twierdził, że siły wspierające parlament odniosły zwycięstwo. Zanosilo się na to, że Vavasour zostanie odwołany, żeby bronić Hereford. Część kawalerii już odjechała.

- Kim, u diabła, jest Hedges?  
- Twoim łowczym.  
- Aha, więc na podstawie drobnych ruchów wojsk, kobiecych plotek i informacji wywiadowczych łowczego postanowiłaś zamknąć mnie w kaplicy.

-Tak.

-Jak mogłaś! Chciałaś zrobić ze mnie babę, Honorio? Czy przyszło ci do głowy, że nie chciałbym wyjść na głupca w oczach mojego garnizonu?

- Nie. - Popatrzyła na niego z wyraźnym lękiem. - Nie to było moim zamiarem.

- Ale niewiele cię obchodził mój honor, moja godność.

Wiedziała, że w obliczu takiego zarzutu musi powiedzieć całą prawdę.

- Gdybym się zastanawiała nad honorem i godnością, uznalabym je za mniej ważne od twojego życia. Może w twoich oczach to grzech. Uznałam, że rojaliści nie zaatakują, bo nie wypada im stosować przemocy wobec kobiety. Jednak gdyby wiedzieli, że tu jesteś, sytuacja wyglądałaby inaczej. Zdawałam sobie sprawę, że nie zgodzisz się trzymać na uboczu, tak żeby się nie dowiedzieli o twojej obecności, choćby przez parę dni. Zacząłeś snuć plany z sierżantem Drew, gdy tylko wszedłeś przez furtkę.

Francis milczał.

- Nie wolno ci obwiniać Foxtona. Ja ponoszę całą odpowiedzialność. Namówiłam go na ten krok.

- Wiem.

- Więc go nie ukarzesz?

- Przypuszczałaś, że wyrzucę go po latach wiernej służby



u Bramptonów? Dlatego, że moja żona przekonała go do głupiego pomysłu?

- Raczej nie - odparła, a po chwili dodała: - Katherine nigdy by tego nie zrobiła, prawda? Nigdy by cię nie skompromitowała przed poddanymi.

- Oczywiście, że nie. Ale co to ma do rzeczy?

- Domyślałam się, że była posłuszną, oddaną żoną.

- Honorio...

- Przykro mi, że nie spełniam twoich oczekiwań.

- Nigdy nie powiedziałem, że nie spełniasz.

- Podejrzewałeś, że chcę cię wydać Vavasourowi.

- Powiedziałem to w gniewie.

- Źle oceniłam sytuację i podjęłam błędną decyzję. Przepraszam. Postaram się na przyszłość być posłuszną żoną, dbającą o twój honor i godność. Postaram się... - Głos jej się załamał. - A teraz, jeśli pozwolisz... trochę mnie boli głowa.

Honorcia chciała odejść, ale Francis zastąpił jej drogę.

- Nie możemy tego tak zostawić - zaproponował, wiedząc, że jeśli tak się rozstana, przepaść między nimi się pogłębi.

- Co możemy sobie powiedzieć, żeby poprawić sytuację?

- spytała żałośnie Honorcia, unikając wzroku męża. - Proszę, pozwól mi odejść.

- Sądziłem, że doszliśmy do porozumienia w Wigmore.

- Ja też tak myślałam.

- Zostań jeszcze przez chwilę. Tak naprawdę nigdy nie wierzyłem, że mogłabyś mnie wydać. - Wyciągnął do niej rękę.

Honorcia patrzyła na silną i zręczną mężowską dłoń, przełykając łzy.

- Teraz tak mówisz. Ale już zawsze będziesz się zastana-

wiał, prawda? Nigdy nie będziesz pewny, czy zasady, w duchu których zostałam wychowana, nie okażą się silniejsze niż moja lojalność wobec męża. - Wymijając Francisa, weszła na schody.

- Honorio... byłem dziś z siebie dumny. - Czepiał się ostatniej szansy. - Wykazałaś się wielką odwagą.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Łzy płynęły jej po policzkach.

Nie mogli budować związku i wspólnego życia na nieporozumieniach i braku zaufania. Francis zdawał sobie z tego sprawę.

Honorio przeżyła zerwane zaręczyny i nieudane małżeństwo. Edward ją upokorzył, winił ją za własne niedoskonałości. A teraz on w swym zaślepieniu oskarżył ją o oszustwo i zdradę. Nic dziwnego, że czuła się samotna i niechciana. Do tego jeszcze wyobrażała sobie, że on wciąż oplakuje Katherine. Bardzo kochał Katherine, ale zamknął tamten rozdział życia. Uświadomił sobie, że musi postępować z Honorią bardzo ostrożnie, bo inaczej napyta sobie biedy.

Honorio miała świadomość, że Francis z daleka ją obserwuje. Rzadko wchodzili sobie w drogę, a jeśli już, to rozmawiali tylko o bieżących sprawach. Od czasu spotkania w wielkiej sali nie poruszali osobistych tematów.

W pewnym momencie tak bardzo zapragnęła odetchnąć w odosobnieniu, że schroniła się w niewielkim ogrodzie usytuowanym pomiędzy starą twierdzą a zewnętrznym murem. Poprzedni mieszkańcy Brampton Percy przycinali żywopłoty,

sadzili pachnące krzewy i wytuczali alejki, ale teraz to miejsce było zapuszczone i odludne. Jednak Honorii wcale to nie przeszkadzało. Otuliła się peleryną z futrzanym podbiciem i nasunęła na głowę kaptur. Wzięła ze sobą Morrighan i Setantę, któremu na wszelki wypadek przywiązała do obroży sznurek.

Wiedziała, że tu Francis nie będzie jej szukał.

Przez chwilę stała nieruchomo. Powietrze było tak mroźne, że aż szczypało ją w płucach, a oddech stawał się obłoczkiem pary. Przymknęła oczy, napawając się panującym wokół spokojem i ciszą; nawet Setanta grzecznie dreptał przy nodze.

Nagle Morrighan zaszczekała i skoczyła w stronę krzewów. Wyskoczył zza nich przestraszony chłopiec. Honorio uśmiechnęła się na jego widok.

- Kim jesteś? Podejdź tutaj.

Chłopiec, najwyżej dwunastoletni, cofnął się, nie spuszczając oka z Morrighan.

- Nie robię nic złego, milady. - Dziecięcy głos drżał z niepewności.

- Chodź tu, niech ci się przyjrę.

- Boję się psa. Proszę go zawołać. - Cofnął się, jakby miał zaraz dać nura w zarośla.

Honorio pstryknęła palcami i Morrighan posłusznie wróciła do nogi.

- Jesteś Tom? Od kowala.

- Tak, milady. - Kiwnął głową. - A pani jest lady Mansell.

- Zgadza się. Co robisz w moim ogrodzie, Tom?

- Nic, milady. Mama powiedziała, że jak będę się jej plątał pod nogami, to zło mi skórę. Ma ciężką rękę i jest szybka.

- Wyobrażam sobie. - Przyjrzała się chłopcu: był chudy, miał ciemną czuprynę i pociągłą twarz.

- Pewnie nie masz co robić i męczy cię siedzenie w zamknięciu.

- Chciałbym być żołnierzem - wyznał, czując, że zostanie życzliwie wysłuchany, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko.

- Mógłbym walczyć i strzelać z pistoletu w czasie bitwy. Podo-  
bałoby mi się.

- Sprawdzałeś w stajniach, czy pan Stollers nie potrzebuje przypadkiem kogoś do pomocy?

- Kazał mi się trzymać z daleka. Mówi, że płoszę konie.

- Aha. A co zrobiłeś?

- Nic, milady. Tylko się tam kręciłem. - Zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym zapytał: - Mogę coś dla pa-  
ni zrobić?

- Tak. Chyba tak. Masz dużo energii?

- Tak, milady. - Wyprostował drobną sylwetkę. - Mogę bie-  
gać cały dzień, jak będzie trzeba.

- Mógłbyś wyprowadzać moje psy? Za długo przebywają  
w zamknięciu.

- Mogę, milady - powiedział trochę niepewnie.

- Nie ma co się ich bać. Są duże, ale łagodne.

Tom nadal nie wydawał się przekonany, ale duma nie po-  
zwoliła mu okazać strachu.

- Proszę. - Honoria podała mu sznurek. - Pobiegnij z nimi.  
Rzucaj im patyki. Rób cokolwiek, żeby się poruszały, a ja so-  
bie siądę i odpocznę.

Usiadła na kamiennej ławce pod osłoną muru i patrzyła,  
jak chłopiec ugania się z rozbawionymi psami, coraz pewniej-

szy siebie, z zaróżowionymi policzkami. Zamknęła oczy, wystawiając twarz do słońca.

Od wczesnego rana lord Mansell, wraz z Priamem Davie-  
sem i sierżantem Drew, sprawdzał stan uzbrojenia. Zostało  
im niewiele prochu i kul. Jak powinni rozwiązać ten prob-  
lem? Priam sugerował, że gdyby zdarli ołów z dachów, mog-  
liby sami odlewać kule. Wiele zamkowych komnat byłoby  
narażonych na zamknięcie podczas deszczu, ale w ten spo-  
sób mogliby zwiększyć swoją siłę ognia, a tym samym szanse  
na przetrwanie. Postanowili zacząć jeszcze tego popołudnia.  
Potem koniuszy Sollers chciał omówić z lordem Mansellem  
sprawę paszy dla koni. Wkrótce czekała ich wyprawa po nie-  
zbędne zapasy. Brakowało też drewna na opał. Na szczęście  
pozostało jeszcze trochę jedzenia, ale musieli znacznie ogra-  
niczyć racje.

W końcu Francis miał trochę czasu, żeby poszukać żo-  
ny, tyle że nigdzie nie mógł jej znaleźć. Wiedział, że umyśl-  
nie stara się trzymać od niego z daleka. Wszystkie jego próby  
naprawienia ich wzajemnych stosunków spełzały na niczym.  
Brakowało im czasu i okazji, by w spokoju porozmawiać, bo  
wiecznie jakieś sprawy wymagały jego lub Honorii uwagi. Wi-  
dział, jak pomagała doktorowi Wrightowi opatrywać złamaną  
rękę, ukrecała łby dwóm nieszczęsnym kurczakom, ratowała  
malca, bawiącego się na niebezpiecznym rumowisku.

Przyszło mu do głowy, że może ją znaleźć na blankach, za-  
czął więc wchodzić po zewnętrznych schodach na mury, kie-  
dy z dołu dobiegł go hałas. Ogród przy twierdzy! Pośpiesznie  
ruszył w tamtą stronę.

Najpierw usłyszał ostrzegawcze słowa Honorii, a potem dziecięcy głos, którego nie rozpoznał. Zaraz po nich rozległo się ujadanie Morrighan i poszczekiwanie szczeniaka. Wreszcie pisk Honorii, jeden, potem drugi, głośniejszy. Francis szybko zbiegł po stopniach, zaniepokojony, z dłonią na rękojeści szpady.

Zobaczył, że szczeniak biega wokół krzewów ścigany przez ciemnowłosego chłopca, któremu udało się chwycić psa za obrozę, ale nie powstrzymać; silny zwierzak pociągnął go za sobą, wywracając na ziemię. Honoria rzuciła się na pomoc, lecz zaplątała się w poły peleryny, a do tego luźny sznurek, zwisający z obroży Setanty, owinał jej się wokół kostek.

- Proszę uważać, milady. Nie mogę go utrzymać.

Za późno. Sznurek naciągnął się i Honoria upadła na zmrożoną trawę. Kaptur zsunął jej się z głowy, spinki wypadły z włosów, gęste fałdy spódnicy i peleryny krępowały ruchy. Szczeniak, skacząc, lizał ją po rękach i twarzy. Ze śmiechem, bezskutecznie próbowała go odgonić. Francis przyglądał jej się z ukrycia. Z rozwichrzonymi włosami, z rumieńcami na twarzy, zaśmiewała się dźwięcznie i beztrosko. Sprawiała wrażenie niewiele starszej od chłopca, który, także rozbawiony, usiłował zapanować nad rozdokazywanym szczeniakiem.

Francis patrzył z zachwytem; również w oczach chłopca widać było uwielbienie i podziw dla milady.

- Zabierz go, Tom! Przestań się śmiać i pomóż mi. Co mnie opętało, że dałam się wciągnąć w tę zwariowaną zabawę? Uciekaj ode mnie, ty nieznośne zwierzę! Ty też nie jesteś lepsza!  
- Próbowała się opędzić przed czułościami Morrighan.

- Może ja mógłbym pomóc, milady.

Francis wkroczył do akcji, z łatwością zapanował nad psami i podał rękę żonie, pomagając jej podnieść się z ziemi.

- Jesteś Tom, tak? - zwrócił się do chłopca.
- Tak, milordzie. - Chłopiec od razu spoważniał.
- Widzę, że lubisz zwierzęta.
- Tak, milordzie.

- Dobrze, Tom. Zatrudniam cię. Odtąd jesteś opiekunem mojej psiarni. Pilnuj, żeby nie przeszkadzały i codziennie je wyprowadzaj. - Pochylił się, żeby podrapać za uchem szczeniaka, który miotał się u jego stóp, coraz mocniej oplątując wokół siebie sznurek. - Zgadzasz się?

- Tak jest, milordzie. Mam je zabrać do stajni?
- Doskonały pomysł. Zmykaj.

Tom w podskokach wybiegł z ogrodu, dumny ze swej nowej posady, za nim pobiegł radośnie Setanta, a na końcu, już stateczniejszym krokiem, podążyła Morrighan.

Francis odwrócił się do Honorii.

- To go powinno zająć i powstrzymać od psot. Milady, cóż za brak dostojenstwa!

Honorcia zachichotała, odgarniając z czoła niesforny kosmyk.

- Chwilowe zapomnienie się. Drobne nieporozumienie z psem i sznurkiem.

- Widziałem. - Pomógł jej otrzepać szron z peleryny i ujął jej dłonie w swoje. - Masz zimne ręce.

- Cała jestem zmarznięta. - Uśmiech zamarł jej na ustach, zesztyniała.

- Pozwól, żebym cię rozgrzał. - Wziął ją w ramiona, nie zważając na jej lekki opór. Nadal miała zaróżowione

policzki, błyszczące oczy i cień wcześniejszego rozbawienia na twarzy.

- Jesteś śliczna.

- Jestem potargana i mokra. Szron zaczyna się topić. - Zażmiała się, tym razem nerwowo.

Nie zamierzał pozwolić jej uciec. Ujął jej twarz w dłoń i pocałował w usta. Kiedy napał na jej wargi, pogłębiając pocałunek, odpowiedziała gorliwie. Gdy przerwał pocałunek, znów poczuła się nieswojo.

- Milordzie... - Próbowała się od niego odsunąć.

- Nie ruszaj się, Honorio. - Francis westchnął, opierając się czołem o jej czoło i rozkoszując się chwilą bliskości.

- Nikt cię nie kochał? - spytał miękko.

Wyczuł jej nagłe napięcie.

- Sir Robert i lady Denham bardzo się o mnie troszczyli.

Przecież wiesz...

- Nie chodzi mi o troskliwość. Chodzi o miłość.

- Nie... nie wiem. Może nie wzbudzam takiego uczucia.

- Nie wolno ci myśleć, że nie zasługujesz na miłość.

- Ale wszystko na to wskazuje.

- Chyba muszę ci udowodnić, że jest inaczej. Honorio... spójrz na mnie.

Kiedy uniosła głowę, pocałował ją w czoło między brwiami, potem kolejno w skronie, wreszcie w usta.

- Proszę. A to na co wskazuje?

- Na to, że jesteś oszołomiony. Całujesz mnie podczas oblężenia, gdy w każdej chwili może nastąpić atak...

Już miał zaprotestować, gdy nagle kula uderzyła o mur, więc tylko chwycił Honorię za rękę i pociągnął za sobą.



- Chodźmy stąd. Na razie przyjmijmy, że z moją głową nie wszystko w porządku, ale kiedyś uda nam się dokończyć tę rozmowę.

- Tylko popatrz! Wszystko moknie, woda leje się po ścianie! A moje gobeliny?!

Mansell słyszał podniesione kobiece głosy dochodzące z komnaty na wieży. Dobrze wiedział, o co chodzi, i kto zostanie oskarżony.

- Tchórz od razu by uciekł. - Joshua Hopton zerknął na schody prowadzące z wielkiej sali na piętro zamku. - Tchórz by uznał, że natychmiast musi sprawdzić, co się dzieje na linii obrony.

- W odległym północno-zachodnim narożniku muru - dodał Priam Davies.

Mansell uniósł brwi, widząc, że kapitan uśmiecha się pod nosem.

- Czyżbyście obaj sugerowali, że powinienem się zachować jak tchórz? Porzucić myśl o małżeńskich powinnościach i uciec?

- Nigdy, chłopcze! Chyba jestem potrzebny gdzie indziej - odparł kapitan Davies.

Mansell z westchnieniem skierował się ku schodom.

- Zatem w obliczu waszej zdrady sam odegram bohatera.

- Będziemy się trzymać w bezpiecznej odległości, Francis. Chyba słyszę dźwięczny głosik mojej siostry. Na szczęście mamy piwo, żeby sobie osłodzić twoją nieobecność. - Po tych słowach Josh z Priamem pośpiesznie wyszli, zanosząc się śmiechem.

W drzwiach komnaty musiał się zatrzymać, żeby przepuścić Mary, której mina zwiastowała kłopoty.

- Powiedz Foxtonowi, że potrzebujemy wiader i ścierek oraz kogoś, kto by nam pomógł.

Honorio stała z rękami wspartymi na biodrach, oceniając rozmiary zniszczenia.

- Deszcz wpada do środka - odezwała się złowieszczo spokojnym tonem. Mansell spojrzął na nią z respektem i pozostał w progu, nie próbując się zbliżyć.

-Tak.

- Czy w całym zamku jest choć jedno suche pomieszczenie?

-Ja...

- Mogę znieść niszczycielskie działania wroga, jako nieuniknioną konieczność; wiem, że moździerz wyrządził ogromne szkody. Jednak kiedy własny mąż zdziera ołowiane poszycie z dachu... Tylko popatrz. Moja sypialnia wygląda niewiele lepiej. Pokoje od wschodniej strony toną w deszczówce. W kuchni co krok stoi wiadro...

- Honorio...

- Dotąd przynajmniej tutaj można było spokojnie usiąść, uciec od tej ruiny dokoła, ale teraz... - Uniosła ręce w geście bezsilnej rozpacz.

- Potrzebowaliśmy kul. Wiesz, że nie było wyboru.

- Wiem, ale to wcale nie znaczy, że rezultat musi mi się podobać!

Rozległ się strzał z kolubryny, zaraz po nim drugi. Oboje czekali na huk rozbijanego kamienia.

Nagle instynkt przetrwania kazał Mansellowi pociąg-

nąć Honorię na ziemię i nakryć ją swoim ciałem na moment przed tym, nim kula wpadła przez okno, zasypując ich oboje ostrymi odłamkami kamienia i szkła, by na koniec wbić się w piękny dębowy kredens.

Honorcia, przygnieciona do podłogi, poczuła, jak Francis tężeje, i pomyślała, że został trafiony.

- Francis?

- Nie ruszaj się jeszcze.

Leżała więc nieruchomo, a woda z kałuży wsiąkała jej w ubranie.

- Jesteś ranny?

- Nie. Wielki kawał kredensu omal nie dokonał tego, o co każdego wieczoru modli się Fitzwilliam Coningsby, ale nic poza tym. - Usiadł ostrożnie, nie wypuszczając Honoru z objęć. - A ty jesteś cała?

-Tak.

Pokiwał głową zadowolony, puścił ją i zaczął sobie rozcierać ramię. Cisza, jaka nagle wokół nich zapadła, kontrastowała z widokiem pokoju. Podłoga wyglądała jak pobojuwisko, w powietrzu unosił się kurz, a gobeliny, nad którymi dopiero co lamentowała Honorcia, bezwładnie kołysały się w podmuchach wpadających przez wybite okno. Francis zaczął się podnosić, ale powstrzymał go ostry krzyk żony.

-O nie!

- Co to jest? Nigdy bym się nie spodziewał, że przypadkowy strzał może spowodować tyle zniszczenia, ale... - Nagle zobaczył, że ramiona żony zaczynają drżeć. - Na pewno nic ci nie jest?

- Moje szkło. Moje piękne weneckie szkło. Och, Francis!

Tylko popatrz. - Podniosła pozostałość po delikatnie zdobionym kieliszku.

- Honorio, to tylko szkło. Nie płacz. - Wyciągnął rękę, żeby zetrzeć łzę z jej policzka.

- To nie jest zwykłe szkło. - Odłożyła szklane okruchy i otarła twarz rękawem. - Muszę pójść sprawdzić, czy pani Morgan i dziewczętom nic się nie stało - powiedziała, nakazując sobie w duchu, że nie będzie płakać.

Nie pomogło. Zakrywając dłońmi twarz, wybuchnęła rozdzierającym szlochem.

- Chodź tu. - Francis przygarnął ją do siebie i trzymał, gładząc delikatnie po ramionach i plecach. - Kupię ci nowe. Nie płacz.

- Tylko to miałam - zawodziła z głową na jego piersi. - Przywiozłam je z sobą, kiedy tu przyjechałam jako narzeczona. A teraz już ich nie ma.

- Już dobrze.

W drzwiach stanęła Mary, zaalarmowana płaczem, lecz widząc Honorię w ramionach męża, wycofała się dyplomatycznie bez słowa.

Honorio w końcu się uspokoiła.

- Przepraszam - szepnęła zmieszana.

- Jak to jest, droga żono, że wytrzymujesz obłęzenie, wykazując się siłą i odwagą, a szlochasz nad paroma stłuczonymi kieliszkami?

- Były bardzo ładne i należały do mnie. Przywiozłam je z sobą, kiedy wychodziłam za Edwarda.

- Przecież to tylko rzeczy. A ty, co dla mnie znacznie ważniejsze, jesteś bezpieczna.

- Uratowałeś mi życie, Francis. Gdybyś mnie nie pociągnął na podłogę, ten strzał... - Urwała, uświadamiając sobie z opóźnieniem groźbę sytuacji.

- Chodź ze mną.

- Dokąd?

- Jesteś zziębnięta i mokra. - Pociągnął ją za sobą korytarzem, zadowolony, że się nie sprzeciwiła.

- Mansell! - Na szczycie schodów ukazał się Priam Davies, ze szpadą w jednej ręce i jakimś dokumentem w drugiej.

- Henry Lingen domaga się pertraktacji, przysłał list. Przyjdiesz?

- Nie, nie przyjdę.

-Ale...

- Chcę porozmawiać na osobności z żoną. Przeczytaj ten list, Priam, i powiedz Lingenowi, że się zastanowię i dam mu znać jutro rano. Wątpię zresztą, by to miało wiele zmienić w obecnym stanie rzeczy.

- Świetnie. - Surowa mina Priama mówiła sama za siebie. - Mam cię informować, gdyby sytuacja stała się napięta?

- Informuj, ale tylko wtedy, gdy sam nie będziesz umiał sobie poradzić.

Znaleźli się w sypialni Francis'a.

- Dlaczego zamykasz drzwi na klucz? - Honoria przyglądała się mężowi z wyrazem zdziwienia w oczach.

- Dlatego, że gdyby się rozniosło, że jest tu sucho i ciepło, inni by tu przyszli - wyjaśnił - a ja nie chcę, żeby nam ktoś przeszkadzał. Zdejmij ubranie. Jesteś przemoczona do suchej nitki... ja zresztą też.

Honorina zaczęła zdrętwiałymi palcami rozwiązywać wstążki i tasiemki, które nie wiedzieć czemu pozaciągały się w węzły. Widząc, że ma trudności, Francis podszedł i bez słowa pomógł jej ściągnąć suknię, a potem wyjął jej spinki z włosów. Gęste pukle spłynęły na ramiona. Następnie, nie zważając na pomruk protestu, zdjął z niej także koszulę, ułożył żonę na łóżku, po czym sam się rozebrał i dołączył do niej w pościeli.

Bezwiednie westchnęła, czując przyjemne ciepło bijące od jego ciała.

- Honorina to piękne imię, a ty nosisz je z wyjątkowym wdziękiem. Moja wcześniejsza uwaga była niewybaczalną obelgą.

- Nieważne - powiedziała cicho, unikając jego wzroku.

- Ważne. Myliłem się. Chcę, żebyś się znów do mnie uśmiechała, tak jak w Wigmore.

- Jesteś bardzo łaskawy, milordzie.

Francis wyczuł napięcie żony, wiedział, że się od niego odsunie, jeśli jej na to pozwoli.

- Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam. Stawiłaś czoło Hertfordowi i Vavasourowi z wielkim męstwem. Podziwiam cię i... - Urwał, czując nagłą suchość w ustach. Czyżby był o krok od wyznania, że ją kocha? Na pewno nie. A jednak... Nie, nie czas był na to pośród bitewnej zawieruchy. Starannie dobierał słowa, mając nadzieję, że nie zauważyła jego wahania. - Wolno ci okazywać słabość i szukać wsparcia. Będę się cieszył, jeśli tego wsparcia będziesz szukała u mnie.

-Ale ja nie...

- Poza tym, milady, ostrzegam, że skoro mam cię już w swoim łóżku, zamierzam to wykorzystać. Sądziś, że mogę?

Chciała ukryć twarz w zagłębieniu jego ramienia, ale jej na to nie pozwolił.

- Nie, nie chowaj się. Spójrz na mnie. Nie zrobię ci krzywdy - obiecał, patrząc jej w oczy. - Nie zrobię niczego przeciwko tobie. Rozumiesz?

-Tak.

- Zamierzam cię posiąść i dać ci rozkosz, zanim deszcz przecieknie przez sufit albo kolejna kula wpadnie przez okno lub ktoś załomocze do drzwi. Wiem, że to będzie cud, jak nam się uda, ale spróbujemy. - Ucieszył się, widząc, że Honoria się uśmiecha.

Naparł wargami na jej usta, namiętnie i zaborczo zarazem. Wyczuwając jego podniecenie, była pewna, że zaraz się połączy, jak w Wigmore, ale tak się nie stało.

Posługując się dłońmi, ustami i językiem zawładnął jej zmysłami. Zręczność i nieustępliwość Francisca sprawiła, że poczuła się cudownie bezwolna. Wygięła ciało w łuk, ale nie po to, by go od siebie odpychać. Kiedy pieścił brodawkę jej piersi, jednocześnie odnajdując wrażliwe miejsce między udami, krzyknęła zaskoczona falą nieznaną dotąd, narastającej przyjemności.

- Spójrz na mnie. Nie zamykaj oczu.

- To jest silniejsze ode mnie, Francis - wyszeptwała, patrząc na niego wzrokiem zamglonym rozkoszą i lękiem.

- Nie opieraj się, Honorio. Nie myśl. Po prostu czuj.

- To za wiele... to mnie przeraża...

- Będę cię mocno trzymał. - Pieścił ją coraz gwałtowniej, dopóki nie poczuł, jak jej siało napina się, a potem zaczyna drżeć.

Osiągnął to, co zamierzał. Pełne zwycięstwo. Widział emocje malujące się na jej twarzy, a kiedy wydała z siebie krzyk rozkoszy, zamknął jej usta pocałunkiem.

- No i jak, milady?

-Ja...

- Założę się, że wreszcie uciekłaś od ponurych wspomnień o Edwardzie.

- Było cudownie.

- Jestem zaszczyczony, milady.

- Czy... zawsze tak jest? - spytała nieśmiało.

- Może być - odpowiedział ostrożnie. Za nic by się nie przyznał, że zaskoczyła go gwałtownością swojej reakcji. - A teraz czego byś sobie życzyła, milady?

- Nie śmiem powiedzieć.

- Powiedz.

- Chciałabym, żebyś się ze mną kochał tak jak w Wigmore... Czy ja naprawdę to powiedziałam?

- Jak najbardziej, milady. - Ułożył ją pod sobą. - Skoro prosisz... i skoro jesteśmy zgodni, pokażę ci, jak wielką masz nade mną władzę.

Szybko dopasowała się do jego rytmu, poddając się harmonijnie ruchom jego ciała. Kiedy znów wstrząsnął nią dreszcz rozkoszy, odkryła, że i Francis może być tak samo jak ona bezradny wobec siły pożądania. Oczy zaszyły jej łzami.

- Francis. Francis...

Osiągnął spełnienie z jej imieniem na ustach.

Później, kiedy powoli odyskiwali normalny rytm oddechu, spojrzął na żonę i przestraszył się, że uczucia do niej nag-



le wymykają mu się spod kontroli. I że bez wątplenia jego ciało domaga się, by znów ją posiadał.

- Przyjmiesz mnie jeszcze raz, milady? - Czekał na odpowiedź, muskając wargami gładką skórę na jej ramieniu.

Honorio nie miała nic przeciwko temu, by powtórzyły się cudowne doznania. Przeciągnęła się leniwie, przywierając do niego biodrami.

- O tak, milordzie.

Wstrzymał oddech, kiedy powiodła koniuszkami palców od jego piersi do napiętych mięśni brzucha. Gdzie ona się tego nauczyła?

Po wystraszonej dziewicy, która trzymała się go kurczowo i płakała z upokorzenia, nie zostało ani śladu. Był zdumiony przemianą, jaka w niej zaszła.

- Jesteś moja, Honorio, moja na zawsze. Masz nade mną władzę, o jakiej mi się nawet nie śniło. Nie poznałaś jeszcze nawet jej połowy.

Zagłębił się w niej, wiedząc już, że ją kocha.

## Rozdział trzynasty

List Henry'ego Lingena z propozycją negocjacji nie zawierał niczego nowego. Gdyby Mansell odmówił poddania się, Lingen nie mógłby gwarantować bezpieczeństwa mieszkańcom zamku w razie zwycięstwa. Poddanie zamku nie wchodziło w grę i oblężenie trwało. Dni przechodziły w tygodnie. Skądś dotarły pogłoski, że sir Thomas Fairfax pomaszeruje z wojskiem do Gloucester, żeby dołączyć do Wallera i ugruntować wpływy parlamentu na zachodzie, ale trudno było oddzielić fakty od pobożnych życzeń.

Wkrótce, zarówno dla tych w środku, jak i tych na zewnątrz murów, stało się jasne, że Brampton Percy nie utrzyma się długo. Wprawdzie nie brakowało wody, ale zapasy żywności były na ukończeniu. Zarżnięto ostatnią krowę i barana, nie mówiąc już o kurach, a nocne wyprawy po okolicy stały się zbyt niebezpieczne. Zresztą i tak nie było już czego kraść, bo rojaliści ogołocili teren do cna. Brakowało drewna na opał, ponieważ drzewa z parku już dawno wycięto i spalona Kolubryny nieprzerwanie ostrzeliwały mury. Niewiele komnat nadawało się jeszcze do zamieszkania, a jeden odci-

nek zewnętrznych murów był poważnie naruszony. Według doniesień kapitana Daviesa, przy wschodnim narożniku widniały szczeliny szerokie na pięść, a wejście na blanki groziło poważnym ryzykiem.

Mieszkańcy zamku, wszyscy bez wyjątku, chodzili bladzi i słabi na skutek braku snu, nieodpowiedniego odżywiania i ciągłego lęku o życie.

Kiedy Francis wezwał Honorię do kancelarii, od razu domyśliła się, o co mu chodzi. Usiedli naprzeciw siebie po dwóch stronach szerokiego stołu.

- To już koniec. - Ujrzała na twarzy męża rezygnację i smutek. Wokół ust miał głębokie bruzdy. Serce wezbrało jej miłością i troską, ale nie pozwoliła sobie na okazanie uczuć. - Nie mogę dłużej zapewnić bezpieczeństwa ludziom w zamku.

- Wiem. - Wyciągnęła rękę nad stołem, żeby ucisnąć jego dłoń w wyrazie wsparcia.

- Czas, żebyś wyjechała.

- Nie! - Cofnęła rękę. Nie tego się spodziewała. Nie po tym wszystkim, co razem przeszli. - Nie wyjadę...

- Posłuchaj mnie...

- Nie! - Poderwała się z miejsca i okrzyła stół, jakby z bliska miał jej powiedzieć coś innego. - Nie zostawię cię. Będziemy razem, niezależnie od tego, czym to się skończy.

- Nie. - Znów chwycił jej rękę, wzruszony dowodem oddania. - Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna - rzekł łagodnie - i że nie będziesz cierpieć z powodu kroków, do jakich mogą być zmuszony. - Objął ją i przytulił. - Chcę, żebyś wzięła odpowiedzialność za naszych dzierzawców.

Specjalnie użył tego argumentu, wiedząc, że Honoria go nie zlekceważy.

- Dobrze więc. - Lekki uśmiezek świadczył o tym, że przejrzała jego taktykę. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Musisz pojechać do Ludlow...

- Uciec przez tylną furtkę w nocy?

- Nie. Wynegocjuję z Lingenem twoje uwolnienie. - Pogłaskał ją po włosach. - Nie odmówi. Weź z sobą Mary, panią Morgan, doktora Wrighta i panią Dorothy, a także Foxtona, jeśli się zgodzi, oraz wszystkich dzierżawców z Brampton Percy, którzy zechcą ci towarzyszyć. Podróż będzie łatwa i bezpieczna. Jedź do Ludlow i czekaj tam na mnie.

- A co ty zrobisz? - Zaciśnęła palce na jego dłoni.

- Zostanę tak długo, jak się da, a potem wyjdę na możliwie najlepszych warunkach, kiedy dalszy opór stanie się bezcelowy.

- Na co liczysz?

- Że pozwolą dzierżawcom wrócić do domów, choć nie wiem, w jakim stanie je zastaną. I na to, że puszcza wolno mnie i Priama. Poślę Josha z wami do Ludlow, jako dodatkową ochronę. Spodziewam się, że Lingen może nam dać wolność, jeśli będzie mógł bez rozlewu krwi przejąć zamek i oczywiście inne posiadłości Bramptonów w hrabstwie. Moja spuścizna w Herefordshire po Edwardzie nie trwała długo, prawda? Była krótka, ale za to burzliwa.

- A jeśli cię zatrzymają jako więźnia?

- Będziemy się zastanawiać, jeśli do tego dojdzie.

- Dobrze. Nie podoba mi się to, ale zgoda.

- Zatem jutro.

Skinęła głową, odwróciła się ku drzwiom.

- Dokąd idziesz?

- Wyciągnąć nasze srebra ze studni. Zabiorę je do Ludlow. Nie chcę, żeby wpadły w łapy Coningsby'ego i jemu podobnych.

- Podoba mi się twoja zapobiegliwość - pochwalił ze śmiechem.

Była już w progu, kiedy powstrzymały ją nieoczekiwane słowa Francisca; zapewne trudno je było wypowiedzieć mężczyźnie tak powściągliwemu z natury, jak on.

- Ja też nie chcę, żebyś wyjeżdżała, Honorio. Zrobiłbym wszystko, żeby cię tu zatrzymać. Będę za tobą bardzo tęsknił. Mogę się tylko pocieszać, że przynajmniej będziesz bezpieczna.

Poczekwała w milczeniu, aż do niej podejdzie i wtuliła się w jego ramiona. Po raz pierwszy wyznał jej, co czuje. Ale wciąż nie mogła być pewna, czy to miłość. To prawda, że najgorsze z ich ran zostały wyleczone, a pogodzenie się było słodsze, niż można by sobie wymarzyć. Chyba rzeczywiście cenił sobie jej towarzystwo, tak, tego była pewna. Może nawet uważał ją za dobrą żonę. Ale czy to była miłość? Co by jej przyszło z wyznania, że ona go kocha? Tylko zwiększyłoby ciężar, który musi dźwigać.

Kiedy pochylił się do jej ust, odwzajemniła pocałunek z gorliwością i żarem. Nie mogła mówić otwarcie o swojej miłości, ale też nie mogła go zostawić, nie okazując, jak bardzo go pragnie.

Niewielka grupa, która miała towarzyszyć lady Mansell do Ludlow, zebrała się wcześniej rano na dziedzińcu, zabierając

z sobą pozostałe przy życiu konie i dwa wozy bagażowe. Poza doktorem Wrightem, były tam same kobiety i dzieci. Henry Lingen, czując rychłe zwycięstwo, okazał wielkoduszność i pozwolił na opuszczenie zamku, ale stanowczo odmówił sir Joshui prawa do zapewnienia im ochrony w podróży. Uznał, że kobiety i dzieci owszem, mogą odjechać, ale mężczyźni zdolnemu do trzymania szpady nie należy się pobłażliwość.

Wraz z pierwszymi promieniami świtu przyszła pora, by się pożegnać. Honoria, siedząc na koniu, uśmiechnęła się do Francis; postanowiła za wszelką cenę zachować spokój, choćby ze względu na wystraszonych wieśniaków. Na koniec jednak wychyliła się z siodła i ucałowała męża w oba policzki, a potem dotknęła dłonią jego zaciśniętych warg, jakby chciała zatrzymać ich kształt na opuszkach palców.

- Niech Bóg ma cię w opiece, Francis.

- I ciebie także, maleńka. - Ucałował jej dłoń, a potem, podawszy jej rękawiczki i wodze, odsunął się na bok. Nie spuszczał jej z oczu, dopóki nie spięła konia i nie odjechała na czele grupy uchodźców.

Na szczęście rojalistom nie przyszło do głowy, żeby przeszukać wozy bagażowe, na których siedziało około dziesięciu kobiet i dzieci; w jednym były ukryte srebra wydobyte ze studni i szkło z Wigmore, jakimś cudem ocalałe w nienaruszonym stanie, a w drugim najważniejsze dokumenty dotyczące rodzinnego majątku. Nie mogły wpaść w ręce wroga, a w przyszłości, jak oznajmił Mansell, miały się przydać do udowodnienia prawa do posiadłości.

Uniesiono kratę, otwarto bramę. Henry Lingen obiecał wprawdzie bezpieczny przejazd, ale wszystkim udzieliło się

zdenerwowanie, nawet dzieci zachowywały się cicho. Morrighan z Setantą biegły tuż przy koniu Honorii.

Wojska rojalistów stały równymi rzędami, Lingen i jego oficerowie na przedzie. Honoria nie wiedziała, czego się spodziewać, ale jechała na czele konwoju, dumnie wyprostowana w siodle, z godnością przystającą pani Brampton Percy.

Skrecając na wschód do Ludlow, obejrzała się na postrzępiony mur barbakanu nad bramą. Wiedziała, że on tam jest. Mansell. Jej mąż. Jej miłość.

Stał bez uśmiechu, ze szpadą jej ojca w dłoni. Po jego ubraniu widać było trudy i niewygody długotrwałego oblężenia. Wiatr rozwiewał mu włosy. Honoria starała się nie myśleć o tym, że może go już nigdy nie zobaczyć. Chciało jej się płakać, ale wiedziała, że za nic nie może sobie pozwolić na słabość. Francis uniósł szpadę w geście salutu i pożegnania zarazem; słońce załśniło na klindze. W odpowiedzi skinęła głową i uniosła rękę.

Odwróciła głowę i zerknęła na linie wroga. Żołnierze stali na baczność, nie było słycać rozmów czy śmiechów. I nagle się zaczęło: najpierw jak cichy szelest rozchodzący się od szeregu do szeregu. Zaczęli klaskać, coraz głośniejsze, aż w końcu można było odnieść wrażenie, że rytmiczny odgłos odbija się echem od murów. Dopiero wtedy Honoria się zorientowała, że pozostali na miejscu mieszkańcy zamku, stojący na blankach, żeby patrzeć na jej odjazd, także przyłączyli się do owacji.

Ogarnęło ją wzruszenie. Uznali ją za dzielną, godną takiego uhonorowania, musiała więc sprostać wyzwaniu i po-

wstrzymać ciszę się do oczu lży. Skinęła głową Henry'emu Lingenowi i pospieszyła konia.

Modliła się, żeby Francisowi okazali tyle samo szacunku, co jej, kiedy zamek upadnie. Brała pod uwagę, że mąż zostanie uwięziony, ale nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby za swój upór zapłacić życiem.

Mansell patrzył z murów na odjazd żony i słuchał oklasków, jakimi ją żegnano. Był przepełniony dumą i miłością.

Ludlow, rozlokowane w cieniu murów wspaniałego zamku w Shropshire, okazało się oazą normalności. Nic nie wskazywało na to, że hrabstwo jest targane wojną domową.

Natychmiast otworzono dom Bramptonów dla niespodziewanych gości, zadbano o kobiety i dzieci, zapewniając je, że wrócą do siebie, kiedy tylko to będzie możliwe. Doktor Wright z żoną odjechali wśród podziękowań, żeby zamieszkać u krewnych w mieście. Mary także pośpieszyła do swojej rodziny, by przekazać niespokojnym rodzicom nowiny o bracie.

Honoria, oddawszy pani Morgan pieczę nad powiększonym o uchodźców gospodarstwem, usiadła wygodnie przed kominkiem, ciesząc się z szyb w oknach i szczelnego dachu nad głową. Żałowała jednak, że nie jest w Brampton Percy razem z Francisem.

Starając się choć na chwilę uwolnić od niepokoju o męża, z ochotą zabrała się za przeglądanie korespondencji. Listy zawierały niewiele nowych lub ważnych wiadomości. Lady Scudamore ostrzegła przed nieuniknionym oblężeniem, radząc Honorii, by uciekła z zamku jeszcze przed przybyciem Vavasouza. Honoria uśmiechnęła się z przekąsem, czytając te niewczes-



ne porady. Drugi list był od sir Williama Crofta, adresowany do lorda Mansella. Honoria otworzyła go bez wahania. I ten zawierał spóźnioną radę, by Francis wybrał się do Hereford i zapewnił Coningsby'ego o swych dobrych intencjach, co może zapobiec działaniom wymierzonym przeciwko Brampton Percy. Honoria ściągnęła usta. Mogła się założyć o swój naszyjnik z pereł, że gdyby nawet list dotarł na czas, Francis i tak cisnąłby go w ogień. Jednak dopiero krótka wiadomość od Eleanor Croft zrobiła na Honorii wrażenie. Poderwała się z miejsca i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju, kipiąc gniewem.

Lady Croft informowała ją mianowicie, że Fitzwilliam Coningsby pod nieobecność prawowitych właścicieli zajął Leintwardine Manor i zamieszkał tam, uznając posiadłość za zdobycz wojenną. Zawsze mu się podobała, jak twierdził.

Podobała mu się? Jak on śmiał! Leintwardine stanowiło osobisty majątek Honorii, nie należało do posiadłości Bramptonów. Nie miał prawa go zabierać. Nawet gdyby rojaliści zwyciężyli i dobra Mansella zostały skonfiskowane, jej wdowie dożywocie nie podlegało prawu konfiskaty.

Nie miał prawa!

Tym razem Honoria nie miała ochoty opłakiwać straty tak, jak roniła łzy nad sztuczonymi kieliszkami z weneckiego szkła. Cała aż się trzęsła ze złości; tej nocy długo nie mogła zasnąć.

Następnego ranka czytała po raz kolejny list od lady Croft, kiedy zaanonsowano nadejście Mary.

- Co się stało? Otrzymałaś złe wieści?
- Bardzo złe! - Honoria odłożyła list na stolik.

- Z Brampton Percy? - Mary pobladła, spodziewając się najgorszego.

- Nie, wybacz mi, Mary. Wejdz i usiądz. Nie pomyślałam... Nie ma powodów bać się o Joshuę ani o Francisa, na ile mi wiadomo.

- Dzięki Bogu. Zatem o co chodzi?

- O Fitzwilliama Coningsby'ego, niech go diabli porwą!

- Honorio!

Lady Mansell, nie przebierając w słowach, poinformowała Mary o niegodziwości gubernatora.

- Nie dość, że przedłużył oblężenie, sprowadzając moździerze, to jeszcze ograbił mnie z osobistego majątku. Spotkałaś kiedyś tego człowieka?

- Nie, nie wydaje mi się.

- A ja tak! Podły karzeł, którego nie interesuje nic poza własnym bogactwem i władzą. Współczuję jego biednej żonie, która musi znosić piskliwy głos i widok cienkich nóżek.

- Odwzajemniła uśmiech Mary. - Może to oszczerstwo, ale mi ulżyło. Napijmy się wina.

Zaczęły rozmawiać o nieobecny namiestniku, nie szczędząc mu najwymyślniejszych oskarżeń i obelg. Po drugim kieliszku, chichocząc, prześcigały się w złośliwościach pod jego adresem.

- Jak mam się go pozbyć z mojej posiadłości? - zastanawiała się na głos Honoria, bębniąc palcami o list lady Croft.

- Nie mam pojęcia.

- Co, twoim zdaniem, mogłoby skłonić takiego człowieka jak namiestnik do wyniesienia się z mojego domu?

- Chyba tylko zaraza. Obawiam się, że będziesz musiała się pogodzić ze stratą.

- Akurat!

- Zaraza? - Mary zmarszczyła nos.

Honorina porwała ją w objęcia.

- Dziękuję ci, najdroższa Mary, z całego serca.

- Za co?

- A gdyby tak Coningsby dowiedział się, że w Ludlow wybuchła zaraza i rozprzestrzenia się poza miasto w kierunku Leintwardine? Pozostawiając za sobą śmiertelne żniwo i powodując mnóstwo cierpień. Co, twoim zdaniem, Coningsby zrobiłby w takim wypadku?

- Chyba wrócił do Hereford. Najszybciej jak to możliwe.

- Świetnie.

- Ale w Ludlow nie panuje zaraza... - Uniesione kąciki ust świadczyły o tym, że Mary zaczyna czytać w myślach przyjaciółki.

- Ja to wiem, ty to wiesz, ale Coningsby nie wie i można go przekonać, że wybuchła epidemia, przed którą nie ma innej obrony jak ucieczka.

- Jak zamierzasz go o tym przekonać?

- Możemy dopilnować, żeby do Leintwardine dotarły listy. Najlepiej z różnych źródeł. Mógłby też zająrzeć tam posłaniec, żeby powiadomić mieszkańców o śmiertelnych wypadkach w Ludlow.

- A kiedy Coningsby ze swymi ludźmi wróci do Hereford?

- Ja wprowadzę się do Leintwardine. To proste. Mam do tej posiadłości prawny tytuł. Jeśli Coningsby znów będzie chciał mi odebrać dom, będzie do tego potrzebował wojska i armat

Nie dam się stamtąd łatwo usunąć. Potrzebujemy piór i papieru. Pomożesz mi napisać kilka listów. Czyj podpis twoim zdaniem powinnyśmy podrobić?

W ciągu dnia kilka listów zostało napisanych i wysłanych z Brampton House. Część do samego Fitzwilliama Coningsby'ego, jeden do zarządcy Leintwardine Manor, jeden do gospody „Pod Czerwonym Lwem” we wsi Leintwardine. Wszystkie bez wyjątku, choć zawierały różne treści, od zwykłych plotek po opis sytuacji na drogach, donosiły o wybuchu straszliwej zarazy. Lady Eleanor Croft byłaby zdziwiona, gdyby dowiedziała się, że przesłała ostrzegawczą wiadomość do namiestnika Hereford.

Tom, zachwycony swoją misją, po uprzednim szczegółowym przeszkoleniu, został wysłany z posłańcem, by po powrocie opowiedzieć Honorii, jaki oddźwięk wywołała starannie spreparowana plotka.

Mijał dzień za dniem bez żadnych wiadomości, a one czekały z coraz większą niecierpliwością. Nie miały gwarancji, że ich plan się powiedzie, że Coningsby zachowa się tak, jak sobie tego życzyły. Honoria powoli traciła nadzieję.

I nagle w progu stanął Tom, brudny i wygłodzony, ale podniecony sukcesem swej misji. Radośnie oświadczył, że w Leintwardine Manor zapanował okropny tumult. Namiestnik nie poddawał w wątpliwość ani samych plotek, ani ich źródeł. Przestraszony nie na żarty, postanowił wrócić do miasta wraz z swymi ludźmi, żeby przeczekać tam do bezpieczniejszych czasów. Tom na własne oczy widział, jak pakowano wozy.

- Nareszcie. - Honoria podarowała chłopcu dobrze zasłu-

żoną monetę. - Jadę do Leintwardine. Jeśli się pośpieszę, będę tam przed zmrokiem. Nie zostawię tego miejsca pustego nawet na jedną noc, bo jakiś inny rojalistyczny szkodnik może się tam zagnieździć.

- Jadę z tobą.

- Nie. To zbyt niebezpieczne, Mary. Twój ojciec nie pozwoli, żebym cię ciągała po okolicy bez ochrony.

- Skoro to takie niebezpieczne dla mnie, to dlaczego ty chcesz się narażać? Nie możesz tam jechać sama.

- Nie pojedę sama - zapewniła ją Honoria. - Wezmę jednego ze służących, żeby prowadził wóz, i może Toma. Muszę jechać zaraz, jak najszybciej! - Od razu skierowała się do kuchni, żeby wydać pani Morgan odpowiednie dyspozycje.

Mary zastąpiła jej drogę.

- Nie zniechęcisz mnie. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybyś pojechała sama i wpadła w tarapaty. Jakie nudne byłoby życie, gdybym cię nie poznała, droga Honorio.

- Ale za to bezpieczne! Nie będę udawać, że nie doceniam wsparcia, ale musisz zrozumieć, że równie dobrze obie możemy wpaść w tarapaty.

- Niech się dzieje, co chce. Będę pamiętać, żeby w razie czego rzucić na ciebie całą winę. - Mary, gotowa podążyć za przyjaciółką, nagle się zawahała i zapytała: - Jak sądzisz, co by powiedział twój mąż, gdyby wiedział, co zamierzasz?

- Francis o niczym nie wie i nie potrzebuje wiedzieć. Jeśli dopisze nam szczęście, będzie po wszystkim, zanim oblężenie dobiegnie końca.

- Pani Morgan. Miło panią widzieć.

Lord Mansell ściągnął rękawice, płaszcz i kapelusz, rzucając wszystko na krzesło. W drodze z Brampton Percy do Ludlow spotkała ich ulewa i przemokli do suchej nitki. Foxton, który wszedł do domu tuż za swoim chlebobdawcą, także z ulgą pozbył się mokrej wierzchniej odzieży.

-Milordzie. - Pani Morgan dygnęła, trochę zakłopotana. - Co za ulga widzieć waszą lordowska mość. Oblężenie się skończyło? Wszyscy się tu bardzo martwiliśmy. Mieliliśmy różne wiadomości od podróżnych, ale trudno było z nich coś wynioskować.

- Owszem. Brampton Percy w końcu padło pod ostrzałem dział. Wiedzieliśmy, że tak będzie. - Twarz Mansella wyrażała smutek i wielkie znużenie. - Obyło się jednak bez dalszego rozlewu krwi. Pani rodzina we wsi jest cała i zdrowa, ale ich dom wymaga gruntownej naprawy. - Patrząc na jego wyostrzone rysy, pani Morgan pomyślała, że musiał nie spać od wielu nocy. I z pewnością niewiele jadł.

- Wasza lordowska mość potrzebuje odpoczynku i posiłku. Żeby jechać w taką pogodę... Zaraz się wszystkim zajmujemy. - Otworzyła drzwi do salonu, gdzie na kominku buzował ogień.

- Dziękuję, pani Morgan. Zechce pani powiadomić lady Mansell, że przyjechałem. - Prawdę mówiąc, był rozczarowany, że Honoria jeszcze nie usłyszała o jego przybyciu i nie wyszła go powitać.

Pani Morgan wymieniła ukradkowe spojrzenie z Foxtonem. Widząc, że z tej strony nie może spodziewać się pomocy, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Milady nie ma, milordzie.

- Pewnie poszła z wizytą do Hoptonów? Muszę więc zaczekać na jej powrót. Zechce pani posłać...

- Nie, milordzie. Milady... nie ma w Ludlow.

- Nie ma jej w Ludlow? To gdzie jest? - Zesztywniał, wyczuwając zagrożenie. - Przecież dotarła tu bez przeszkód z Brampton Percy. Wiedziałbym, gdyby...

- Oczywiście, milordzie. - Pani Morgan starała się go uspokoić. - Wszyscy dotarliśmy tu bez przeszkód, łącznie z milady. Ma się dobrze, ale znów wyjechała. Dziś rano.

- Kiedy? Dokąd?

- Dziś... dziś rano, milordzie. - Przestraszona surowym spojrzeniem Mansella gospodyni zaczęła się jąkać. - Bardzo wcześnie. Z panną Hopton.

- Dokąd pojechała?

- Do Leintwardine Manor, milordzie. Były tam jakieś kłopoty, wymagające jej obecności. Zdaje się, że chodziło o namiestnika Hereford. Pewnie tam już dojechały, skoro nie minęliście się po drodze, milordzie. O ile burza im nie przeszkodziła, oczywiście. - Zamilkła pod jego lodowatym spojrzeniem.

- Do Leintwardine? Przecież Coningsby przejął posiadłość. To była jedyna wiadomość, jaką Henry Lingen łaskawie nam przekazał, kiedy pozwolił nam odejść wolno. Co ona wyprawia, jadąc do Leintwardine, prosto w pazury Coningsby'ego? W dodatku przy tak fatalnej pogodzie! - Spojrzał z wyrzutem na Foxtona, jakby to nieszczęsny zarządca był winien temu, że Honoria wybrała tak okropną pogodę na swą zwariowaną wyprawę.

Nagle powróciły dawne obawy. Krew zaczęła mu pulsować

w skroniach, żołądek skurczył się boleśnie. Dlaczego Honoria postanowiła odwiedzić namiestnika Hereford?

Nie mógł jej podejrzewać. Przecież całkowicie ufał żonie. Czyż nie dowiódł tego podczas oblężenia? I czy ona nie dowiodła mu wielokrotnie swojej lojalności? Nawet jeśli mylnie ocenił jej motywy, to nie była jej wina. Czyż nie uwierzył, że Honoria czuje do niego coś więcej niż tylko szacunek i sympatię?

Ale Coningsby? A może dał się omotać sprytniej kobiecie, o której wciąż wiedział tak niewiele. Zaśmiał się z goryczą. Ile czasu spędzili razem od momentu zawarcia pośpiesznego ślubu?

- Nie wierzę w to! - Odebrał z rąk pani Morgan mokry płaszcz. - Milady pojechała sama czy z ochroną?

- Wzięła Robinsa jako woźnicę. I Toma. Podczas dnia nie-trudno tam dojechać, milordzie.

Uspokajający ton gospodyni nie ułagodził Mansella. Przeciwnie, jego gniew i strach jeszcze się wzmożyły.

- Leintwardine. I Coningsby. - Ponownie zarzucił sobie płaszcz na ramiona, nie zważając na to, że ciężkie od wilgoci poły kleją mu się do nóg.

- Milordzie, jest zbyt późno...

- Jadę do Leintwarine. Poślijcie wiadomość do Hoptonów i powiadomcie ich o miejscu pobytu ich córki. Możecie ich zapewnić, że dopilnuję, by bezpiecznie wróciła. - Zwracając się do Foxtona, dodał: - Powiedz kapitanowi Daviesowi, dokąd się udałem, i poproś, żeby tu na mnie czekał. Powiniennem być z powrotem jutro. - Nie chciał, by ktoś, zwłaszcza krewny, był świadkiem jego konfrontacji z żoną, podczas któ-



rej miała wyjść na jaw jej dwulicowość i jego godna pożałowania naiwność.

- Coś podobnego! - Pani Morgan była zaskoczona wybuchem lorda Mansella.

-Należało przekazać tę wiadomość trochę delikatniej - stwierdził Foxton, przygotowując się do przesłania wiadomości Hoptonom.

- Nie sędzę, żeby to coś zmieniło. - Gospodyni ściągnęła usta. - Nieważne, jak to powiedziałam. Ona wyjechała, a on się martwi. I słusznie. Nie ma pojęcia, co zastanie w Leintwardine.

- To prawda. - Foxton westchnął. - A właściwie po co lady Mansell tam pojechała? - spytał i po chwili dodał: - Mam nadzieję, że milord trochę ochłonie, zanim tam dotrze.

## Rozdział czternasty

Od zachodu nadciągały ciężkie chmury, w każdej chwili grożące ulewą. Porywisty wiatr targał grzywami koni, ale jeźdźcy uparcie posuwali się naprzód. Ubłocone psy dzielnie dotrzymywały im kroku.

- Sądzisz, że zdążymy dojechać do Leintwardine przed deszczem? - Mary zrównała się z Honorią, która jechała na czele czteroosobowej grupy.

- Nie, ale szybciej dotrzemy do Leintwardine, niż byśmy wrócili do domu.

Ukryły się za ciągniętym przez dwa konie, mocno wyładowanym wozem, który chronił przynajmniej od wiatru.

Oberwanie chmury dopadło ich na odkrytej przestrzeni, z dala od celu podróży. Mogły się tylko skulić okutane płaszczami, które zresztą prawie natychmiast całkiem przemokły.

- Przynajmniej nie spotkamy wojska ani rabusiów - pocieszyła swą towarzyszkę Mary, próbując przekrzyczeć wiatr.

- Wszyscy inni mają wystarczająco rozumu, żeby siedzieć w domu przed kominkiem. Przykro mi, Mary. Mogłyśmy

wybrać lepszą pogodę. Jeśli się przeziębisz i umrzesz na progu mojego domu, twoja matka z pewnością pošle mnie do diabła.

- Nie ma mowy. Mam wyjątkowo mocne zdrowie. Jeszcze godzina i będziemy na miejscu.

Jechały dalej w milczeniu, każda pogrążona w myślach o tym, jakie przyjęcie czeka je w Leintwardine.

Wcześniej zapadł zmrok; ciemność pogłębiały jeszcze burzowe chmury, wiszące nisko nad ziemią. Konie co rusz potykały się i ślizgały, z wysiłkiem brnąc przed siebie. Ubłocone psy starały się za nimi nadążyć.

Wkrótce zaczęły się kłopoty z wozem; kołysał się na nierównej drodze tak, że coraz trudniej było zapanować nad rozchybotanym ładunkiem. W końcu nastąpiła nieunikniona katastrofa: dwa koła zapadły się w wyrwie i wóz utknął na dobre, przechylony pod niebezpiecznym kątem.

- Nie jest dobrze, milady - zawyrokował woźnica. Tom zeskoczył z kozła i chwycił konie za uprząż. Zmęczone zwierzęta potrzęsały łbami, ale nie miały ochoty się ruszyć. - Nic nie zdziałamy po nocy, możemy tylko wyprząc konie.

- Nie chcę tu zostawiać wozu z całym ładunkiem, panie Robins - powiedziała Honoria, przekrzykując wycie wiatru.

- Z całym szacunkiem, milady, ale nie mamy wyboru. - Otarł twarz rękawem. - W tym błocie możemy łatwo złamać koło, a wozu i tak nie wyciągniemy. Najlepiej będzie zabrać konie i wrócić tu jutro.

- Chyba ma pan rację.

Uniosła głowę, słysząc w oddali tętent koni.

- Proszę mi dać pistolet, panie Robins.

Trzymając rękę z bronią pod płaszczem, Honoria starała się zapanować nad drżeniem zziębniętych palców i łomotem serca. Nie zamierzała oddać dobytku rabusiom.

Czekali w napięciu.

- Nie odzywaj się ani słowem - poleciła Honoria Mary. - Jesteśmy zwykłymi podróżnymi. Bezbronnymi kobietami, potrzebującymi współczucia i pomocy. Jeśli zajdzie potrzeba, będziemy udawały zwolenniczki rojalistów. Nie jesteśmy w stanie walczyć, ale możemy kłamać.

Po szarpnięciu nerwy oczekiwaniu zza zasłony deszczu wyłoniły się trzy sylwetki. Jeden z jeźdźców rozpiął płaszcz pod szyją i zerwał z głowy kapelusz.

Honoria natychmiast rozpoznała przybysza. Wystarczył widok szerokich barków, gracja, z jaką trzymał się w siodle, mokre ciemne włosy. Nie wiedziała, jak mu się udało wydostać z Brampton Percy i znaleźć ją na tej drodze, ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że żył i był przy niej.

Mansell wyjął z ręki Honorii pistolet i schował go do kieszeni. Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się bez słowa z ponurą miną. W miejsce radości i ulgi wkraść się niepokój. Wyciągnęła rękę w geście powitania, ale cofnął się gwałtownie przed jej dotykiem. W tym momencie wpadł między nich rozradowany Setanta, domagając się od pana powitalnych pieścizot.

Nie tracąc czasu na rozmowy, Mansell zwrócił się od razu do woźnicy:

- Zostawcie to, Robins. Wyprzęgnijcie konie i wracajcie na nich z Tomem do Ludlow albo zatrzymajcie się w pierwszym

gospodarstwie, gdzie zgodzą się was przyjąć na nocleg. Nic więcej tu nie poradzimy. Pomóżcie im. - Machnął na dwóch towarzyszących mu zbrojnych.

- Możesz dalej jechać, milady? - odezwał się w końcu do żony.

- Tak, oczywiście, ale nie pojedę do Ludlow. Zamierzam dotrzeć do Leintwardine.

- W Leintwardine jest Coningsby. - Co innego mógł powiedzieć? Że kiedy się tam pojawi, zostanie odprawiona? Albo aresztowana? A może, co gorsza, wcale nie zostanie odprawiona. Może wręcz przeciwnie, zostanie przyjęta i uważnie wysłuchana. Nie od razu dotarła do niego jej odpowiedź.

- Nie ma go tam. Wyjechał.

- Lingen twierdzi, że zajął posiadłość w imieniu króla. Dlaczego miałby wyjeżdżać?

- Ale wyjechał.

- Mylisz się. Wracamy do Ludlow.

- Nie!

- Nie masz wyboru! Wracasz ze mną.

- Nie wracam!

- To prawda, milordzie - wtrącił się do rozmowy Tom. - Namieśnik spakował swoje rzeczy, żeby wrócić do Hereford. Wysłał konie, sam widziałem. Do tej pory na pewno już stamtąd wyjechał.

- Wyjechał? - Mansell nie krył niedowierzania.

- Tak, milordzie. Widziałem.

- Cóż, nie będę udawał, że rozumiem. Nie ma co tkwić w tym potopie, lepiej ruszajmy w drogę. Poczekam na wyjaśnienia, jak już będziemy w Leintwardine. Proponuję, żebyście

z panną Hopton jechały przodem pod eskortą moich ludzi, a ja z Robinsem i końmi z zaprzęgu pojedziemy za wami. Jeśli chcesz, zabierz z sobą psy.

Mówił uprzejmym tonem, z którego Honorii trudno było cokolwiek wywnioskować.

- Uważajcie tam na miejscu - dodał, zwracając się do eskorty. - Na wypadek, gdyby Coningsby jednak nie uciekł do swojego matecznika.

Honorcia z westchnieniem ruszyła w stronę Leintwardine Manor, układając sobie w myślach, co powie Francisowi, kiedy już nadejdzie pora wyjaśnień.

- Patrzysz na mnie ze złością.

- Na Boga, milady, dziwisz mi się?

Mansell dojechał do Leintwardine Manor tuż po Honorii. Zarządca powiadomił go, z wyraźnym zadowoleniem na szerokim obliczu, że Fitzwilliam Coningsby się wyniósł. Nie dalej iak tego ranka zabrał resztę swoich rzeczy i służbę.

Nie zwlekając, Francis wszedł do pokoju, gdzie przy kominku czekała na niego żona. Była bez płaszcza, ale wciąż miała na sobie mokrą suknię i buty. Mary, wyczuwając napiętą atmosferę między małżonkami, zobowiązała się dopilnować, by przygotowano świeżą pościel i posiłek.

Honorcia powitała Francisca pierwszymi słowami, jakie jej przyszły do głowy, a jego natychmiastowa odpowiedź upewniła ją, że dobrze domyślała się jego nastroju.

- Krzyczysz na mnie!

- Jeszcze nawet nie zacząłem krzyczeć, milady! Dopiero się do tego zabieram. Możesz mi wierzyć...

Widziała, że z trudem się hamuje, by nie powiedzieć czegoś, czego by potem żałował. Jego odzienie, przemoczone i brudne, nosiło ślady długotrwałego obłęzenia. Patrząc na zapadnięte policzki i podkrążone oczy męża, miała ochotę tylko na jedno: wziąć go w ramiona, utulić i zapewnić o swojej miłości. Nie śmiała jednak się do niego zbliżyć.

- Nie widzę powodu, żebyś podnosił głos.

- Na litość boską, zastanów się, kobieto. Kazałem ci jechać do Ludlow. Miałem nadzieję, że tam będziesz bezpieczna, a ja spokojnie zajmę się sprawami w Brampton Percy. I co? Przyjeżdżam dziś rano i dowiaduję się od pani Morgan, że pojechałaś do Leintwardine bez ochrony i bez sensownego powodu. Wiedząc przy tym, że Coningsby przejął posiadłość i wprowadził do niej swoich ludzi.

- Miałam wszelkie powody, żeby tu przyjechać. Musiałam zadbać o swoją własność.

- Przecież nie jesteś w stanie obronić tego miejsca, a jego położenie nie stanowi naturalnej ochrony. Chyba musisz sobie zdawać sprawę z tego drobnego, lecz istotnego faktu!

- Nie pozwolę Fitzwilliamowi Coningsby'emu ani nikomu innemu się tu panoszyć.

- Świetnie. Rozumiem to. Tylko że kiedy cię znalazłem, stałaś w nocy na drodze i nie wyglądałaś na to, że tu dotrzesz.

Honorii zabrakło argumentów.

- Dlaczego musiałaś wybrać się w podróż w taką okropną pogodę?

- Nie zrobiłam tego specjalnie. Kiedy wyjeżdżaliśmy, pogo-

da była dobra, nic nie zapowiadało deszczu - skłamała. - Poza tym mogłam sama wyprząc konie i zostawić wóz do jutra.

- I żeby ciągnąć z sobą Mary...

- Mary uparła się mi towarzyszyć. Byłam jej za to wdzięczna.

- A właściwie skąd wiedziałaś, że Coningsby wyjechał? Równie dobrze mógł nadal tu być, uzbrojony w muszkiety i działa. I co byś wówczas zrobiła? Zawróciła na pięcie i wróciła do Ludlow? Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego nagle wyjechał.

- Z powodu zarazy.

- Jakiej zarazy? Czyżbym coś przegapił?

- Odmawiam wyjaśnień. Najwyraźniej nie jesteś w nastroju do słuchania. Znajdę pokój, gdzie mogłabym spędzić noc.

- Zamierzała wyminąć Francisa, jakby jego opinia nie miała żadnego znaczenia, a ona nie chciała uciec przed jego oskarżycielskim tonem.

- O, nie, milady. - Zatrzymał ją, chwytając za nadgarstek. - Tak byłoby najłatwiej, zamknąć się przede mną, odciąć mnie od swoich spraw. Dokończymy tę rozmowę, zanim się rozejdziemy.

- Nie ma czego kończyć - rzuciła wyzywająco.

- Owszem, jest. Dlaczego Coningsby miałby wyjeżdżać z powodu nieistniejącej zarazy?

-Ponieważ... wysłałam do Leintwardine wiadomość, że w Ludlow panuje zaraza i rozprzestrzenia się w tym kierunku. Puścił jej rękę, zbity z tropu.

-Rozpuściłaś plotki? Wysłałaś listy do Coningsby'ego, ostrzegając go przed zarazą?



- Właśnie. Wiedziałam, że w obawie o życie wróci do Herford. Nie znajdowałam innego sposobu, żeby go stąd wykurzyć.

Mansell podszedł do stolika i nalał sobie kieliszek wina. Dopiero po dłuższej chwili się odezwał, odwrócony plecami do żony.

- Nigdy nie wiem, co wymyślisz, i jakie na to znajdziesz wytłumaczenie. A także jakie będą konsekwencje twoich poczynań. - Wychylił kieliszek do dna. - Od czasu, kiedy się z tobą ożeniłem, nie zaznałem chwili spokoju.

- Dzięki, milordzie! - Honorię ogarnęła rozpacz. - Jeszcze to musiałam usłyszeć. Gdybym postąpiła zgodnie z własną wolą, wzięłabym dożywocie po Edwardzie i żyła sobie spokojnie na uboczu. Zamiast tego przeżyłam obłączenie, a teraz jestem bezdomna i postrzegana jako wróg przez całe hrabstwo. Nie prosiłam o to. Postąpiłam zgodnie z wymogami sytuacji, a nie dlatego, by ci przysparzać zmartwień. Zachowujesz się tak, jakbym umyślnie chciała ci zrobić na złość i narazić cię na niebezpieczeństwo. To nieprawda. Zrobiłam to, co uznalam za stosowne w zaistniałej sytuacji.

Popatrzył na nią przez ramię z dziwnym wyrazem twarzy.

- Przykro mi, że wymusiłem na tobie małżeństwo, milady.

- Mnie też jest przykro.

Obrzucili się nieprzyjazybnymi spojrzeniami.

Mansell przeklinał się w duchu za nieprzemyślane słowa, na które przecież nie zasłużyła. Była wobec niego lojalna. Walczyła u jego boku, nigdy nie żądała niczego dla siebie. Ogarnęło go poczucie winy. Nie powinien odgrywać się na Honorii za utratę Brampton Percy. Patrząc na jej potargane

od wiatru i deszczu włosy i posmutniałe oczy, uświadomił sobie, że ją kocha.

Honorio wyparła się swej miłości, oskarżyła go o to, że ożenił się z nią wbrew jej woli. Gdyby mu wyznała, co naprawdę czuje, okazałby zrozumienie. Może nawet zaofiarowałby jej przyjaźń. Takiego upokorzenia chyba by nie zniosła. Musiała się pogodzić z faktem, że nie potrafi sprostać roli żony i kochanki.

- Wybacz mi, Francis.

Chcąc ratować resztki dumy, odwróciła się ku drzwiom, ale Francis zastąpił jej drogę. Chwytną ją za ramiona, ujrzał w jej oczach strach, a potem rozpacz, której nie zdołała ukryć.

- Nie będę cię okłamywał. I bez tego jest trudno. Nie żałuję, że się z tobą ożeniłem. Wcale nie żałuję.

- Ja też nie - wydukała, potykając łyzy.

- Wybacz, że się zapomniałem.

-Tak.

- I krzyczałem na ciebie.

-Tak.

Uśmiechnął się, a ona sobie uświadomiła, że nie widziała tego uśmiechu od bardzo dawna.

- Przepraszam, że cię tu ściągnęłam. Myślałam, że będzie po wszystkim, zanim oblężenie się skończy i nawet nie dowiesz się o całej tej sprawie. Ale nie żałuję, że nakłamałam Coningsby'emu o zarazie.

- Honorio, twoja pomysłowość zarazem przeraża mnie i zachwyca - powiedział ze śmiechem.

- Tak się bałam... i tak się ucieszyłam na twój widok - wyznała. - Tam na drodze, w deszczu i w błocie...

- Chodź do mnie, moja dzielna żono. - Wziął ją w ramiona. Stali, tuląc się do siebie jak dwoje rozbitków ocalałych z katastrofy.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła Honoria. - Podstęp wobec Coningsby'ego pozwolił mi na chwilę oderwać myśli od tego, co się z tobą dzieje.

- Lingen nas wypuścił w zamian za poddanie zamku, ma się rozumieć. Wcześniej całkiem rozwalił mury. Jesteśmy spokrewnieni, więc nie mógł nas pozabijać ani wysłać do Coningsby'ego, który chełpiłby się zwycięstwem, sobie przypisując zasługi. Dlatego pozwolił nam odjechać, a nasi dzierżawcy wrócili do domów. Cóż, chyba mogło być gorzej.

- Bałam się, że mogę cię już nigdy więcej nie zobaczyć.

- I pewnie pożałowałaś, kiedy się zjawiłem. - Potarł policzkiem o jej włosy.

- Nie, nie żałowałam.

Złożył na jej ustach pocałunek.

- Myślałem, że już nigdy nie będę miał okazji tego zrobić. Nie masz pojęcia, jak często gościłaś w moich myślach i snach.

- Najgorsze już minęło. - Nagle zawstydzona, dotknęła ustami pulsu na jego szyi. - Może odtąd będziemy mogli już być razem.

- Mam taką nadzieję. Honorio, moje uczucia do ciebie są o wiele głębsze, niż mógłbym się spodziewać. - Przytulił ją mocniej. - Sądzisz, że będziemy kiedyś mieć dla siebie więcej niż jeden dzień? Czy też już zawsze będziemy albo rozdzieleni, albo skłócenii?

- Nie wiem. - Wspięła się na palce, żeby sięgnąć ustami do jego warg. - Modłę się o to, żebyśmy byli razem.

- Honorio. - Znów ją pocałował, tym razem namiętnie i żarliwie.

Przerwał im huk wybuchu przy głównym wejściu, po którym rozległy się podniesione głosy i tupot nóg.

Mansell wciąż jeszcze trzymał Honorię w ramionach, kiedy drzwi otwały się, uderzając o ścianę. Niewielki, przytulny pokój nagle wypełnił się ludźmi w niebiesko-srebrnych mundurach. Karnie ustawili się pod ścianami i czekali bez ruchu, aż na scenę wkroczy ich dowódca - Fitzwilliam Coningsby, namiestnik Hereford, zaprzysięgły rojalista i wróg wicherzycieli Bramptonów.

Zamknął za sobą drzwi, zostawiając na korytarzu zdenerwowaną Mary, która na próżno chciała ostrzec lorda i lady Mansell o nadciągającym zagrożeniu. Stojąc na środku pokoju, Coningsby, chudy i niewysoki, wygiął usta w złośliwym uśmiešku. Widać było, że nie jest żołnierzem, choćby po eleganckim stroju z aksamitu, zdobionym koronką. Jednak mając za sobą autorytet króla, a u boku oddział zbrojnych, swą postawą nie pozostawiał wątpliwości, kto będzie miał ostatnie słowo.

- Lordzie Mansell. Lady Mansell. Okoliczności mi sprzyjają. Muszę przyznać, że niechętnie przyjąłem wiadomość o pańskim uwolnieniu z oblężenia, milordzie. Moim zdaniem, Lingen okazał się zbyt miękki. W końcu i tak trafił pan w moje ręce.

Mansell odpowiedział głosem spokojnym, lecz nieugiętym.

- Nie miał pan prawa wdzierać się siłą do tego domu.
- Mam wszelkie prawa - stwierdził Coningsby. - Wystąpił

pan przeciwko jego królewskiej mości. Nazwałbym to zdradą. - Zwrócił się do swoich ludzi: - Bierzcie go bez czynienia szkód, jeśli to możliwe. A jeśli nie... - Znacząco zawiesił głos, wzruszając przy tym ramionami.

Rozwścieczony obrotem spraw i bezczelnością Coningsby'ego, Mansell sięgnął po szpadę; rozległ się metaliczny brzęk, światło zamigotało na klindze.

- No proszę, - Namiestnik zwietrzył okazję do upragnionej zemsty. - Moi ludzie dadzą sobie z panem radę bez trudu, milordzie. Chce pan niepotrzebnego rozlewu krwi, może twojej, na oczach żony? Mogłaby nawet zostać ranna w bojowym zamieszaniu. Jest pan moim więźniem, milordzie.

Mansell powoli opuszczał broń, aż reszcie czubek ostrza dotknął podłogi.

- Moja żona. - Odwrócił się do Honorii, która stała bez ruchu, przerażona rozwojem sytuacji. - Nie powinienem narażać żony. Jest dla mnie bezcenna.

- Francis...

Uciszył ją stanowczym gestem.

- Nie, milady. Nie powinniśmy rozmawiać w takim towarzystwie. Poza tym, co mamy sobie do wyjaśnienia? Obecność namiestnika, jak by to ująć, mówi sama za siebie.

- Ja uważam, że jest wiele do powiedzenia. - Spojrzała na niego błagalnie.

- Nie, moja droga. Okazałem się głupcem. Jadąc tu, wmaślałem sobie, że nie mogłabyś mnie zdradzić, wyrzucałem sobie, że w ogóle śmiem cię o to podejrzewać.

- Nie mogłabym cię zdradzić.

- Mam wokół siebie żywe dowody. - Zatoczył koło ręką

trzymającą szpadę. - Co zyskałaś na tej wymianie? Tę posiadłość? Przecież i tak należała do ciebie. Cóż, pewnie i tak nie powiedziałaabyś mi prawdy. Twoja lojalność wobec króla musi być zaiste wielka. Mam nadzieję, że wyjdzie ci na zdrowie.

Nagle uniósł wysoko rękę ze szpadą, lecz zanim ludzie Coningsby'ego zdążyli do niego doskoczyć, odwrócił broń ostrzem w dół i wbił w dębową posadzkę u swoich stóp. Szpada utkwiła w podłodze, odgradzając go od Honorii. Chyba nie mógł jej zranić boleśniej, niż oddając broń jej ojca.

Nie patrząc więcej w stronę żony, podszedł do Coningsby'ego.

- Masz rację, sir. To nie miejsce na przemoc. Jak widzisz, jestem bezbronny. Do twojej dyspozycji.

- Oczywiście, milordzie. - Namiestnik przyjął deklarację ze skinieniem. - Związać mu ręce.

-Francis...

Nie odwrócił się, żeby spojrzeć na Honorię.

W pierwszym odruchu Honoria chciała pójść za Coningsbym i błagać go o uwolnienie męża, ale namiestnik, przecuwając jej zamiary, zatrzymał ją w progu.

- Proszę mi pozwolić...

- Nie, milady. Stało się. Sprytny plan, lady Mansell. Domyłam się, że ty go uknułaś? Rzekomy atak zarazy, która miała mnie wygnać do Hereford.

- Owszem, ja. Uwierzył pan i wyjechał.

- W istocie. - Nie mógł zaprzeczyć. - Kusi mnie, żeby i ciebie aresztować, milady, za niewygody, na jakie mnie naraziłaś. Na szczęście mieszkańcy Wigmore Priory powiadomili mnie

o faktycznym stanie rzeczy i na szczęście burza kazała mi się tam schronić. W przeciwnym razie nie byłbym świadkiem twojego wzruszającego spotkania z mężem.

- Nie będę przepraszać, sir. Ta posiadłość należy do mnie.

- Twój mąż jest zdrajcą, milady.

- To, jak sędzę, nie jest w tej sprawie istotne.

- Tak sądzisz? Dopilnuję osobiście, żeby wszystkie posiadłości Bramptonów zostały skonfiskowane na rzecz Korony. Nie wątpię, że mi się to uda. Na razie cię tu zostawię, milady. Naciesz się póki czas, bo niedługo stracisz posiadłość. - Odwrócił się do wyjścia.

- Dokąd go zabieracie?

- Do Hereford. - Odpowiedzi towarzyszyło triumfalne spojrzenie. - Tam zapadnie decyzja o jego losie. Związałaś się z niewłaściwym człowiekiem, milady. Jeśli chciałaś ponownie wyjść za mąż, trzeba było wrócić do Londynu albo wybrać kogoś z wiernych królowi dzentelmenów z hrabstwa.

- Małżeństwo z lordem Mansellem było najlepszym krokiem w moim życiu. Nigdy nie będę go żałowała.

- Wybacz, milady, ale sądząc po ostatnich wydarzeniach, wątpię, by milord podzielał twoją opinię w tej kwestii. Dobrej nocy, milady. Zajmę się troskliwie twoim mężem.

- Wychodząc z pokoju, zawahał się, a następnie jednym ruchem wyrwał szpadę z podłogi. Z uśmiechem zadowolenia przejechał palcami po ostrzu, po czym cicho zamknął za sobą drzwi.

Honorcia bezsilnie opadła na najbliższe krzesło. Mary zastała ją pogrążoną w rozpacz, kiedy weszła do pokoju, niosąc

tacę z chlebem, serem i karafkę grzanego wina z korzeniami. Honoria nie poruszyła się, jakby w ogóle nie zauważyła obecności przyjaciółki, ale jej dłonie, nerwowo zaciśnięte na poręczach krzesła zdradzały, że nie śpi. Mary odczekała chwilę, a potem przejęła inicjatywę.

- Musisz coś zjeść. Jesteś wyczerpana. Francis powiedziałby ci to samo, gdyby tu był.

Honoria otworzyła oczy.

- Gdyby Francis tu był, prędzej by mi dołał trucizny do wina. Mary, co ja najlepszego zrobiłam?!

- Nic, co mogłabyś sobie wyrzucać. Plan był doskonały i z pewnością by zadziałał, gdyby nie ta piekielna pogoda.

Honoria z ociąganiem usiadła przy stole i przyjęła od Mary kubek wina. Było ciepłe i przyjemnie pachniało. Napiała się, ale jedzenia nawet nie tknęła.

- Francis jest więźniem. Co z nim będzie?

- Pij. Potem zdecydujemy, co dalej.

Honoria odruchowo spełniła polecenie. Aromatyczny trunk rzeczywiście dobrze jej zrobił; nieznośny ucisk wokół serca trochę zelżał.

- Lepiej? - Zjadła kilka orzeszków w miodzie ze srebrnego talerzyka i oblizała palce. Mary pokiwała głową z zadowoleniem.

- Co możemy zrobić?

- Zabiorą go do Hereford - powiedziała Honoria, odzyskując powoli jasność myślenia. - Do zamku, jak sądzę. A potem może do Londynu, jeśli znajdzie się odpowiednia eskorta. Nie obawiam się o jego życie. Jest zbyt bogaty i wpływowy, żeby go mieli zabić. Wydaje mi się najbardziej prawdopodobne, że zabiorą jako okup za niego pozostałe posiadłości.



- Ale mogą go trzymać w więzieniu aż do końca wojny. -  
Mary upiła łyk wina ze swojego kubka.

- A nie wiadomo, jak długo to potrwa.

Zamilkły, obie zamyślane nad niewesołą sytuacją.

- Mogę zagrać tylko jedną kartą - odezwała się jako pierwsza Honoria.

-Sir William Croft?

- Mógłby pomóc. - Honoria pokiwała głową. - Choćby tylko ze względu na rodzinną lojalność. Lady Eleanor zatrzymała mu życie, gdyby był na tyle niemądry, by przedłożyć politykę nad więzy krwi. Obawiam się jednak, że niewiele będzie w stanie zdziałać, jeśli Coningsby stanie mu na przeszkodzie. Namiestnik jest obecnie u szczytu władzy w Hereford. Nawet Vavasour nie może mu się przeciwstawić. - Nagle podniosła się od stołu; jej mina świadczyła o podjęciu decyzji. - Mam coś, na czym mu bardzo zależy. Nawet bardziej niż na zemście za dawne przewiny.

Wyszła z pokoju i zaraz wróciła, niosąc juki odpięte od siodła. Skóra była namoknięta i śliska, ale zawartość, dobrze owinięta na czas podróży, tylko lekko zawilgła.

- Może mnie z łatwością stąd wygnąć, ale prawnie posiadłość i tak będzie należała do mnie - wyjaśniła przyjaciółce.

- Wie, że ubiegałabym się w sądzie o jej zwrot. Jestem przekonana, że sir Robert Denham poparłby mnie na tyle, by obalić wszelkie roszczenia wysuwane przez Coningsby'ego.

Wyjęła z juków zawiniątko z różnymi dokumentami i wyszukała pośród nich opieczętowany akt własności Leintwardine Manor.

- Dałabyś mu ten dokument?

- Tak.
- Może by pomogło.
  - Musiałoby. To moja jedyna nadzieja.
  - Ale ty kochasz ten dom. Jak miałabyś go oddać, i to jeszcze takiemu szczerowi jak Coningsby?
  - To tylko ziemia. Cóż ona znaczy w porównaniu z wolnością Francisa? - Woląta nie pamiętać o oskarżycielskim spojrzaniu męża w chwili, gdy się rozstawali. - Kupię mu wolność za każdą cenę.
  - Pojedziesz do Hereford?
  - Tak. Najpierw spróbuję się spotkać z sir Williamem Croftem, żeby zasięgnąć jego opinii. Nie oddam posiadłości, dopóki nie będę musiała. Ale jeśli Coningsby się nie ugnie, a można się spodziewać ostrych targów, przepiszę na niego Leintwardine Manor.
  - Pojadę z tobą.
  - Nie. Tym razem, droga przyjaciółko, musisz wracać do domu. Powiedz kapitanowi Priamowi, co tu zaszło. O ile już tego nie wie.
  - Dobrze - zgodziła się niechętnie Mary.
  - Aha, i może zechciałabyś się zająć sprowadzeniem wozu i odesłaniem go do Ludlow.
  - Oczywiście.
- Honoria zaczęła zbierać dokumenty ze stołu. Mary wzięła do ręki zakurzony pękaty pakiecik, z którego wystawały jakieś gałązki.
- Co to jest?
- Honoria roześmiała się, choć jej oczy pozostały smutne.
- Zupełnie o tym zapomniałam. To prezent. Jeszcze sprzed

mojego małżeństwa. Od pani James z Eyton. Przysłała mi dzbanek miodu, życzenia wszystkiego dobrego i radę, bym porozmawiała o zawartości tej paczuszki z panią Brierly. Nigdy nie znalazłam na to czasu, a teraz już jest za późno. - Ostrożnie zdmuchnęła kurz. - To chyba jakieś zioła. Nie znam się na roślinach.

- Ja też nie - przyznała Mary. - Mimo wysiłków matki, żeby mnie czegoś o nich nauczyć. Sprawdźmy? - Mary zaczęła rozwijać papier bardziej po to, by trochę rozweselić przyjaciółkę niż z prawdziwej ciekawości.

- Skoro sobie zyczysz... - Równie mało zainteresowana ziołami Honoria wstała, żeby dolać im obu wina.

Mary rozwinęła zawilgły pergamin. W środku znajdowały się suszone kwiatki, listki i parę kawałków jakiegoś korzenia, pokruszone, ale wciąż rozpoznawalne. Po pokoju rozszedł się przyjemny ziołowy zapach.

- Co to jest? Przyprawy do wina? Lekarstwo na malarię?

- Ani przyprawy do wina, ani lekarstwo - oznajmiła Mary z przewrotnym uśmiechem. - Jeśli się nie mylę, pani James dała ci miłą mieszankę.

- Miłą mieszankę? Skąd wiesz?

- Z ludowej nauki. Wychowywałaś się w Londynie, więc nie masz pojęcia o takich rzeczach. Założę się, że służba w twoim większym domu świetnie się orientuje w tych sprawach.

- Wygląda na to, że moja edukacja jest niepełna. Dla mnie te rośliny wyglądają jak zioła, których się dodaje do potraw.

- Istotnie. Niektóre z nich. Rozmaryn i liść laurowy. Ale jest tu też lawenda i krwawnik. A to jest liść podbiału. - Mary

powąchała suszone rośliny i natychmiast kichnęła. - Jest też odrobina kocimiętki i korzenia waleriany. - Jeszcze raz kichnęła. - Zawsze polecane w sprawach sercowych.

- Co mam z tym zrobić? - spytała bez przekonania Honoria.

- Zmieszaj wszystko razem w piątek przed pełnią księżyca i zaszyj w poduszce ukochanego. Odda ci się całym sercem i duszą. - Popadła w zadumę. - Chętnie sama bym wypróbowała. Samuel More wpadł mi w oko, kiedy się schronił w Brampton Percy, a Bishop's Castle leży niedaleko Ludlow. Jeśli ta wojna się skończy i ojciec się zgodzi, może kiedyś znowu go spotkam. - Zerknęła z chytrą miną na Honorię. - Może ty wypróbujesz tę mieszankę na swoim mężu i powiesz mi, jaki odniosła skutek.

Reakcja Honorii zaskoczyła je obie; zakrywając twarz dłońmi, wybuchnęła płaczem, dając upust żalowi i obawom, które tak długo starała się w sobie tłumić. Łzy ciekły jej między palcami i wsiąkały w koronkowe mankiety.

- Co ja takiego powiedziałam?

- Przepraszam - chlipnęła Honoria, uspokoiwszy się trochę.

- Nigdy nie płaczę, bo to niczego nie rozwiązuje. - Przyjęła chusteczkę podaną przez Mary.

- Miałaś ciężki dzień. Powiedziałam coś, co cię zdenerwowało?

- Nie. Nie mogłaś wiedzieć... - Pociągnęła żałośnie nosem.

- Nie wystarczy ziołowa mieszanka, żeby Francis mnie pokochał. Boję się, że dzisiejsze wydarzenia na dobre nas rozdzieliły. - Zgarnęła ususzone rośliny ze stołu i zrobiła ruch, jakby je chciała wrzucić do ognia. Mary ją powstrzymała.

- Nie wierzę w to ani trochę.
- On myśli, że zastawiłam pułapkę, że wszystko zaplanowałam, by się przysłużyć rojalistom i oddać go w ręce Coningsby'ego.
- Ale on cię kocha!
- Jak może mnie kochać, skoro wszystko między nami od początku tak fatalnie się układa? Wcale nie chciał się ze mną ożenić. - Łzy znów wezbrały pod powiekami. - Jest bardzo miły, ale nigdy nawet nie udawał, że mnie kocha. Może istniała na to szansa, gdyby nam było dane żyć w innych warunkach. Francis wierzy, że go zdradziłam. Wiesz, że kiedyś go postrzeliłam?
- Tak! - W oczach Mary widać było nieklamany podziw.
- I że zamknęłaś go w kaplicy. - Zachichotała.
- Kula była przypadkowa, ale kaplica jak najbardziej umyślona. - Honoria także się uśmiechnęła. - Weź tę mieszaninę, jeśli chcesz. Francis nigdy nie znajdzie dla mnie miejsca w swoim sercu i nie pomogą na to ziołowe poduszki.
- Nie zgadzam się z tobą. Uważam, że on cię kocha. Wiem, że jest uparty i niecierpliwy...
- ... i porywczy i zadufany w sobie...
- ... i nie cierpi głupoty. - Mary uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Wiem też, jak na ciebie patrzy, kiedy mu się zdaje, że nikt tego nie widzi. Z uwielbieniem i zachwytem. Chciałabym, żeby Samuel More tak na mnie patrzył.
- Nie mogę...
- Mary nie dała sobie przerwać.
- Kochałby cię i troszczył się o ciebie, gdybyś mu na to pozwoliła, ale ty jesteś tak samo uparta jak on.

- Nic podobnego!
- To prawda. Kiedy czujesz się skrzywdzona albo niepewna siebie, stajesz się chłodna i niedostępna. Naprawdę trudno się do ciebie zbliżyć. Może byłabym taka sama, gdyby mnie wydano za lorda Edwarda.
- O! - Honoria była zaskoczona słowami przyjaciółki. - Ty też mnie uważasz za chłodną i niedostępną?
- Owszem. - Odpowiedź była brutalnie szczerą. - Ale ja jestem bardzo wytrwała.
- Mary, co mam ci powiedzieć? Bardzo sobie cenię twoją przyjaźń. Przepraszam, jeśli... no wiesz...
- Wiem.
- Obawiam się, że masz rację.
- Pewnie, że mam. Tylko się znowu nie rozplacz. Wszystko można naprawić, jestem pewna. Powinnaś porozmawiać z Francisem. Kochasz go?
- O tak.
- Skoro się kochacie...
- Francis nadal kocha Katherine. Trzyma jej miniaturowy portret. Była o wiele lepszą żoną ode mnie.
- Ostatecznie znał ją całe życie, od czasu, gdy oboje byli dziećmi. Musiała ich łączyć silna więź i musiał bardzo cierpieć po jej śmierci. Ale to należy do przeszłości, teraz kocha ciebie, jestem tego pewna.
- Dziękuję ci za wsparcie.
- Zależy mi na tobie i nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa. A teraz pomyślmy praktycznie. Najpierw musisz doprowadzić do uwolnienia Francisca, a potem możesz wypróbować na nim prezent od pani James.

- Dobrze. Jutro pojedę do Hereford. - Honoria starannie zapakowała zioła w pergamin. - Przechowaj to do powrotu milorda. Jeśli zadziałają, to będzie cud.

## Rozdział piętnasty

Honorina nie zastała sir Williama w Croft Castle, udała się więc do zamku Hereford. Było jeszcze wcześnie, ale sir William Croft już na nią czekał w sali audiencyjnej.

Twierdza Brampton Percy górowała nad drogą z Ludlow na zachód, natomiast Hereford stał na straży środkowej części pogranicza. Pomieszczenie, do którego ją wprowadzono, sprawiało przytłaczające wrażenie. Wprawdzie na ścianach wisiły ozdobne kobierce, a pod ścianami stały wygodne krzesła, lecz kolekcja broni przypominała gościom aż nadto wymownie o potęgze Korony i namiestnika reprezentującego królewską władzę. Honorina pomyślała, że gdzieś w czeluściach tej ponurej twierdzy został uwięziony Francis.

Stojąc przed sir Williamem, starała się ukryć lęk i niepewność. Mimo odbytej podróży prezentowała się nienagannie ze starannie upiętymi włosami, w eleganckiej aksamitnej sukni, ozdobionej misterną koronką i perłowym naszyjnikiem.

- Przyjechałam zobaczyć się z moim mężem, sir Williamie. Domyślam się, że trzymacie go tutaj - zaczęła bez wstępnych uprzejmości.



- Honorio, moje drogie dziecko, bardzo mi przykro. Ostrzegłem cię, czym to się może skończyć.

- Oczywiście, sir Williamie. O nic cię nie winię. Chciałabym zobaczyć się z Francisem, przekonać się, że nic mu nie jest.

- Ma się całkiem dobrze. Jest zbyt cenną zdobyczą Coningsby'ego, żeby siedzieć w ciemnym lochu, niezależnie od tego, co głosi plotka. Oczywiście jest wściekły. - Sir William podszedł do stołu, żeby nalać im obojgu wina. - Postaram się zorganizować spotkanie, ale powinnaś wiedzieć. ..

- Rozumiem twoje położenie, sir Williamie - przerwała mu. Wzięła od niego kieliszek i natychmiast odstawiała na stół, nawet nie kosztując wina, - Muszę spytać, czy... Muszę wiedzieć, czy masz w tej sprawie wpływ na namiestnika.

- On nie słucha rad, które nie są zgodne z jego opinią, a w tym przypadku... cóż, ma osobiste powody.

- Proszę mi powiedzieć, sir Williamie, dlaczego Coningsby nienawidzi Bramptonów?

-Nie znam szczegółów, ale chodziło o spór z lordem Edwardem, z którego Coningsby wyszedł przegrany. Edward nie ukrywał pogardy dla tych, których uważał za gorszych od siebie. Powody mogły być różne. Jedno jest pewne, gubernator chce zniszczyć Mansella. Ostrzegam cię, nie będzie słuchał argumentów ani próśb o współczucie. Niezależnie od tego, jak dobrze przedstawiś swoje racje.

- Mimo że nie mamy ziemi ani władzy po upadku Brampton Percy?

- Niestety.

- Dziękuję za szczerość, sir Williamie, ale nie wyjdę stąd, dopóki z nim nie porozmawiam.

- Może się nie zgodzić na audiencję. Władza uderzyła mu do głowy.

Honorja usiadła na jednym z krzeseł; ściągnęła rękawiczki

i spłotła ręce na sobolowej mufce.

- Powiedz namiestnikowi, że się stąd nie ruszę...

Drzwi się otwarły, Coningsby zatrzymał się w progu. Jak zwykle był wytwornie ubrany, tym razem w czerń, ozdobioną tylko przy szyi i nadgarstkach piękną brukselską koronką.

- Lady Mansell - odezwał się z wyraźną drwiną w głosie - spodziewałem się pani.

- Nie wątpię. - Podniosła się z krzesła.

- Czym mogę służyć, milady?

- Mam dwa życzenia, sir. Po pierwsze, chcę się widzieć z mężem.

Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, po czym najwidoczniej uznał, że nie zaszkodzi, jak lord Mansell zobaczy się z żoną, którą podejrzewa o to, iż wydała go w ręce wroga.

- Oczywiście, milady. Choć chyba zrozumiesz, jeśli twój mąż nie ucieszy się z wizyty.

- Nieważne. Chcę się z nim widzieć.

Sir William, obserwujący scenę w milczeniu, był pełen podziwu dla odwagi i stanowczości Honorii.

Honorję wprowadzono do sporego, całkiem wygodnie urządzonego masywnymi sprzętami pokoju, którego okna wychodziły na rzekę Wye. Jednak o ucieczce z tego miejsca

nie mogło być mowy, między innymi dlatego, że na solidnych drzwiach tkwiła żelazna sztaba.

Na widok żony Francis podniósł się wolno z wyłożonego poduszkami siedziska pod oknem. Sprawiał wrażenie bardziej zmęczonego niż podczas oblężenia.

- Masz gościa, milordzie - zaanonsował Coningsby.

Francis milczał; nie zbliżył się też do żony. Stał przy oknie, z rękami założonymi na piersi.

- Chciałabym się widzieć z mężem sam na sam, sir.

- Obawiam się, że to niedozwolone, bo dopuścił się zdrady wobec Korony. - Coningsby przeniósł wzrok z Honorii na więźnia. - Żona chciała się upewnić co do twojego położenia, milordzie, po tym nieszczęsnym aresztowaniu. Jej troska jest całkowicie zrozumiała, biorąc pod uwagę okoliczności. - Mówiąc to, insynuował udział Honorii w całym zdarzeniu.

- Zatem przyszła do pana, żeby się upewnić - odezwał się po raz pierwszy Francis.

- Oczywiście. A do kogoż innego miałyby się zwrócić? - Coningsby wyraźnie bawił się sytuacją.

- Czy namiestnik zadowolająco cię upewnił? - Francis zwrócił się do Honorii lodowatym tonem.

- Przyszłam... Musiałam wiedzieć... - Urwała, zmieszana.

- Milady chce wiedzieć, czy jesteś trzymany w wygodnych warunkach, milordzie. - Coningsby zatoczył krąg ręką, wskazując na umeblowanie pokoju. - Nie chciałaby, żebyś nadmiernie cierpieć za swe poparcie dla parlamentu.

- Jak sama widzisz, milady, nie trzymają mnie tu zakutego w łańcuchy - powiedział Francis. - Czego ode mnie chcesz, Honorio? - Zacisnęła dłonie na oparciu krzesła. - Gra skoń-

czona, muszę zapłacić za swoje przekonania. Natomiast ty możesz teraz swobodnie, bez udawania, sprzyjać rojalistom. Masz moje błogosławieństwo. Wracaj do Leintwardine i ciesz się wolnością.

-Nie mogę...

- Dlaczego? Jak się odpowiednio uśmiechniesz do pana Coningsby'ego, to da ci eskortę. Włos ci z głowy nie spadnie w Herefordshire.

-Ale...

- Zrobię to z największą przyjemnością. - Coningsby skłonił się przed Honorią, ale jego chytre spojrzenie pozostało przy Mansellu. - Zapewnienie bezpieczeństwa tak czarującej i lojalnej damie nie sprawi mi żadnych trudności.

-Wracaj do domu, Honorio. Nic więcej nie możemy zrobić.

Miał rację, uznała w duchu. Nie powinna była zabiegać o widzenie z mężem. Potrzeba by cudu, żeby go wyrwać ze szponów Coningsby'ego. Najważniejsze, że Francis żył i nie groziła mu śmierć. Gdyby jej się udało doprowadzić do jego uwolnienia, pogodziłaby się z tym, że nie może liczyć na wspólne życie.

- Proszę o jedną przysługę, milady - odezwał się lord Mansell. - Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciała powiadomić rodzinę o moim położeniu. Matka pewnie się martwi.

- Oczywiście.

Tylko tyle. Czego się spodziewała? Że weźmie ją w ramiona i przycisnie do piersi? Że ukoi jej lęki i wybaczy winy, choć nie miała na sumieniu niczego złego? Należało zakończyć tę wizytę dla dobra ich obojga.

- Chciałabym zostawić mężowi pamiątkę, czy to dozwolone? - Honoria zwróciła się do Coningsby'ego, z trudem powściągając niechęć.

Przytaknął; w poczuciu zwycięstwa mógł sobie pozwolić na łaskawość.

Honoria wyjęła z mufki pakiecik wielkości dłoni i położyła na brzegu stołu. Nie śmiała się zbliżyć i podać go mężowi wprost do ręki.

- Nie zrobiłam nic przeciwko tobie, Francis. Jak mam tego dowieść? Będę się za ciebie modliła. - Przesunęła pakiecik po blacie w jego stronę. - Mam nadzieję, że to ci da trochę pociechy.

Nie doczekała się odpowiedzi.

- Żegnaj, milordzie. - Skłoniła się nisko, jakby oddawała honory monarsze, po czym wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie. Coningsby podążył jej śladem, nie kryjąc zadowolenia z przebiegu odwiedzin.

Francis wiedział, co jest w zostawionej przez Honorię paczuszcze, jeszcze zanim ją rozpakował. Ze złotej ramki uśmiechała się do niego Katherine. Młoda. Niewinna. Na jej życiu nie zaważyła wojna ani konieczność opowiedzenia się po jednej z walczących przeciwko sobie stron. Dotknął namalowanej twarzy. Tak, kochał Katherine beztrząską młodzieńczą miłością. Ale teraz jego serce należało do Honorii, mimo tego, co między nimi zaszło, mimo całego bólu i niepewności.

A ona? Uważała, że on jej nie kocha, nie szanuje. Że czuje dla niej jedynie pogardę. W przeciwnym wypadku nie przyszłoby jej do głowy, by dać mu na pocieszenie w niewoli por-

tret kobiety, którą kiedyś kochał. Czy tak wrażliwa i wielkoduszna istota mogłaby go oszukiwać? Francis usiadł ciężko na krześle i zamknął oczy. Tęsknił do kobiety, którą pokochał... i której mimo wszystko nie potrafił zaufać.

- Miałaś jakieś drugie życzenie, milady? - odezwał się Coningsby z obłudnym uśmiechem.

- Chcę, żeby uwolniono lorda Mansella.

Śmiech namiestnika zadudnił nieprzyjemnym echem w wysokim pomieszczeniu.

- Obawiam się, że tego życzenia nie mogę spełnić. Musisz wiedzieć, milady, że już zorganizowałem przewiezienie go do Londynu, pod silną strażą. Jeśli król zechce przykładowie go ukarać, a w końcu chodzi o zdradę, za którą płaci się głową, jego los będzie ostrzeżeniem dla innych. Opowiadam się za surowym wyrokiem.

Honorcia zaczerpnęła tchu. Było tak źle, jak się obawiała, ale nie mogła się teraz wycofać. Uznała, że powinna odwołać się do swojego sprytu.

- Lord Mansell nie stanowi już zagrożenia ani dla pana, ani pańskiej władzy w hrabstwie. Skonfiskował pan wszystkie jego posiadłości.

- W istocie.

- Czy mogłabym odwołać się do pańskiego poczucia sprawiedliwości, do pańskiego współczucia?

- Nie sądzę. - Nie dbając o dobre maniere i szacunek należny damie, a może umyślnie demonstrując swoją władzę, namiestnik usiadł, mimo że Honorcia stała.

- Może jednak znalazłoby się jakieś rozwiązanie.

- Co pani sugeruje, lady Mansell?

- Mam coś, na czym panu bardzo zależy; bardziej niż na śmierci mojego męża. - Wyjęła z mufki dokument, który niedawno pokazywała Mary, i położyła go na stole, poza zasięgiem rąk Coningsby'ego. Musiałby wstać albo nachylić się nad stołem, żeby go dosięgnąć. - Nie ma pan prawa do zajęcia Leintwardine - powiedziała lekko, jakby prowadzili towarzyską pogawędkę o pogodzie. - Nie może pan zagarnąć tego miejsca razem z resztą posiadłości mojego męża, ponieważ Leintwardine stanowi część mojego wdowiego dożywocia, a w świetle prawa nie odpowiadam osobistym majątkiem za przestępstwo męża. To jest akt własności.

- Tak? - Namiestnik spojrział na dokument z błyskiem chciwości w oczach.

- Przepisałam ją na pana, sir. Leintwardine Manor należy do pana.

- Na jakich warunkach, lady Mansell?

- Musi pan o to pytać? Jedyнным warunkiem jest uwolnienie mojego męża.

Dwa dni później Honoria pojawiła się w domu Hoptonów w Ludlow. Na jej prośbę wprowadzono ją nie do głównego salonu, lecz małej bawialni, gdzie oczekiwała na nią Mary.

- Tak się martwiłam - przywitała ją przyjaciółka. - Widziałas się z sir Williamem Croftem? Pojechałś do Hereford?

- Jakie masz wiadomości od Francisa? - Joshua wszedł do pokoju tuż za siostrą. - Na razie udało mi się powstrzymać Priamę Daviesa przed wyruszeniem na Hereford, ale z każ-

dym dniem coraz bardziej się niecierpliwi. Jeśli Francis nadal jest uwięziony, to...

- Zostanie wypuszczony - przerwała mu Honoria - i na początek oddany pod kuratelę sir Williama. Potem odzyska całkowitą wolność - powiedziała takim tonem, jakby cytowała z pamięci czyjeś oświadczenie.

- Na Boga, jak ci się udało tego dokonać? - Joshua nie krył zaskoczenia. - Nie wyobrażam sobie, co mogło przekonać Coningsby'ego do wypuszczenia z rąk tak cennej zdobyczy. Chyba tylko góra złota!

- Niezupełnie. Nie mam tego rodzaju zasobów, ale ubiłam z nim bardzo dla niego korzystny interes - odparła Honoria, spoglądając znacząco na Mary, która, zgodnie z wcześniejszym ustaleniem, zachowała milczenie. - Najważniejsze, że Coningsby się zgodził.

- Kiedy spodziewasz się powrotu Francis'a? Przyjedzie do Ludlow? - Mary chciała zapobiec ewentualnym pytaniom brata o szczegóły transakcji z namiestnikiem.

- Sądzę... - Słowa zamarły Honorii na ustach. Na tle ciemnoniebieskiej aksamitnej sukni jej twarz wydawała się śmiertelnie blada.

- O co chodzi?

- Sądzę, że Francis zostanie zwolniony jutro i przewieziony do Croft Castle. A potem...

- Ależ to cudownie! - Mary nie rozumiała, dlaczego przyjaciółka ma nieszczęśliwą minę. - Spotkasz się tam z nim?

- Nie - odparła Honoria cicho, lecz zdecydowanie.

- Ależ...

- Zamierzam jechać do Londynu. Zabiorę z sobą panią



Morgan i Foxtona. Jeśli lord Mansell... jeśli Francis będzie was o mnie pytał, powiedzcie mu, że jestem bezpieczna, i przekażcie mu ten list. - Podnosząc się z miejsca, położyła kopertę na stole.

- Honorio, chyba nie...

- Pozwolono mi się zobaczyć z Francisem w Hereford. Lepiej, żeby mnie tu nie było, kiedy on wróci.

- Dlaczego? - zdziwił się Joshua. - To przecież nie ma sensu. Z pewnością będzie chciał cię widzieć, jak tylko wyjdzie z więzienia.

- Drogi Joshuo, nie zdajesz sobie sprawy... Pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy ludzie Coningsby'ego go wyprowadzali, i jego słowa. On mnie wini za wszystko. Nie chce mnie...

- Na moment zakryła twarz dłońmi. - Dzieli nas zbyt wiele nieporozumień. Nie mogę się z nim spotkać. Nie zniosłabym tego.

- Nie wyjeżdżaj, Honorio. - Mary objęła przyjaciółkę. - Musisz porozmawiać z mężem.

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Wszystko tu napisałam.

- Dotknęła listu drżącymi palcami. Uśmiechem podziękowała Mary za zrozumienie. - Będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć.

- Obiecuj mi, że z nim porozmawiasz; wyjawisz mu, co czujesz.

- Obiecuję... o ile nadarzy się okazja. Dziękuję wam i przepraszam, jeśli sprawiałam kłopoty. - Honorio pocałowała Mary w policzek i skierowała się do wyjścia.

Joshua rzucił bezradne spojrzenie siostrze; dała mu znak, by się powstrzymał od uwag. On jednak powiedział:

- Francis nie chciałby, żebyś podróżowała sama. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym na to pozwolił.

- Skorzystam z eskorty sir Williama. Jego ludzie towarzyszyli mi do Ludlow i wiem, że nie będzie miał nic przeciwko temu, by towarzyszyli mi do Londynu. Powiedz Francisowi... Powiedz mu, że zamieszkam w Ingram House w Londynie. Znajdzie mnie tam, jeśli będzie chciał.

- Niech cię Bóg prowadzi. - Mary miała twarz mokrą od łez, ale nie próbowała zatrzymać przyjaciółki. - Wiem, że jeszcze się spotkamy.

- Jeśli Bóg pozwoli.

Po wyjściu Honorii Joshua zażądał od siostry szczegółowych wyjaśnień.

- Czy na pewno powinniśmy pozwolić jej wyjechać?

- A mieliśmy wybór?

- Chyba nie.

- Mam tylko nadzieję, że Francis to zrozumie, kiedy przyjdzie upomnieć się o żonę.

- Nareszcie. Spodziewaliśmy się ciebie wczoraj. - W domu Hoptonów sir Joshua uściśnął rękę lorda Mansella ze szczerą radością i zarazem ulgą. - Od dwóch dni Priam odgrażał się, że przypuści zbrojny atak na Hereford Castle.

- Cieszę się, że jestem z dala od Fitzwilliama Coningsbyego. Zresztą, mniejsza o niego. Gdzie jest moja żona? Zorientowałem się, że nie ma jej ani u sir Williama i lady Eleanor w Croft Casde, ani u Scudamore'ów.

Do rozmawiających mężczyzn dołączyła Mary. Uznała, że jako przyjaciółka Honorii ma obowiązek porozmawiać z lor-

dem Mansellem, powiedzieć mu prawdę i uświadomić mu, jak bardzo się pomylił w ocenie lojalności żony.

- O co chodzi? Co się dzieje? - Mansell przyłapał porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymieniło między sobą rodzeństwo Hoptonów. - Domyślam się po waszych minach, że wiecie coś, co mi się nie spodoba!

- Honoria wyjechała do Londynu - oznajmiła spokojnie Mary.

- Co?! Dlaczego do Londynu? Wróciła do rodziny sir Roberta Denhama? Czemu miałyby to zrobić?

- Zostawiła dla ciebie ten list. Znajdziesz w nim wszelkie wyjaśnienia.

- Potrzeba by sterty papieru, żeby wszystko wyjaśnić! Nie jednego arkusza!

- Jak ci się mieszało u namiestnika Coningsby'ego? - zażartował Joshua, by rozładować napiętą atmosferę.

-Niewygodnie i nudno. Nie polecam Hereford Castle na dłuższy pobyt. Nie znałem wcześniej Coningsby'ego i wolałbym, żeby tak zostało. To wyjątkowo szczywany lis.

- Dobrze, że jesteś wolny, a nie w drodze do Londynu, eskortowany przez strażę.

- Nie rozumiem, jak do tego doszło. - Mansell zmarszczył czoło, widząc zmieszanie na twarzach Joshuy i Mary. - Wyjechaliśmy z Hereford Castle. Nikt nic nie mówił. Coningsby miał dziwną minę. Przyszło mi na myśl, że chce się mnie pozbyć, mordując gdzieś na odludziu. Zaraz potem zjechaliśmy z drogi na Londyn i dowieziono mnie do Croft Castle, gdzie sir William mnie uwolnił, odprawił eskortę do Hereford

i odesłał mnie do domu. A na koniec dowiaduję się, że Honoria wyjechała do Londynu!

- Sir William Croft nic nie powiedział?

- Tylko tyle, że moje uwolnienie zostało wynegocjowane i że sytuacja wymagała, by nie wypuszczano mnie tuż za bramą Hereford Castle. Niektórzy co gorliwsi zwolennicy króla mogliby zadawać zbyt dociekliwe pytania na ten temat. Ale dlaczego Coningsby się zgodził? Croft powiedział tylko, że były naciski ze strony rodziny. Jakoś nie mogę uwierzyć, by ktokolwiek z hrabstwa wstawił się za mną u Coningsby'ego. Wiem jedynie, że nie zrobił tego sir William.

- Może powinienesz przeczytać list.

Lord Mansell wziął do ręki zapisany starannym piśmem Honorii arkusz.

„Milordzie!

Jeśli otrzymałeś ten list, to znaczy, że jesteś wolny i przebywasz w Ludlow z Mary i Joshuą. Postanowiłam zamieszkać w Ingram House. Przykro mi, jeżeli to ci nie odpowiada, ale uznałam, że tak będzie najlepiej. Skorzystałam z eskorty udośćnionej mi przez sir Williama. Foxton i pani Morgan prosili, bym ich z sobą zabrała. Możesz być spokojny, że bezpiecznie dotrę na miejsce.

Wiem, że obwiniasz mnie za swoje aresztowanie w Leintwardine. Nie przyłożyłam do niego ręki, ale obawiam się, że cokolwiek bym powiedziała, biorąc pod uwagę naszą przeszłość, nie przedstawi moich poczynań w lepszym świetle.

Zrobiłam, co tylko mogłam, żeby naprawić nasze stosunki, i modłę się, by to wystarczyło. Kiedy się pobiera-

liśmy, nie zdawałam sobie sprawy, że konflikt lojalności, nawet jeśli tak naprawdę nie istnieje, może wywołać tyle podejrzeń.

Modłę się o twoje bezpieczeństwo. Tak jak ci powiedziałam w Leintwardine, nawet przez moment nie żałowałam, że jesteśmy małżeństwem. Jednak czasami los bywa bezwzględny i nie można mu się przeciwstawić. Rozumiem, co do mnie czujesz. Przykro mi tylko, że nie byłam w stanie okazać ci swojej miłości. Nigdy nie było mi łatwo wyrażać uczucia... a poza tym nie chciałam cię nimi obciążać.

Co do reszty, nie mogę napisać.

Niech Bóg ma cię w opiece.

Honorria"

- Co ona zrobiła?

Joshua opuścił pokój, kiedy Francis czytał list. Mary nie udawała, że nie rozumie, o co chodzi lordowi Mansellowi.

- Honorria przepisała Leintwardine Manor na Coningsby'ego. Należało do niej, więc mogła to zrobić.

- Wiem. - Ściągnął brwi. - Ale co ją opętało, żeby oddawać posiadłość Coningsby'emu? Nie powinna była tego robić. Wiem, jak bardzo lubiła Leintwardine.

- Uznała, że to niewielka cena za twoją wolność.

- Kupiła mi wolność... Pisze, że będzie lepiej, jak będziemy osobno. Może ma rację. Nie chciałbym jej sprawiać więcej bólu. Dość już przeze mnie wycierpiała.

- Oczywiście, że nie będzie lepiej! - Mary ogarnęło jednocześnie współczucie dla Francis'a i złość, że tak trudno mu zrozumieć to, co oczywiste. - Honorria wcale tak nie uważa,

niezależnie od tego, co napisała. Jest po prostu bardzo nie-  
szczęśliwa. Kiedy tu przyjechała, sprawiała wrażenie całkiem  
załamanej, jakby jej się zawalił świat. Nie miała odwagi się  
z tobą spotkać. Jest przekonana, że winisz ją za swoje aresz-  
towanie i za różne inne sprawy. Sama też się obwinia. - Nie  
dając mu czasu na odpowiedź, Mary zaczerpnęła tchu i mó-  
wiła dalej: - Oboje zamykacie się w sobie, żeby chronić swo-  
je uczucia, a to stwarza bariery i prowadzi do osamotnie-  
nia. Trudniej dotrzeć do każdego z was, niż sforsować mury  
w Brampton Percy! - Zniecierpliwiona ścisnęła go za ramię.  
- Oczywiście, że nie jest lepiej, byście byli osobno. Chyba że  
jej nie kochasz...

- Ależ tak! Kocham ją! Nie musisz mi mówić, że jest nie-  
winna! Jestem o tym całkowicie przekonany. - Lord Mansell  
zmiął w dłoń list, podszedł do okna i niewidzącym wzrokiem  
patrzył na ruchliwą ulicę. - Czy mogę wyznać jej miłość po  
tym, jak ją upokorzyłem? Czy zechce słuchać, skoro niedaw-  
no oskarżyłem ją o nielojalność i zdradę?

Mary tupnęła nogą ze złości.

- Honoria myśli, że nadal kochasz Katherine i że dokonu-  
jesz niekorzystnych dla niej porównań.

- Nie ma powodu tak myśleć! - wykrzyknął ze szczerym  
zdumieniem. - Powiedziałem jej to.

- Ona twierdzi, że trzymasz przy łożku portret, na którym  
Katherine wygląda bardzo pięknie. - Mary bez oporów trochę  
ubarwiła prawdę.

- Przywiozła mi ten portret do Hereford, żeby mi dodać  
otuchy.

- Czy to do niej niepodobne? - Mary chwyciła się pod boki,

coraz mocniej przejęta swoją rolą. - Powiedziałeś kiedyś Honorii, że ją kochasz?

- Nie. - Uśmiechnął się smutno.

- A kochasz ją?

- Tak. Któż mógłby jej nie kochać? - Francis się skrzywił.

- Wszystko zepsułem, prawda?

- Jeszcze nie jest za późno. Jedź do Londynu!

- Chyba tak zrobię. - Ku zaskoczeniu Mary, Francis podniósł jej dłoń do ust i ucałował, a potem cmoknął ją w policzek. - Jestem ci bardzo wdzięczny, Mary. Jesteś dobrą przyjaciółką, moją i Honorii.

- Ona cię kocha. Jak mogłeś nie zdawać sobie z tego sprawy? Nie zdziw się, że od razu się do tego nie przyzna, kiedy już ją znajdziesz.

- Mary... - Joshua stanął w progu i odetchnął z ulgą, wyzywając zdecydowaną poprawę atmosfery.

- Wejź, Josh - odezwał się Francis tonem zachęty. - Nie zastrzeżę cię jako posłańca przynoszącego złe wieści. Twoja siostra właśnie mnie obsztorcowała za złamanie serca Honorii.

- Choć to wbrew moim interesom, muszę przyznać rację mojej wścibskiej siostrze. Powinieneś porozmawiać z Honorią, Francis. Myślisz, że zechce go wysłuchać? - zwrócił się do Mary.

- Jest na to szansa. Jeśli uklęknie przed nią i obieca, że będzie się dobrze sprawował przez resztę życia.

- Jadę do Londynu.

- Tak się składa, że kazałem przygotować dla ciebie konia i zapasy na drogę. Spodziewałem się, że nie będziesz zwie-

kał. - Joshua podszedł do drzwi. - Jest ktoś, kto dotrzyma ci towarzystwa.

W progu stanął kapitan Davies, gotowy do podróży.

- Zatem jedziemy do Londynu, chłopcze? - Przywitał się z Mansellem serdecznym uściskiem.

- Priam, nie musisz ze mną jechać.

- Ale mam wielką ochotę.

- Znakomicie. Doceniam to.

- Zbierajcie się - ponaglił ich Joshua. - Francis, znajdź żonę i pogódź się z nią.

- Muszę, bo nagle sobie uświadomiłem, że bez niej moje życie nie ma sensu.

Honorcia szybko zadomowiła się w Ingram House. Mogła korzystać z przyjemności, jakie mimo wojny oferował Londyn. Kupiła parę nowych strojów. Odnowiała stare znajomości. Odwiedziła sir Roberta i jego żonę, a także matkę Francisca, która przyjęła nieznaną sobie synową miło, choć z pewnym zaskoczeniem. Dowiedziawszy się, że jej syn jest cały, zdrowy i wolny, nie zadawała krępujących pytań. Honorcia była jej wdzięczna za tę powściągliwość.

Foxton wespół z panią Morgan prowadzili dom tak sprawnie, że Honorcia nie musiała się wtrącać. Morrighan i Setanta nie odstępowały jej na krok, jakby wyczuwając, że jest smutna i potrzebuje życzliwego wsparcia.

Pokój milorda został wysprzątnięty i przewietrzony, meble natarte woskiem, łóżko zaścielone świeżą pościelą o zapachu lawendy. Wszystko było gotowe na jego powrót. Nikt nie widział, jak pewnego piątku Honorcia zaszywała suszo-



ne zioła w jego poduszce, i nikt nie pytał, dlaczego przy tym płakała.

- Kapitanie, jak miło pana widzieć!

Honorio rozpromieniła się, kiedy pewnego popołudnia po powrocie zastała w Ingram House nieoczekiwanego gościa. Nie tracąc czasu na zdjęcie płaszcza, rzuciła się powitać Priama Daviesa.

- Moje drogie dziecko. - Uciskał ją i ucałował serdecznie w oba policzki. - Jak zawsze jesteś urocza. Gdybyś nie była żoną Mansella, sam bym zaczął smalić do ciebie cholewki. Sprawiasz wrażenie zmęczonej. Czyżby tu o ciebie nie dbali należycie?

- Ależ dbają. Mam się całkiem dobrze. - Honorio starała się ukryć zmieszanie. - Cieszę się, że pana widzę. - Wreszcie, nie mogąc dłużej się powstrzymać, zapytała: - A gdzie mi-lord? Gdzie jest Francis?

- Tutaj, oczywiście. Gdzież indziej mógłby być?

- O, nie wiedziałam... Pewnie jest pan głodny. Każę po-dać obiad...

- Honorio. - Priam przytrzymał ją za ramiona. - Idź do niego i porozmawiaj z nim. Na litość boską, powiedz mu, co do niego czujesz, i zakończ jego męki. Musiałem znosić jego humory przez trzy dni podróży. Ciężko było wytrzymać.

- Ale on mną pogardza. Obwinia mnie za swoje aresztowanie.

- Niemądre dziecko. Wcale tak nie jest. Idź do niego.

Po chwili Honorio skinęła głową. Nie miała nic do stracenia. Pocałowała Priama w policzek i wbiegła na schody.

- Honorio!

- Przyszłam sprawdzić, czy masz wszystko, czego ci trzeba, milordzie. Nie wiedzieliśmy, czy... to znaczy, kiedy przyjedziesz. Każę przynieść wina, jeśli sobie życzysz. - Stała przed nim z dłońmi zaciśniętymi na fałdach spódnicy, gotowa w każdej chwili zrejterować.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Chwyił ją za rękę i, spoglądając w dół przez balustradę schodów, zawołał w stronę holu:  
- Foxton?

- Tak, milordzie? - Zarządca zjawił się natychmiast.

- Milady i mnie nie ma w domu dla gości, niezależnie od tego, kto by przyszedł.

- Tak, milordzie.

- Dla nikogo, Foxton. Rozumiesz?

- Oczywiście, milordzie. - Foxton udał się prosto do kuchni, żeby powiadomić panią Morgan i kapitana Daviesa, plotkujących nad kuflem piwa, że sprawy między panią i panem nareszcie rozwijają się pomyślnie.

Francis został sam na sam z żoną, nie licząc psów, którym udało się wślizgnąć do pokoju. Morrighan ułożyła się przy kominku, a Setanta, nie doczekawszy się pieszczot, przysiadł w kącie ze smutną miną.

- Trochę urósł.

- Tak, dorośleje - przyznała Honoria - ale nie zostawiaj butów w jego zasięgu.

Mansell podprowadził żonę do krzesła przy stole i sam usiadł naprzeciw niej.

- Dobrze się czujesz? - spytał z troską, patrząc na jej wymizerowaną twarz.

-Tak.

- Pozwolę sobie w to wątpić, ale wkrótce powinna nastąpić poprawa. - Pomyślał, że musiała ostatnio źle sypiać. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej szczupłego policzka. - Nie! Posłuchaj! - rzucił stanowczo, widząc, że otwiera usta, by mu zaprzeczyć.

- Dobrze - odpowiedziała lekko zaskoczona. - Zamierzam cię wysłuchać.

- Zatem słuchaj, żono. Będę mówił prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg. Ożeniłem się z tobą, właściwie nie wiedząc dlaczego. Pewnie chciałem cię chronić, bo wydawałaś mi się taka bezbronna, mimo że demonstrowałaś niezależność. W każdym razie na pewno nie miało to nic wspólnego ze spuścizną po Edwardzie. Nie potrafię powiedzieć, kiedy się w tobie zakochałem. Z całą pewnością nie pozwolę, by znów coś nas rozdzieliło.

Słuchała go z szeroko otwartymi oczami, niepewna, jakie będzie jego następne słowo. Ale wierzyła we wszystko, co mówił.

Pochylając się nad stołem, chwycił ją za rękę, jakby się bał, że mu ucieknie, gdy tylko jej na to pozwoli.

- Kochałem Katherine. - Natychmiast chciała wyswobodzić dłonie z jego uścisku, ale trzymał ją mocno. - Nie, Honorio, to musi zostać powiedziane. Kochałem Katherine i cierpiałem po jej śmierci i po śmierci dziecka. Ale to przeszłość, zamknięty rozdział życia. Po tym, co razem przeszliśmy podczas ostatnich tygodni, uświadomiłem sobie, że Katherine i mój syn są już tylko wspomnieniem. Słyszysz mnie? Jesteś odważna i dzielna. Masz śliczną twarz i szlachetne serce. Czy

mężczyzna mógłby oczekiwać więcej od żony? Zaslugujesz na to, bym na klęczkach dziękował ci, że za mnie wyszłaś. Rozumiesz?

- Tak - szepnęła.

- Dobrze. Oskarżałem cię o zdradę. Nie powinienem był tego robić. Jesteś uparta, owszem. Czasami nierozważna. - Wytrzymał jej obrażone spojrzenie. - Ale podstępna, nigdy. Natomiast ja bywam popędliwy i nietolerancyjny... czasami.

Uśmiechnął się szeroko, widząc jak bardzo zaskoczył Honorię swym wyznaniem.

- Nierzęsto przyznaję się do swoich wad.

- To prawda - potwierdziła skwapliwie.

- Jest jeszcze coś. Powinienem był ci to powiedzieć wiele tygodni temu, ale przeszkodziło mi obłączenie i zniszczenie mojego dziedzictwa. Zwlekałem, ponieważ wydawało mi się to jedynie niepotrzebnym komplikowaniem i tak trudnej sytuacji. Jak miałem ci wyznać miłość, kiedy nie mogłem ci zapewnić właściwej opieki, nie wiedziałem, co się stanie za chwilę? Myliłem się. Powinienem był ci powiedzieć. Kocham cię, Honorio. Powinienem był ci to powiedzieć tamtego wieczoru w Leintwardine, zanim nas rozdzielono. Pragnę tylko tego, byśmy mogli żyć razem i cieszyć się naszym małżeństwem we względnym spokoju i wygodzie. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. - Po momencie wahania dodał: - Zrobię dla ciebie wszystko, jeśli mi tylko na to pozwolisz.

- Tak... - Jego wyznanie zaparło jej dech w piersi; nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

- A teraz, kochanie, twoja kolej.

Nie było jej łatwo, nigdy wcześniej nie odślaniała przed

nikim duszy i nie wiedziała nawet, czy to potrafi. Musiała jednak spróbować, bo od tego zależało jej szczęście. Czy się przesłyszała? Naprawdę powiedział, że ją kocha?

- Dobrze. - Odetchnęła głęboko. - Wysłałam za ciebie, bo tego chciałam. Kiedyś widziałam cię na królewskim dworze, jeszcze zanim każde z nas zawarło pierwsze małżeństwo. Byłeś z Katherine, zrozumiałam, jak bardzo ją kochasz, i zazdrościłam wam tego uczucia. Zastanawiałam się, jak by to było, wyjść za ciebie i doświadczyć takiej miłości. Zamiast tego zostałam żoną Edwarda.

- Honorio, wybacz mi, nie wiedziałem. Mów dalej.

- Gdy spotkałam cię w Brampton Percy, ogromnie się ucieszyłam, ale nie dałam tego po sobie poznać. A potem się w tobie zakochałam. Wiedziałam, że bez wzajemności. Byłeś dla mnie dobry i kiedy trzymałeś mnie w ramionach, byłam bliska wyznania ci tego, co czuję. Lubiłam, kiedy mnie dotykałeś. Jak mogłabym cię nie kochać? Odmieniłeś całe moje życie.

Uśmiechnął się, ale jej nie przerywał.

- Wiem, że mi nie ufałeś. - Nie pozwoliła mu zaprzeczyć.  
- Rozumiem dlaczego. Los nam nie sprzyjał, przez jego zrządzienia wkradały się między nas nieporozumienia i wątpliwości. Nigdy bym cię nie zdradziła i nie oszukała. Byłam i jestem wierna tobie, milordzie, a nie żadnej sprawie czy ideologii. To się nie zmieni, cokolwiek życie by nam przyniosło.

- Wiem, w głębi duszy byłem o tym przekonany. - Podniósł jej dłoń do ust i ucałował z szacunkiem.

Wreszcie przyszła kolej na najtrudniejsze wyznanie, ale Honoria uczyniła je bez wahania.

- Kocham cię, Francis. Chcę być z tobą i chcę, byś wiedział,

że zawsze będę cię kochać. Nie jestem zazdrosna o Katherine. Przynajmniej nie bardzo - dodała gwoli całkowitej uczciwości.

- Nie masz najmniejszego powodu do zazdrości. - Pocałował jej dłoń jeszcze raz. - Mary powiedziała, że trudno nam się porozumieć z powodu naszych charakterów. Chyba miała rację.

- Kocham cię i obiecuję, że już nigdy nie będę do ciebie strzelać i nie zamknę cię w kaplicy.

- Doskonale. A ja postaram się być bardziej cierpliwy i...

- Nie złościć się na mnie? Nie podnosić głosu?

- Jedno i drugie. Kocham cię. Powiedzieliśmy sobie już wszystko?

- Chyba tak.

- Mam coś dla ciebie. Nie ruszaj się.

Wstał od stołu, delikatnie odsuwając nogą Setantę, który podczołgał się niezauważenie i złożył głowę na jego stopach. Wyjął z kredensu pudełko i położył przed Honorią.

- Otwórz, proszę.

Honoría zdjęła pokrywkę, odwinęła płótno i uniosła dwa kieliszki z weneckiego szkła.

-Och!

- Tylko się nie rozpłacz. Płakałaś, kiedy rozbiły się tamte, więc nad nowymi nie wolno ci płakać.

Roześmiała się przez łzy.

- Są piękne. Gdzie je zdobyłeś?

- Mam swoje źródła. Ned je odkrył i kupił za niebotyczną cenę. Podobają ci się?

- Jak mogłyby mi się nie podobać? Są jeszcze ładniejsze

od tych, które się stłukły. - Trzymając ostrożnie smukłą nóżkę kieliszka, patrzyła z zachwytem na błyski światła odbitego w cienkim szkle. - Dziękuję ci. Są piękne.

- Ty też jesteś piękna.

- Ja też coś dla ciebie mam. - Ostrożnie ułożyła kieliszki w pudełku i wstała. - Zaraz wrócę.

Po chwili rzeczywiście była z powrotem. Na widok prezentu, który trzymała w rękach, Francis poczuł się nieswojo.

- Już raz ją odrzuciłem - rzekł, zawstydzony. - Wybaczysz mi to, Honorio?

- Oczywiście, że tak. Mam nadzieję, że przyjmiesz tę szpadę jeszcze raz. Rozumiem, dlaczego ją wtedy odrzuciłeś, ale...

- Nie zasługuję na to, żebyś się przede mną tłumaczyła. Wyrwałaś ją z chytrych łap Coningsby'ego?

- Tak. Nie mogłam zostawić tej broni w rękach człowieka tak perfidnego i podłego, jak Coningsby. Kiedyś należała do mojego ojca, a teraz jest twoja. Zawsze była używana z honorem i w słusznej sprawie. Przyjmiesz ją ode mnie?

Francis położył z szacunkiem szpadę na stole, obok pudełka z kieliszkami.

- Przyjdiesz do mnie, Honorio, z własnej i nieprzymuszonej woli? Do mojego domu i do mojego łóża?

- Tak, jeśli mnie o to poprosisz z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Honorio, nigdy o ciebie nie zabiegałem tak, jak na to zasługujesz, i nie poświęcałem ci tyle uwagi, ile jesteś warta. Moje serce należy do ciebie, czy tego chcesz, czy nie.

- A ja oddaję ci moje serce.

Honorio znalazła się w ramionach męża. W okamgnieniu

pozbyli się ubrań. Rozpaleni gorączką namiętności, piesszczotami dłoni, ust i języków zasklepiali wszystkie ślady po niedawnych ranach. Wreszcie dali się ponieść oszałamiającej rozkoszy, spełnieni, scaleni w jedność.

Po przebudzeniu Honoria, uśmiechając się triumfalnie, strzepnęła z pościeli kilka zabłąkanych płatków lawendy i werbeny. Tylko ona wiedziała, skąd się tam wzięły.



## Epilog

Honorja i Francis wybrali się do Brampton Percy.

Chłodna wiosna zmieniła się w lato niemal bez ostrzeżenia; drzewa okryły się zielenią, spod żywopłotów wyzierały ostatnie pierwiosnki i łepki rozkwitających dzwonek.

Główne działania wojenne przeniosły się do innej części hrabstwa, pozostawiając Herefordshire w spokoju przynajmniej na jakiś czas. Choć rojaliści trzymali się jeszcze dość mocno, w skali kraju siły parlamentu zyskiwały przewagę, co zapowiadało dalsze konflikty.

Jednak to nie walki parlamentu z królem zaprzętały głowy lorda Mansella i jego żony. Wprawdzie wygodnie rezydowali w Londynie, ale czuli potrzebę powrotu na pogranicze. Musieli się odzegnać od złego ducha przeszłości. Wpływy Mansella w Herefordshire zmalały praktycznie do zera po skonfiskowaniu wszystkich jego posiadłości, z których dochód miał obecnie zasilać królewski skarbiec, ale nie zawsze musiało tak być w przyszłości. Nie tracili nadziei, że kiedy zwyciężą siły parlamentu, oni zdołają odzyskać majątek i ponownie osiąść na angielskiej granicy.

Zatrzymali się na nocleg w domu przy Corve Street w Ludlow, wykorzystując okazję, by złożyć wizytę Hoptonom. Honoria z Mary uściskały się serdecznie, jak przystało na stęsknione za sobą przyjaciółki.

- Jak się sprawy mają z sir Samuelem More'em? - dała wyraz swej ciekawości Honoria. - Czy spełnił twoje oczekiwania, rozbudzone pierwszą wizytą w Brampton Percy?

- Odwiedził nas. Mamie się podoba, więc ojciec nie będzie stawiał przeszkód. A jak ty się miewasz? - Mary uśmiechnęła się szeroko, zmierzwiwszy wzrokiem przyjaciółkę. - Chyba nie muszę pytać...

Nastał ranek. Kiedy wyjeżdżali z Ludlow, Honoria starała się nie myśleć o swojej pięknej posiadłości w Leintwardine, zajętej przez obmierzłego Fitzwiliama Coningsby'ego. Nie żałowała swej decyzji.

W Brampton Percy nie sposób było nie zauważyć spustoszenia po oblężeniu. Kościelna wieża i część nawy leżały w gruzach; na poszarpanych występach murów gnieździły się kawki i gołębie. Na niektórych domach widać było świeże plamy tynku po naprawach i nowe dachy, inne, doszczętnie zrujnowane, porastały chwastami.

Lord Mansell przesłał swoim dzierżawcom pieniądze przez Sollersa, który, pozbawiony funkcji zamkowego koniuszego, postanowił jednak zostać na miejscu i wprowadził się do siostry mieszkającej we wsi, żeby tam przeczekać do lepszych czasów. Francis czuł się zobowiązany do wspomagania oddanych mu ludzi, lecz na razie mógł tylko mieć nadzieję, że władza namiestnika Hereford nie potrwa długo.

Wieśniacy przywitani ich dość chłodno. Czyż nie ucierpieli w imieniu Bramptonów? Ich przyszłość rysowała się niepewnie. Przyjęli jednak poczęstunek i piwo zafundowane przez Mansella w gospodzie. Tom nie krył radości, że znów może się pobawić z psami, a Sollers pojawił się natychmiast u milordów, żeby zdać raport z osiągnięć i opowiedzieć o kłopotach.

- Ciężkie czasy, milordzie. Pewnie nie był jeszcze milord w zamku.

- Nie. Wystarczy, że widziałem wieś.

- Jest już parę nowych dachów, niektóre ściany połataliśmy kamieniami z zamkowych murów. - Przy tych słowach Sollers zerknął niepewnie na lorda Mansella. - Szkoda było ich nie wykorzystać - dodał tonem usprawiedliwienia.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby ich używali do napraw.

Zatrzymali konie przed bramą.

Nad zamkiem wisiła ciężka cisza, tym bardziej przytłaczająca, że zapowiadał się wyjątkowo pogodny dzień. Francis z Honorią nie odzywali się do siebie i unikali nawzajem swego wzroku.

Resztki strażnicy i barbakanu przetrwały, lecz cała twierdza, niegdyś symbol potęgi i dominacji nad okolicą, przedstawiała obraz godny pożałowania. Wysadzone działami blanki zniknęły, po bramie i kracie pozostała ziejąca pustką dziura.

Weszli do środka, nie napotykając żywej duszy. Francis wziął Honorię za rękę, żeby jej dodać otuchy i jednocześnie pomóc przejść przez rumowisko. Psy wyprzedziły ich, z nosami przy ziemi, wężąc za wiewiórkami i zającami.

Nie było już ogrodu, trawy porosły ziemię rozkopaną na początku oblężenia. Z parkowych drzew zostały jedynie kikuty pni.

Tego się spodziewali, ale reszta ich bardzo nieprzyjemnie zaskoczyła.

Części mieszkalnej zamku właściwie nie było. Została zrównana z ziemią. Zniknęła stara twierdza, stajnie, zabudowania kuchenne i wszystkie pomieszczenia, w których toczyło się życie. W ciągu kilku tygodni przestał istnieć dorobek wielu pokoleń. Coningsby dokonał zemsty. Podstawy władzy Bramptonów w hrabstwie zostały okrutnie i dokładnie zniszczone.

- Tego nie przewidziałam - powiedziała Honoria głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Ja też nie. Rozumiem zburzenie murów, ale to...

Podeszli do miejsca, gdzie kiedyś znajdowała się wielka sala z szerokimi schodami na górę i rzeźbionym wspianym sufitem.

Honoria położyła Francisowi dłoń na ramieniu, przypominając sobie ich pierwsze spotkanie w wielkiej sali. Patrzyła wówczas, stojąc w cieniu, na tego władczego mężczyznę, w którego rękach miała spocząć jej przyszłość.

- Francis, nie wiem, co powiedzieć.

Odowiedział bezradnym wzruszeniem ramion.

- To było dziedzictwo, którego się nie spodziewałem. Boli mnie, że nie potrafiłem obronić swojej ziemi i ludzi. Muszę jednak pamiętać, że nie doszło do tragedii, do jakiej mogło dojść. Zamek przestał istnieć, ale nie było dużych strat w ludziach. Wieś z czasem odżyje. - Dotknął jej dłoni. - A ty, moje najcenniejsze dziedzictwo, jesteś bezpieczna.

Przeszli przez zwały gruzu do zachodniej ściany, skąd rozciągał się widok na odległe walijskie wzgórza, a potem znów rozejrzeli się po zburzonej posiadłości.

- Nadal należy do mnie, mam do niej prawo własności. Jak już będzie po wszystkim, możemy tu wrócić. Ale czy będziemy chcieli odbudować zamek? Czy raczej zostawimy to miejsce na pastwę żywiołów, które zatrą po nim ostatnie ślady? Chyba wiem, co myślisz, milady.

- Gdybym nie chciała tu mieszkać, byłbyś skłonny porzucić to miejsce? Zrezygnować z odbudowy, która mogłaby ci przywrócić wpływy w hrabstwie?

- Oczywiście. Decyzja należy do ciebie.

- Dlaczego?

- Bo cię kocham.

- I zrobiłbyś to dla mnie?

- O co chodzi, Honorio? Wciąż wątpisz w moją miłość? Nie wierzysz, że przedkładam twoje szczęście ponad wszystko?

- Nie. Po prostu jeszcze do tego nie przywykłam.

- Jesteś moim życiem, milady. Co więcej mogę ci powiedzieć? - Ucałował jej dłoń.

- Bardziej jestem przyzwyczajona do tego, że nazywasz mnie swoim utrapieniem. - Honorio przeszła do miejsca, gdzie kiedyś znajdowała się słoneczna komnata na wieży. Poczekała, aż Francis do niej dołączy. - Podjęłam decyzję - oznajmiła stanowczo. - Odbudujemy zamek.

- Zaskakujesz mnie. Nigdy nie czułaś się tu dobrze, czasami wręcz podejrzewałam, że nienawidzisz tych murów. Nie trudno było zrozumieć dlaczego. Wytlumacz mi więc, dlacze-

go chcesz tu wrócić, zamiast osiąść w malowniczym Suffolk lub w Londynie.

Popatrzyła na niego; minę miała poważną, ale z jej oczu bił blask.

- No powiedz, milady.

- Ponieważ tu poczęło się nasze dziecko. To jest dziedzictwo twoich potomków i jako takie powinno być odbudowane.

- Dziecko! Nosisz moje dziecko.

-Tak.

- Wybrałaś szczególnie moment, żeby mi o tym powiedzieć.

- Żaden inny nie mógłby być lepszy. Nowe życie pośród ruin i zgliszczy.

- Honorio, ukochana, jesteś pewna?

- Jestem pewna. - Wzięła jego rękę i przyłożyła sobie do płaskiego jeszcze brzucha. - Nasze dziecko nie powinno być pozbawione dziedzictwa.

- Będziesz umiała tu żyć, milady? W spokoju i w szczęściu?  
- zapytał z powagą.

- W nowym domu, przy pewnych udogodnieniach, z pewnością. - Poczula zdradliwe łaskotanie pod powiekami. - Bez wspomnień, poza tymi, które dotyczą nas dwojga. Bez cienia przeszłości. Tak, będę umiała pokochać ten dom.

- Zatem z przyjemnością go dla ciebie odbuduję. - Przypieczętował obietnicę pocałunkiem. - Kocham cię, Honorio.

Choć się uśmiechał, Honoria dostrzegła cień smutku na twarzy męża. Znała jego przyczynę i wiedziała, że musiał się pojawić.

- Nie ma się czego obawiać, milordzie. - Bolesne doświadczenie nauczyło ją, że nie należy ukrywać przed najbliższą osobą swoich myśli, nawet tych najgorszych. - Nie ma powodu, żeby historia się powtórzyła. Dziecko poczęte w warunkach oblężenia, kiedy wokół nas waliły się ściany i dachy, musi być silne i zdrowe.

Pogładził ją czule po policzku.

- Podobnie jak matka, która gna konno, nie bacząc na burzę, żeby zadbać o jego dziedzictwo. A potem oddaje to dziedzictwo wrogowi w geście wspaniałej wielkoduszności. Czytasz we mnie jak w otwartej księdze, Honorio. Kocham cię.

- Pochylił się, żeby zerwać kwiatek, który przedarł się przez gruzy w poszukiwaniu słońca. - Milady. - Skłonił się ceremonialnie. - Proszę, to dla ciebie.

Honorio przyjęła od niego stokrotkę i ozdobiła nią kołnierz żakietu, po czym objęła męża, który złożył na jej ustach czuły pocałunek.